

INA LORELEI

# AWANTURNICY Z KARAIBÓW



*Pamięci Roberta Charroux,*

*poszukiwacza skarbów i tropiciela zagadek historii, którego  
autentyczne historie o skarbach, żeglarzach i awanturkach  
zainspirowały mnie do napisania tej powieści*

© Copyright by Ina Lorelei

ISBN 978-83-928528-8-9

*Projekt okładki by autor. Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i  
kopiowanie całości lub części publikacji zabronione bez pisemnej zgody autora.*

## ***Rozdział 1. Dla tych, którzy zawsze wiedzą, co będzie jutro***

Należałam do takich osób, aż do pewnego czerwcowego wtorku 199... roku. Za oknem królowało lato, chociaż według kalendarza panowała jeszcze wiosna. A ja, zamiast pójść na spacer, zakuwałam do egzaminu w moim mikroskopijnym mieszkanku na poddaszu starej krakowskiej kamienicy. Mieszkanku niezupełnie moim, bo wynajmowanym. Mikroskopijnym i na poddaszu, bo tylko na takie było mnie stać. Pojęcie „zakuwanie” traktowałam umownie – nigdy nie było moją specjalnością. Nie mogąc się skupić na podręczniku z finansów międzynarodowych, od czasu do czasu przywoływałam do porządku moje myśli, bujające swobodnie pomiędzy Andami a dorzeczem Orinoko w poszukiwaniu legendarnego El Dorado. Nawet mi do głowy wtedy nie przyszło, że za parę dni znajdę się bliżej Orinoko niż Wisły! Że spotkam poszukiwaczy skarbów i piratów, moje życie znajdzie się w niebezpieczeństwie, a pewien przystojny Latynos zostanie moim adoratorem ...

Nieświadoma tego, co mnie czekało, toczyłam beznadziejną walkę z podręcznikiem do finansów. Dobrodziejstwa systemów podatkowych krajów zamorskich ani rusz nie wchodziły do mojej biednej głowy. Samo określenie „raj podatkowy” wywoływało wyłącznie „rajskie” skojarzenia. Przed moimi oczami rozwijały się obrazy bezkresnych, bezludnych plaż, okolonych zielonymi pióropuszcami palm. Oślepiający blask białego piasku i intensywny błękit wody morskiej. A może turkus? Egzotyczne smaki – kokos, mango, ananas... Właśnie leżałam na takiej plaży, sącząc chłodne *piña colada* (oczywiście w mojej wyobraźni), gdy nagle usłyszałam natarczywy dźwięk dzwonka do drzwi. Skąd dzwonek na rajskiej plaży?

Za drzwiami stał Wojtek. Normalnie, jak to on, wpadł jak burza i bez żadnych wstępów zaczął od końca:

- Młoda, zacznij się pakować! Wyjeżdżamy!
- Chyba cię pogięło, Wojtusi! Po co mam się pakować? Mam jutro egzamin z systemów prawnych krajów zamorskich, czyli tzw. rajów podatkowych! Mózg mam przeładowany wiedzą, zaraz mi eksploduje...
- Co ty wygadujesz? Znowu coś zdajesz? Jakich „rajów podatkowych”???
- Aktualnie studia podyplomowe z finansów międzynarodowych. – Pochwaliłam się.
- I czego was tam uczą?! „Rajów podatkowych”? To akademia dla szarej strefy, czy co? Proponuję taki tytuł podręcznika „Jak wyprać milion złotych i nie pójść siedzieć”, hehehe...

– Strasznie śmieszne! – Oburzyłam się. – Nic z tych rzeczy, to poważny i legalny przedmiot...

– Jeśli tak, właśnie masz niepowtarzalną okazję na własne oczy zobaczyć jeden z tych rajów! Klimatycznych i... podatkowych też. Chyba nie przepuścisz takiej okazji, Młoda?

Takie „wejście smoka” było całkiem w stylu Wojtka. Miał odjazdowe pomysły i mnóstwo różnych zainteresowań. Jeśli do czegoś się zapalił, nie istniała żadna siła, która mogłaby go powstrzymać. Miał całą masę różnej maści znajomych, a wśród nich kilku przyjaciół. Należałam do tego grona, co przypieczętowane zostało przezwiskiem „Młoda”. Poza tym, że miał rodzinę i prowadził własną firmę, znajdował jeszcze czas na tenisa, wspinaczkę w skałkach, jazdę na nartach, grę na gitarze. Zdobył patent żeglarza i mistrza w zawodach strzeleckich. Interesował się kosmologią i samochodami. Chyba niczego nie pominęłam?

Wojtek był szczupłym, średniego wzrostu blondynem, wyglądającym najwyżej na trzydziestkę, chociaż tak naprawdę miał trochę więcej. Znaliśmy się na wylot i rozumieliśmy w pół słowa. Tym razem jednak nie potrafiłam odgadnąć, o co chodziło.

– Znasz Jarka?

– Jarka??? Hmm... znam kilku Jarków....

– No tego, co grywa ze mną w tenisa i...

– Aaa, tego, co jego tato ma duuużą kasę? – Wpadłam mu w słowo. – Jasne, że nie znam! (skąd niby miałabym go znać?) A ty skąd masz takie znajomości???

– Moja słodka tajemnica. Mamy ze sobą wiele wspólnego, chociażby wspólne uzależnienie od adrenaliny, hehehe... Zresztą poznasz go wkrótce. Jaro jest w porzo, mimo problemów z ilością kasy do wydania...

– Chciałabym mieć takie problemy! I co, gdy go poznam?

– Wyjeżdżamy, Młoda! I to daleko! Wyspy południowe! Będziemy poszukiwaczami skarbów!

– Wojtusi, usiądź sobie, a ja ci przyniosę coś zimnego do picia i jakiś kompresik.

– Młoda, słuchaj mnie! To nie żadna ściema. Jarek podjął decyzję życia! Postanowił zrobić dobry uczynek i zafundować sobie i paru przyjaciołom wyjazd na morza południowe! Naszym celem będzie poszukiwanie skarbów. Gdyby nie on, nie byłoby nas stać na taki wyjazd. Ale nic za darmo – Jarek potrzebuje nas, tak jak my jego. W szczególności naszych

umiejętności. No nie rób takich okrągłych oczu, dziewczyno. Rozumiesz? A ty... ty masz szczęście, że znasz mnie, no i, że obracasz nieźle kilkoma niezbędnymi językami!

Fakt, „obracałam”. Angielski i francuski biegle, hiszpański nieźle. Trochę świata dotąd zwiedziłam. Właściwie tylko Europy, więc najwyższy czas wyruszyć w bardziej egzotyczne strony! Podróżowałam namiętnie, kiedy tylko była okazja i jak się dało. Jako student-praktykant, turysta, sezonowa siła robocza też. Wiele się można nauczyć i zobaczyć podróżując w taki sposób. Więcej niż z biurem podróży. Ostatnio moje kwalifikacje językowe przydawały się w pracy tłumacza w dużym koncernie międzynarodowym.

– O dzięki ci mój dobroczyńco! Przy tobie Wojtusi, to i cuda się zdarzają! Można poszukiwaczem skarbów zostać. Albo milionera spotkać, co to ma fantazję wydawać pieniądze tatusia...

– Nie tatusia, ale własną kasę, którą osobiście zarobi!

– ...w firmie tatusia. – Dokończyłam (czasami człowiek nie zdąży się ugryźć w język).

– Wojtek, przystopuj, gadasz jak potłuczony!

– ...i w ogóle, jedziemy na wyprawę, nie na wycieczkę! – Ciągnął niewzruszenie Wojtek. – To zasadnicza różnica. Podzielimy się zajęciami i obowiązkami, tak jak będzie wymagała sytuacja. Przecież wiesz, na takiej wyprawie trzeba być tragarzem, kucharzem, marynarzem, chłopcem okrętowym, mechanikiem, kierowcą, nurkiem, tłumaczem... tłumaczem to raczej ty, Młoda. Nikt nie jest w stanie przewidzieć wszystkich ról, w jakich wystąpimy na takiej wyprawie. Niestety, nic za darmo na tym parszywym świecie! Wszystko trzeba odpracować. Widzisz, co skarby piratów potrafią uczynić z człowieka!

– Jakie skarby? Jakich piratów? Oczadziałeś? – Dotąd nie brałam poważnie tego opowiadania.

– Po kolei, i w skrócie... Nie masz jakiegoś browara dla ochłody? W gardle mi zaschło.

– Przecież wiesz, że nie używam piwa pod żadną postacią... może być woda albo sok?

– No dobra, dawaj...

Nie czekając, aż dostanie obiecany napój, ciągnął opowiadanie:

– Otóż mój przyjaciel Jaro gdzieś spotkał żeglarza, zresztą znajomego jego ojca, który to żeglarz, nie ojciec, okazał się równocześnie pletwonurkiem i poszukiwaczem skarbów. Pracuje, czyli nurkuje zazwyczaj na tzw. Srebrnej Barierze, w rejonie Bahamów. Nie patrz tak na mnie, tak, tak, jest taki zawód... Jaro, znudzony do bólu brakiem pomysłów na życie,

chodził koło pomysłu wyprawy. Chodził, przemyślał, marudził, aż wreszcie namówił do tego pomysłu innych! (tak jakby Wojtka trzeba było namawiać do takich pomysłów!)

Słuchałam i zastanawiałam się, czy to mi się śni, że Wojtek siedzi naprzeciw, opowiadając o skarbach, wyprawie, południowych morzach? Tak jakby nigdy nic... Wiedziałam, że zawsze gnała go przed siebie żyłka poszukiwacza przygód. Tak jak i mnie...

– W każdym razie tamten poszukiwacz, jako znawca tematu, wybrał nam miejsce... – Tu Wojtek zawiesił głos, żeby spotęgować moją ciekawość.

– To już dokończ i powiedz gdzie?

– Wszystko w swoim czasie. Za trzy dni jesteśmy umówieni z nim na Karaibach. Pojutrze wylatujemy do Londynu, a w piątek lądujemy na „naszej” wyspie!

Jak wynikało z dalszej części opowiadania, Jarek wykupił dla nas tygodniowy pobyt przez amerykańskie biuro podróży obsługujące tę część świata. *All inclusive, last minute* – to były magiczne słowa, które zawsze kojarzyły mi się z zalaną słońcem plażą, turkusowym morzem i palmami. W cenie był przelot w obie strony z Londynu, do Londynu koszty pokrywaliśmy sami. Kilkaset zielonych na twarz za tygodniowy pobyt w rajku to nie była wygórowana cena. Mieliśmy tydzień na przygotowania organizacyjne. W tym czasie mieliśmy załatwić między innymi wynajęcie jachtu, na którym potem zamieszkamy i z którego będziemy prowadzić właściwe poszukiwania.

Jeżeli dobrze Wojtka zrozumiałam, skala kosztów nie stanowiła dla Jarka żadnego problemu, więc nie powinnam robić sobie wyrzutów. Tym bardziej, że zamierzałam solidnie odpracować przypadającą na mnie część. Wojtek, który jako jedyny z nas znał się na żeglowności, miał być prawą ręką nieznanego żeglarza. Ten z kolei, jako zawodowy poszukiwacz, pletwonurek, posiadacz patentu kapitana żeglugi, znający lokalne warunki, miał objąć kierownictwo wyprawy. Strasznie chciałam go poznać – musiał być niezwykle ciekawym człowiekiem.

Mieliśmy wyruszyć na wyprawę w nieznaną po „złote runo”, jak niegdyś w starożytnym micie Argonauci pod wodzą Jazona. Moja dusza poszukiwacza przygód wyła ze szczęścia! Nareszcie okazja, żeby się wyrwać poza nasz kontynent! Egzotyka w pełnym wymiarze, i to nie na pokaz dla turystów. Oczywiście, zdawałam sobie sprawę, że ryzyko ponosimy sami, cokolwiek się wydarzy. Decyzję podjęłam w pół sekundy. Z wrażenia nie zwróciłam uwagi, że to Wojtek podjął decyzję za mnie, przed zapytaniem mnie o zgodę!

Była jeszcze tylko jedna mała przeszkoda do pokonania.

– Super! – Powiedziałam, gdy Wojtek skończył.– Tylko... co z moim jutrzejszym egzaminem??? Cóż, muszę pójść, nawet, gdybym miała oblać. Co jest więcej niż pewne po takich rewelacjach...

– Nudna jesteś, Młoda, egzamin, i egzamin! Dasz radę, zdolna jesteś! Do wszystkiego! (Aluzja trafiona – żeby podróżować byłam zdolna do wielu rzeczy, ale żeby do wszystkiego – to już gruba przesada!) To ja tu do niej z propozycją nie do odrzucenia, a ona... No dobrze, jeśli oblejesz i wywalą cię z uczelni, znajdę ci jakieś zajęcie u mnie. Żebyś nie umarła z głodu.. Co powiesz, na przykład, na etat sprzątaczkę?...

\*

I oto minęły trzy dni – trzy dni, w czasie których, jak bohater Josepha Conrada, żyłam w amoku. Tropikalnym amoku. Jedyłą myślą, która od tej rozmowy kierowała moimi myślami, krokami, oddechem, była myśl o wyjeździe... A więc to możliwe! Wtedy, gdy najmniej się tego spodziewałam, ziściło się jedno z moich najskrytszych marzeń!

Egzamin oczywiście zdałam. Nie ważne, na jaką ocenę. Ważne było, że za kilkadziesiąt godzin wyjeżdżam! Na spotkanie przygody!

Pierwszej nocy śniło mi się, że trafiłam do raju. Spacerowałam po nieskazitelnym piasku nad brzegiem oceanu. I nagle przypomniałam sobie, że miałam czegoś szukać. Co to było? Zaczęłam rozglądać się niespokojnie, gdy zobaczyłam Wojtka. Szedł w moim kierunku i wskazywał na morze. Spojrzałam i...zamarłam. Przy brzegu stał statek piracki. Odwróciłam się i krzyknęłam „Uciekajmy”, ale Wojtek zniknął! Boże, co robić? Rzuciłam się do ucieczki w głąb plaży i... nagle z tropikalnych zarośli wyłonił się Wojtek. Ale nie był to zwyczajny Wojtek, lecz pirat z opaską na oku, półnagi, straszny, wymachując zakrzywionym kordelasem w rękę. Krzyknął: „Dalej Młoda, oddawaj skarby!” I zniknął!

Obudziłam się przerażona, a sen poszedł natychmiast w zapomnienie. Przypomniał mi się dopiero po trzech dniach, na wyspie. Byłam umiarkowanie przesadna. Jednak po tym, co nas spotkało pierwszego dnia pobytu na wyspie, zaczęłam zastanawiać się, czy ten sen nie był proroczy? Minęły zaledwie trzy dni od naszej rozmowy, a ja siedziałam w pokoju hotelowym, o tysiące mil od kraju, w równie pięknym, co egzotycznym zakątku świata, na jednej z wysp Morza Karaibskiego. To były pierwsze godziny naszego pobytu, a już nieoczekiwane wydarzenie wytrąciło nas z równowagi. Była trzecia nad ranem, pomimo to nie mogłam

zasnąć. Przypomniałam sobie mój sen sprzed trzech dni. Sen, który okazał się proroczy. Czyżbym miała zdolności medialne? Nigdy przedtem tego nie doświadczyłam. Jednak teraz moje myśli krążyły uparcie wokół jednego prostego pytania:

#### GDZIE PRZEPADŁ WOJTEK?

A wszystko zaczęło się tak niewinnie! Zgodnie z planem, spotkaliśmy się z Jarkiem w Londynie i dalej już podróżowaliśmy razem. Jarek, którego znałam dotąd tylko z opowiadań Wojtka, okazał się równym facetem. Był wysokim brunetem, o nieregularnych rysach twarzy. Otwarty, energiczny, z poczuciem humoru. Wszystko byłoby z nim w porządku, gdyby nie jeden defekt – nie istniało dla niego słowo „niemożliwe”. Rozbrajające było to jego beztroskie podejście do spraw finansowych oraz problemów życia codziennego. Jarek po prostu uważał, że rozwiązanie każdego problemu mierzy się ilością potrzebnych środków finansowych. Poza tym wszystko z nim było w porządku. Wojtek, który miał rodzinę na utrzymaniu i ograniczone środki finansowe do dyspozycji, siłą rzeczy z innej perspektywy patrzył na sprawy codzienne. Jednakże żadne przyziemne sprawy nie były w stanie przeszkodzić mu w realizacji planów. Kiedy pochłaniała go jakaś pasja, nic – ani brak czasu, ani zobowiązania rodzinne, czy zawodowe, ani brak tzw. kasy – nie były go w stanie powstrzymać. Czas można zawsze znaleźć, pieniądze zarobić lub zaoszczędzić. Każdą przeszkodę był w stanie pokonać – prędzej czy później – by wyruszyć na poszukiwanie przygody. W tym i wielu innych rzeczach byliśmy z Wojtkiem bardzo do siebie podobni. On miał rodzinę, a ja byłam singlem, a mimo to rozumieliśmy się znakomicie jako przyjaciele. Ostatecznie oboje byliśmy zodiakalnymi Bliźniakami!

Jak wspomniałam, do przyjazdu na wyspę wszystko szło zgodnie z planem. W piątek po południu wystartowaliśmy z Londynu. Po ośmiu godzinach lotu, również po południu (efekt przesunięcia czasu) wylądowaliśmy na wyspie. Port lotniczy, z lotu ptaka wyglądający jak olbrzymi hangar, okazał się bardzo nowoczesny. Kilkadziesiąt punktów odpraw, olbrzymi terminal, mnóstwo hałaśliwych Amerykanów, i spokojniejszych, choć nie mniej ruchliwych Latynosów. W tym tyglu narodów trudno było zresztą określić przynależność narodową w czystej postaci. Podobno na wyspie żyli przedstawiciele czterdziestu nacji!

Przy odprawie na lotnisku urzędnik imigracyjny zadał Jarkowi pytanie o cel przybycia. Nic szczególnego. Wojtka też o to spytali przed chwilą. Wojtek, jak to on, wymamrotał w swojej oszczędnej angielszczyźnie, że marzy o słońcu, ciepłym morzu i plaży. Ale Jarek miał jeszcze jedną cechę – lubił się popisywać swoją elokwencją i wdawać w długie dyskusje.



– Podobno macie tu, oprócz pięknych plaż, kilka ciekawych miejsc.

– *Yes, Sir. But what places do you mean?* O jakie miejsca panu chodzi? – Urzędnik okazał zainteresowanie i indagował dalej.

– No, różne. Historyczne. Z czasów pirackich.

– To znaczy?

– No, wie pan, ruiny, jaskinie, skarby piratów...

– Skarby piratów? To tylko bajki. Kto w nie wierzy?

– Jak to? – Zaperzył się Jarek, zanim zdążyłam go kopnąć w kostkę. – Są na to dokumenty, potwierdzające autentyczność tych historii. Au! Uważaj Iza, kopnęłam mnie w kostkę!

Idiota! Jakbym nie wiedziała, gdzie celowałam! Na szczęście ostatnie zdanie odruchowo wypowiedział po polsku. Tylko, że było już za późno. Urzędnik „rzucił się” na niego, jak na drapieżnik na niespodziewaną zdobycz.

– Czy może należy pan do tych zwariowanych turystów, którzy odwiedzają naszą wyspę w celu poszukiwań skarbów? Nieistniejących skarbów. Czy ma pan pozwolenie?

– Nieee... Jak tylko tak... wydaje mi się, że to bardzo interesujący temat. Jakie pozwolenie?

Jarek jakoś w końcu zorientował się, że coś jest nie tak. Nie wiem, czy to moje kopnięcie, czy ton głosu funkcjonariusza otrzeźwił go. Obejrzał się na mnie bezradnie.

– Pozwolenie na poszukiwanie skarbów.

– Nie. Poproszę koleżankę o pomoc w tłumaczeniu, bo mój angielski jest trochę za słaby. Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem.

Jarek nie zdawał sobie chyba sprawy, że jak sytuacja stawała się z każdym jego słowem coraz bardziej niebezpieczna. Facet w uniformie przyglądał nam się teraz uważnie i wręcz nieprzyjaźnie. Najwidoczniej poszukiwaczy skarbów nie witano tu z otwartymi ramionami. Poza tym tutejsi urzędnicy graniczni mają bardzo dużą władzę i lubią to okazywać. Jarek nie wiedział, że taki może wszystko, wliczając zawrócenie z granicy, jeśli im się ktoś nie spodoba. Już widziałam oczami wyobraźni, jak my z Wojtkiem zostajemy tu sami, a Jarka nie wpuszczają na wyspę. Albo inny scenariusz – wszystkich nas zatrzymują i odsyłają do Europy. O ile znałam Wojtkę, jako rasowy wspinacz miał w bagażu trochę swego sprzętu. Nie zwrócili na to uwagi i Wojtkę przepuścili. Ja też byłam już po odprawie. Ale teraz mogą nas

wziąć do powtórnej kontroli. Nie można dopuścić, by nasza wyprawa skończyła się, zanim się zaczęła!

Przysłuchiwałam się ich rozmowie bardzo uważnie. Jednakże, żeby zbagatelizować całą sprawę udłam, że nie słuchałam. Musiałam uzbroić się w cierpliwość i wykazać chęć współpracy z tutejszymi władzami. Każdy urzędas nie lubi być lekceważony.

– O jakie pozwolenie chodzi, proszę pana? Czyżbyśmy nie dopełnili jakichś formalności? Przecież spełniliśmy wszystkie formalności wizowe. Zamknij się, i ani słowa więcej!

To ostatnie zdanie wypowiedziane po polsku, było oczywiście skierowane do Jarka. Urzędnik wytłumaczył mi krótko i sucho, że nie o formalności wizowe tu chodzi, lecz o dodatkowe pozwolenie. Jeśli goście mają zamiar uprawiać jakąś inną działalność poza turystyką, na przykład zbierać okazy fauny i flory, lub przeszukiwać zatopione wraki, lub ruiny na lądzie, muszą to zgłosić.

– Ale my, proszę pana, jesteśmy turystami. Przyjechaliśmy tu odpocząć, poopalać się, popływać, ponurkować. O ile wiem, na nurkowanie nie potrzeba pozwolenia?

– Na zwykłe nurkowanie – nie. Ale kolega wspominał coś o poszukiwaniach skarbów. Na to wymagane jest pozwolenie!

– Być może, ale nas to nie dotyczy. Kolega lubi różne historie o piratach i ukrytych skarbach. Kto nie lubi tego słuchać, prawda? Cieszymy się po prostu na zwiedzanie wyspy. Słyszeliśmy, że agencje turystyczne organizują bardzo ciekawe wycieczki po wyspie. I tylko o takie zwiedzanie koledze chodziło.

Popatrzył na mnie, potem na Jarka, i jeszcze raz na mnie.

– Proszę uprzedzić tego pana, że nie wolno nigdzie kopać, ani ruszać ruin, ani zabierać niczego z wyspy. Inaczej może się to skończyć więzieniem i wydaleniem. Tu nie ma żadnych skarbów.

– Oczywiście, jeszcze raz dla pewności powtórzę mu to w naszym języku. – Po czym zwróciłam się do Jarka. – Słyszałeś? Zrozumiałeś wszystko? A teraz uśmiechnij się do niego, bo inaczej pomyśli, że coś ukrywasz. I jeszcze raz, albo dwa, albo pięć razy powtórz mu, że wszystko rozumiałeś. Że jesteśmy tylko turystami i niczego nie będziemy tu szukać.

Jarek bardzo gorliwie podszedł do moich instrukcji i zaczął gorąco zapewniać urzędas, że nic złego nie miał na myśli. Nie chodziło mu o żadne poszukiwania. Marzy tylko o wypoczynku na plaży i opalaniu. Funkcjonariusz miał już chyba dość jego gadatliwości i

przepuścił nas wszystkich. Wtedy nikt z nas jednak nie przypuszczał, że ten incydent może mieć swój dalszy ciąg.

Chociaż było późne popołudnie, na zewnątrz lotniska uderzył nas tropikalny skwar. Wyszliśmy przed budynek i zatrzymaliśmy się w miejscu, skąd firmowe busy hotelowe, zwane *shuttles*, zabierały gości.

– Dlaczego nie odbierają nas z hotelu? – Jarek niepokoił się. – Nie wysłali po nas busika?

– Jasne, a zawiadomiłeś ich łaskawie, że przyjeżdża Pan Jaro?

– Jareczku, nie spodziewali się nas o tej porze, nie przylecieliśmy z żadną grupą zorganizowaną. – Tłumaczyłam mu cierpliwie. – Najwidoczniej wszystkie *shuttle-busy* do naszego hotelu już odjechały.

– No właśnie, a można to było lepiej zorganizować.– Wyrzucał sobie Jarek.

– Jaro, wyluzuj, jest w porzo...

W końcu wzięliśmy taksówkę. Jechaliśmy wzdłuż wybrzeża w kierunku północnozachodnim. W drodze do naszego hotelu minęliśmy stolicę, która okazała się malowniczym miastem w stylu kolonialno–disneyowskim. Niska zabudowa, zdobione fasady, kolumny, ozdobne fryzy wieńczące budowle, rzeźbione balkony, okiennice chroniące przed tropikalnym słońcem.

No i te kolory! Oprócz dominującej bieli, bajeczne pastelowe róże, żółcie, zielenie, pistacje, jak w filmach Disneya. Pasaże handlowe wypełniał kolorowy tłum. Zbliżał się wieczór, pora wyczekiwana przez wszystkie bary, restauracje, dyskoteki. Dopóki nie zapadł zmrok, mogliśmy po drodze obserwować krajobraz wnętrza wyspy – suche i kamieniste połacie, porośnięte były kaktusowatymi zaroślami. Potem dowiedziałam się, że był to aloes – główne bogactwo wyspy. Byłam nieco rozczarowana tym pejzażem. Oczekiwałam bujnej, tropikalnej roślinności wszędzie, a tu wypalona słońcem ziemia. Owszem, po drugiej stronie drogi kompleksy hotelowe tonęły w morzu zieleni, ale to co innego.

Hotel okazał się całkiem ładnym budynkiem w stylu neokolonialnym. Miał cztery piętra, a jego nieregularna bryła tonęła – a jakże – w tropikalnej zieleni. Podczas załatwiania formalności w recepcji Jarek zdecydował, że bierzemy apartament. Biorąc pod uwagę dopłaty do jedynek, wypadło taniej w przeliczeniu na osobę. A poza tym byliśmy razem, „w kupie” jak to powiedział Wojtek. Mieliśmy salon, dwie sypialnie, dwie łazienki i balkon. Pełny barek

i lodówkę. Życ, nie umierać! Jarek z Wojtkiem zajęli jedna sypialnię, ja drugą. Pozostał jeszcze ogromny salon, gdzie śmiało zmieściłaby się jeszcze cała rodzina.

Różnica czasu zaczęła nam powoli dawać się we znaki. Był wieczór, co oznaczało, że w kraju jest trzecia lub czwarta nad ranem. Mimo tego chłopcy odczuwali bardziej głód, niż zmęczenie. Odświeżyliśmy się i zeszliśmy do hotelowej restauracji. Na razie nic nie zapowiadało burzliwych wydarzeń, które już wisiały w powietrzu. Stoliki były nastrojowo podświetlone, a wokół unosił się zapach egzotycznych przypraw. Restauracja zaczęła się zapelniać.

Na przystawkę zaserwowano nam marynowane *scavechi*, a jako dania główne do wyboru miejscowe specjały o dźwięcznych nazwach: *mochi di pisca*, *keri keri*, *komkomber stoba*, *stoba di bestia chikito*, w aromatycznych sosach, z dodatkiem południowych owoców. Jak zauważyłam, chłopcy nie gustowali specjalnie w regionalnej kuchni, opartej głównie na rybach i owocach morza.

– Jeśli deser będzie też z ryb albo owoców morza, to ja wracam! – Marudził Wojtek.

– Nie marudź! *Stoba* była z mięsa! – Zauważyłam. – A desery na pewno nie są z ryb! Likieri też nie. *Cocada* była pycha!

– *Stoba*, *kokada*, *szalu* można dostać od tych nazw! – Kaprysił Wojtek. – Nigdy nie wiadomo do końca, z czego co jest zrobione! A może z miejscowej świnki morskiej?

W tej strefie klimatycznej i kulturowej życie zaczynało się po zmroku. O tej porze dnia w naszym umiarkowanym klimacie zdecydowana większość układała się do snu. A tu – proszę – wokół rozwijało się w najlepsze życie nocne. Widząc nijakie miny chłopaków, postanowiłam ich rozruszać. Najlepszym sposobem było, oczywiście, tzw. „wsadzenie kija w mrowisko”.

– Popatrzcie, ten Latynos całkiem przystojny!

– Ale chyba zajęty, Młoda! – Gdy to mówił, do opalonego muskularnego blondyna podeszła ciemnowłosa dziewczyna, zbyt ciemna by zaliczyć ją do białej rasy. – Całkiem niezła! Ta to dopiero musi mieć temperament!

– Oczy ci wyjdą z orbit, Wojtusi, i wypadną, i już niczego nigdy nie zobaczysz. Ani kobiet, ani skałek, ani...! – Wiedziałam, że Wojtek jak każdy mężczyzna nie pogardził widokiem ładnych kobiet. Mimo, że zazwyczaj bardziej pociągały go liny wspinaczkowe, narty lub samochody. Nie do wiary, kiedy ten człowiek miał czas na kobiety? A przecież zdołał się ożenić.

– A ty zeza dostaniesz, i to rozbieżnego, od wodzenia wzrokiem za tymi Latynosami. – Potrafiliśmy z Wojtkiem dogadywać sobie bez końca i bez urazy. – Nie przyjechaliśmy tu romansować.

– Niech każdy mówi za siebie!– Odpaliłam, po minie Jarka widząc, że ogólnie zgadza się ze mną. – Mnie tam nie zaszkodzi trochę poplirtować.

– No ekipa, nie kłócić się! Ogłaszam jedyny słuszny kierunek: Do baru!

Ten region świata słynie ze różnych rodzajów rumu, z czego chłopcy wydawali się bardzo zadowoleni. Ja wolałam lżejsze koktajle – na bazie rumu oczywiście. Rum w czystej postaci przechodził gładko chyba tylko przez gardła piratów. Należał on w równym stopniu do historii tych mórz, jak piraci, awanturnicy i ich skarby. Tutejsza historia zawsze ociekała krwią i rumem. W opowieściach przewijali się konkwistadorzy i misjonarze, osadnicy i rozbójnicy, piraci i korsarze. Nie każdy wie, że w historii trafiały się też kobiety-piraci. Morskie wilczyce, które nie stroniły od mocnych trunków, przystojnych chłopaków, oraz innych męskich rozrywek. Nazwiska Lady Grace, czy też niejkiej Ann Bonnie i Mary Read, na stałe wpisały się w kroniki mórz. Nie były to w żadnym wypadku przykładowe żony i matki. Nic dziwnego, że strażnicy moralności woleliby, by poszły w całkowite zapomnienie.

Niepokorna Lady Grace uciekła na morze od swego lordowskiego męża. Nie udało się królowej Elżbiecie I namówić ją, by zamieniła pirackie rzemiosło na korsarskie. Angielska arystokratka była z pochodzenia Irlandką. Nie chciała ani wspierać brytyjskiej korony, ani dzielić się łupami z szkatułą królewską. Grasowała ze swym kochankiem głównie u wybrzeży Afryki.

Natomiast Ann Bonnie na szkunerze „Smok” grasowała między Wyspami Bahama i Antylami. Zakochała się w kapitanie pirackiego statku, Jacku Rackhamie i dotrzymywała mu towarzystwa na morzu przebrana za mężczyznę. Wyjątkowo bitny i okrutny młodzieniec budził postrach nawet wśród braci pirackiej. Równie bezwzględna i okrutna była Mary Read, o czym świadczył jej przydomek „Krwawa Mary”. W trakcie jednego z pirackich napadów ich ścieżki skrzyżowały się i odtąd zostały przyjaciółkami. Ale nie na długo. Wkrótce na Jamajce ujęto je i wraz z innymi piratami skazano na śmierć na szubienicy. Uniknęły wykonania wyroku, ale swoje marne życie zakończyły niechlubnie w więzieniu.

– Może wreszcie opowiecie więcej na temat tutejszych piratów i pozostawionych przez nich skarbów? Których mamy poszukiwać... – Głos Wojtka wyrwał mnie z zamyślenia.

– Chętnie, ale nie znam całej historii. – Powiedział Jarek. – Jest to bardzo romantyczna opowieść o księdzu, który zakochał się w pięknej kobiecie i zszedł przez to na złą drogę. Jak to często bywa w książkach i w życiu, wszystkiemu winne są kobiety. Wszystko to działo się na początku XIX wieku. Całą historię zna nasz żeglarz. Kapitan Jack ma przyjaciół w elitarnym Klubie Poszukiwaczy Skarbów i zadziwiającą wiedzę na ten temat...

Tu Jarek przerwał na chwilę, spoglądając na nasze niepewne miny.

– Tak, tak, istnieje i działa taki klub, chociaż nie afiszują się swoją działalnością. Nie wierzycie? Nie można tam po prostu przyjść i się zapisać... Członkowie tej organizacji dysponują niesamowitą wiedzą. Ale strzegą jej przed osobami postronnymi, niedowiarkami, którzy uważają poszukiwaczy za wariatów. Oraz przed różnej maści przestępcami szukającymi łatwej zdobyczy. Kapitan widział nawet autentyczne dokumenty z tamtej epoki, poświadczające prawdziwość tej historii. Wiem, bo mi opowiadał. Musicie poczekać do przyjazdu Kapitana.

– To znaczy, do kiedy?

– Sam dokładnie nie wiem. Musimy się jakoś skontaktować. Jutro spróbujemy.

Nie wiedzieliśmy, jak Jarek zamierza to zrobić, ale nikt nie drażył tematu.

– A ten gościu, cóż się tak nam przygląda? Popatrzcie dyskretnie w lewo, za siebie, ale nie wszyscy na raz! Iza, bo ci oczy wyjdą z orbit! – Jarek był jednak bystrym facetem. Niby wpatrzony tylko w swój kieliszek rumu, a jednak nic nie umknęło jego uwagi.

– Który to? Ten Latynos w łososiowej koszuli? – upewniłam się. – Chyba ci się zdaje, on akurat wychodzi. Szkoda, taki przystojny!

– Młoda, nie żałuj, jeszcze niejednego ci się trafi! Wiecie, co? Wyjdę za nim i rozejrzę się – Wojtka najwyraźniej nosiło.

– Dobra, stary, ale wracaj szybko. Czekamy na ciebie.

I tak oto Wojtek wyszedł z baru i przepadł jak kamień w wodę. A my z Jarkiem czekaliśmy, i czekaliśmy w nieskończoność. A potem wróciliśmy do swoich pokoi, ale żadne z nas nie mogło spać. Jarek uspokajał mnie, że Wojtek jest dorosłym facetem, że przecież nic nie mogło się stać. Ale mówić – to jedno, a czekać bezskutecznie – to co innego. No właśnie, dorosły facet tak nie postępuje, nie znika bez słowa.

Byłam pewna, że coś się stało i przychodziły mi do głowy różne rzeczy. Wpadł do jakiejś dziury i skrzył nogę? Wpadła mu w oko jakaś kobieta? A może po prostu zablądził w nowym otoczeniu? Nie, nie Wojtek. On by się nie zgubił. Musiało go coś zatrzymać. Jarek

już pewno spał, a ja leżałam w swoim pokoju, nie mogąc zasnąć. Co się stało? Co z naszymi planami poszukiwać? Dokąd nas to wszystko zaprowadzi? Dochodziła trzecia nad ranem, a w moim zmęczonym mózgu wierciło się beznadziejnie jedno pytanie:

GDZIE PODZIAŁ SIĘ WOJTEK?

## ***Rozdział 2. W którym wszystko jest inaczej niż miało być***

Wstał piękny dzień – nasz drugi na egzotycznej wyspie. Oboje z Jarkiem obudziliśmy się późno po nocnym czuwaniu. Wojtka nie było w dalszym ciągu. Każde z nas w głębi duszy wierzyło, że rano zobaczymy go śpiącego smacznie w swoim łóżku. Niestety! Łóżko Wojtka było puste i musieliśmy się zmierzyć z tym brutalnym faktem.

Zeszliśmy szybko na śniadanie, a potem poszliśmy rozejrzeć się po okolicy. Nasz kompleks hotelowy nie należał do największych, ani najbardziej ekskluzywnych. Ale i tak miał masę różnych zakamarków. Nawet pobieżne sprawdzenie zabrało nam trochę czasu. Trzy restauracje, z czego jedna przy plaży, drink bar, hotelowy butik, zaciszny klub, siłownia, bilard – wszędzie zajrzeliśmy. Nawet na plac zabaw dla dzieci. W przyspieszonym tempie zapoznaliśmy się z rozkładem całego kompleksu. Na koniec został nam ogród w stylu tropikalnej oranżerii, dwa baseny, z czego jeden mniejszy, ukryty wśród tropikalnej roślinności, zachwyił mnie szmerzącym cicho wodospadem. Nigdzie najmniejszego śladu naszego przyjaciela.

Hotel miał też własny dostęp do morza – a jakże! Kawał piaszczystej plaży, a na niej mnóstwo leżaków i parasoli, chroniących przed zabójczym, tropikalnym słońcem. Wyczerpawszy na razie wszystkie możliwości poszukiwać, dotarliśmy w końcu do plaży. Biały, miękki piasek oślepił nas. Gapiliśmy się na turkusowe morze. Lekka bryza łagodziła upał. Woda w oceanie – jak marzenie! Życ, nie umierać! Ulokowaliśmy się pod jednym z kolorowych parasoli i zaczęliśmy się naradzać. Co robić? Iść na policję? Może jeszcze za wcześnie na wszczynanie alarmu? Przecież Wojtek to dorosły facet. Może dał się oczarować urokiem jakiejś Kreolki? Może po wyjściu z baru zabłąkał się i zasnął gdzieś pod palmą na plaży? W tym przypadku powinien się zjawić lada chwila. Wojtek potrafił być „zakrecony”,

jednak był odpowiedzialny. Nie znikał bez uprzedzenia. Postaraliby się dotrzeć do nas jak najszybciej, lub przynajmniej, przesłać nam wiadomość, co się z nim dzieje. To wszystko oznaczało, że ma kłopoty. Mimo to, moja kobieca intuicja mówiła mi, że żyje.

– Jeśli Wojtek nie wróci do południa, idziemy na policję. – Podsumował Jaro.

– Już jest południe! – Sprowadziłam go na ziemię – A co z twoim znajomym żeglarzem? Jak się spotkamy? Umówiliście się jakoś?

– Kapitan powinien już tu być. Muszę z nim złapać kontakt. Sposób jest jeden, wypróbowany – przez Internet. Miał mi zostawić wiadomość na skrzynce mailowej, gdzie go szukać. Nie wiesz, czy w naszym hotelu mają dostęp do Internetu?

– Nie zauważyłam, ale na pewno mają. Jeśli nie, pojedziemy do miasta. Zdaje się, że najbliższym miastem jest stolica?

– I tak musimy tam zaraz pojechać przypomniał Jarek. Trzeba wynająć samochód. Poza tym musimy zaopatrzyć się w jakiś telefon komórkowy, który będzie działał w tej części świata. Kupimy, lub wypożyczymy. Wiesz, taki na kartę lokalnej sieci. Inaczej będziemy odcięci od komunikacji.

Trzeba było opuścić rajską plażę i wracać do hotelu. Zgłosiliśmy w recepcji zaginięcie naszego przyjaciela. Nie bardzo się tym przejęli, nie potraktowali tego jak zaginięcie. Na miejscu można było bezpłatnie skorzystać z Internetu (co u nas w tamtych latach nie było jeszcze tak powszechne). Jarek przesłał wiadomość na skrzynkę elektroniczną żeglarza. Że jesteśmy na wyspie, i gdzie się zatrzymaliśmy. Internet to genialny wynalazek naszych czasów. Taka magiczna, kryształowa kula, przy pomocy której widzisz, co dzieje się w odległych zakątkach naszego globu. W tamtych latach w kraju był dopiero w powijakach. Ale tutaj był już ogólnie dostępny. Swoją drogą, jak ludzie radzili sobie kiedyś, gdy nie było Internetu, poczty elektronicznej i telefonów komórkowych? Podobno nawet trafiali na czas na umówione spotkania!

Taksówką dostaliśmy się w pół godziny do stolicy. Korzystając z karty Jarka i bankomatu uporaliśmy się dość szybko z problemami finansowymi. Plastikowa karta to kolejny cudowny gadżet działający na całym świecie (no, prawie). Czuliśmy się jak Alibaba z bajki, gdy wypowiadał zaklęcie „Sesamie, otwórz się!”.

Zrobiliśmy drobne zakupy i zaopatrzyliśmy się w dwa telefony komórkowe. Wynajęliśmy też samochód, żeby mieć do dyspozycji swój środek transportu.

– Jaro, a teraz idziemy na policję!



– A jeśli Wojtek jest już w hotelu?

– A jeśli nie???

Milczenie. Przez chwilę zastanawiamy się, co robić. Jednak idziemy. Ulice raczej puste. Upał południa zagonił wszystkich pod dach. Albo pod kolorowe markizy, których tu wszędzie pełno. Lub do pomieszczeń, najlepiej klimatyzowanych.

Miejscowy posterunek. Zgłaszamy zaginięcie przyjaciela. Po raz kolejny przekonuję się, że funkcjonariusze policji w różnych krajach różną się głównie ubiorem. Styl działania mają wszędzie jednakowy. Rozmowa z policjantem w tzw. *papiamiento*, mieszance różnych tutejszych języków, brzmiała tak dziwnie, że Jarek aż otworzył usta, zdziwiony, że nagle nic nie rozumie.

- *Bon dia, señor e señorita. Mi ta bon? Czy wszystko dobrze? Aaa, usted es de Europa?*

Dyżurny policjant wysłuchał mnie i wydawało się, że nawet zrozumiał. Zapewnił nas stanowczo, że nie ma powodu się martwić. Wszystko będzie bardzo dobrze. *Hopi bon*. Oni i tak nic nie mogą zrobić przed upływem doby. Dopiero *mañana* mogą przyjąć formalnie nasze zgłoszenie o zaginięciu. Przecież nasz przyjaciel jest dorosły i może robić, co chce! Takie rzeczy tu się zdarzają. Ludzie są na wakacjach i bywa, że znikają na parę godzin, nawet na cały dzień. Po czym zawsze sami się odnajdują. Najdalej na drugi dzień. Trzeba wrócić do hotelu i spokojnie czekać. *Aye*. Do widzenia.

*Mañana!* Magiczne „jutro”, które znałam z opowiadań i z własnych doświadczeń. Słowo ludzi południa, flegmatycznych i nigdy niespieszących się. Nie po raz pierwszy odczułam boleśnie jego działanie na własnej skórze. *Masha danki*. Dziękujemy bardzo.

\*

Nie wskórawszy nic na policji, poszliśmy powłóczyć się po ulicach i placach zalanych słońcem. Było popołudnie. O tej porze dnia było pustawo, trwała ciągle upalna sjesta. Powlekliśmy się kierunku portu. Na redzie stał właśnie prom, z którego wysypywał się barwny i krzykliwy tłum pasażerów. Minęliśmy ich i poszliśmy dalej. Tam, gdzie widać było las masztów kołyszących się w podmuchach lekkiej bryzy. To był port jachtowy, niewielka marina. Jednak nie piękne jachty, stojące na redzie przykuły mój wzrok. Moją wyobraźnię

poruszył inny, niezwykle widok. W oddali, ponad kołyszącymi się leciutko masztami, powiewał tryumfalnie czarny *jolly Roger*. Piracka bandera!

Czy ja śnię? A może to halucynacje, spowodowane tropikalnym słońcem? Wiedziałam, że w naszych czasach używa jej czasami marynarka wojenna dla uczczenia zwycięstwa na morzu. Ale tu? Kim byli ludzie, którzy ją wywiesili?

Jak lunatyk pociągnęłam Jarka w tę stronę. Jarek nie za bardzo rozumiał, dlaczego tak nagle pognałam na koniec mariny, ale posłusznie pomaszzerował za mną.

W miarę jak mijaliśmy kolejne zacumowane jachty, odsłaniał się przede mną niezwykle widok. Najpierw dwa maszty i reje z częściowo zwiniętymi żaglami. Wreszcie drewniany, smukły kadłub, pociemniały od morskiej wody, burty, galion w kształcie kobiety, rzeźbione relingi. Na redzie stał najprawdziwszy piracki bryg!

Na pokładzie kręciło się kilku ludzi. Zwijali i klarowali żagle, widać statek właśnie dobił do brzegu. O rany! To nie byli zwykli marynarze. Mieli na sobie kolorowe spodnie i koszule z innej epoki. Nosili kapelusze lub chusty owiązane dookoła głowy. Jeden z nich miał przepaskę na oku. Niektórym zza pasa wystawały krótkie kordelasy lub masywne pistolety.

Co się tu dzieje? Rozejrzałam się po nabrzeżu, czy nie ma jakiejś ekipy filmowej. Może to Polański kręci kolejną część „Piratów”? Ale nabrzeże było puste. Moje marzenie, by zobaczyć na własne oczy piracki statek, a jeszcze lepiej – pobyć na nim, zaraz się spełni! Gdybym wtedy wiedziała, że marzenia mogą zmieniać się w koszmar! Jak zahipnotyzowana podeszłam jeszcze bliżej. Dojrzałam nazwę na burcie. „ROSITA”.

Stałam jak zahipnotyzowana, nie mogąc oderwać wzroku od masztów, zwijanych żagli, piszczących kabestanów. I kolorowych postaci uwijających się na pokładzie. Statek nie mógł być oryginałem pochodzącym z epoki. Stanowił jednak wierną kopię osiemnastowiecznego brygu – niewielkiego, zwinnego dwumasztowca używanego głównie do ochrony floty handlowej oraz do walki.

– *Con ta bai, bunita bionda?* – Usłyszałam z wysoka w miejscowym *papiamento*. Rozejrzałam się w poszukiwaniu osoby, do której były skierowane. Żadnej blondynki nie było, tylko jakaś para emerytów oddalała się od nabrzeża.

– Chodź do nas, *pequeña*, zbierzemy cię na rajską wyspę – pirat w czerwonej koszuli, z chustą na głowie najwyraźniej mówił do mnie, pokazując w uśmiechu ubytki w uzębieniu. – Obsypimy cię złotem i skarbami, będziesz naszą królową.

– *Señorita* jest zajęta! *Busy! You understand?* – Jarek próbował odciągnąć mnie dalej, ale ja byłam jak w transie. Pierwszy raz widziałam z bliska „prawdziwy” piracki bryg z „prawdziwymi” piratami na pokładzie. I dałabym nie wiem co, żeby się tam znaleźć.

– Jesteście prawdziwymi piratami? Można zwiedzić statek?

– *Si, si, claro*, jesteśmy prawdziwi, *filibusteros en verdad, señorita*. – Pirat uśmiechnął się szeroko. – Chodź do nas, pokażemy ci statek.

Zobaczyłam przerażenie w oczach Jarka.

– Iza! Czym ty się tak podniecasz? Co ty, piratów nie widziałaś?

– A ty oczywiście widziałeś! Wszędzie byłeś i wszystko widziałeś! Jeśli chcesz wiedzieć, to nie widziałam, w każdym razie nie z bliska.

– Pojedź latem nad Bałtyk, tam trafisz na takie pokazy.

– Phi, takich sztucznych piratów na stateczkach z dykty przy molo, to ja mam gdzieś! To dobre dla dzieciaków na wakacjach. Ci są prawdziwi, nie widzisz? I żaglowiec prawdziwy, właśnie przyplłynął! Ja to muszę zobaczyć.

– Nigdzie nie pójdziesz! Nie ma takiej opcji! Nie wiesz, kim oni są!

– Jak to nie wiem!? Piratami! – Zażartowałam, ale widząc minę Jarka, zaczęłam go uspakajać. – Nic mi nie będzie, Jareczku! Sam przed chwilą mówiłeś, że to są tylko takie pokazy. Przecież to nie mogą być całkiem prawdziwi piraci! – Zmieniłam linię obrony. – A przebrani piraci nic mi nie mogą zrobić! Zresztą zaprosili mnie.

– Iza, to nie jest śmieszne, przecież tam jest kilkunastu chłopca. Skąd możesz wiedzieć, do czego są zdolni?

– Jarek, przecież tu jest przystań, kręcą się ludzie. (Tyle, że akurat na brzegu oprócz nas nie było żywej duszy) Ty zostaniesz na brzegu, jako gwarancja mego bezpieczeństwa, nic mi się nie stanie. W razie czego wezwiesz pomoc.

Gdybym popatrzyła na tę sytuację oczami własnej ciotki, obawy Jarka byłyby zrozumiałe. Troskliwe ciocie wszędzie węszą niebezpieczeństwo. Gdybym tak patrzyła na życie, wielu rzeczy nigdy bym nie zobaczyła i nie przeżyła.

Z drugiej strony, co mogło mi się stać tu, w tym miejscu? To, że Jarek zostanie na brzegu, było dodatkową rękojmą bezpieczeństwa. Gdybyśmy weszli na pokład oboje, to, co innego. Moje rozumowanie było całkiem logiczne. Zresztą było oczywiste, że oni nie mogli być prawdziwi. Nie staliby tak na widoku, na redzie, pod piracką banderą, tylko szukaliby

jakiegoś zacisznego zakątka. Prawdziwi piraci dawno już wymarli. Musiało być jakieś wyjaśnienie tej zagadki, i ono również pchało mnie na pokład statku.

Jarek mamrotał pod nosem coś, z czego udało mi się wyłowić tylko:

– Same kłopoty z tymi babami! Jak się taka na coś uprze, to koniec! Nigdy więcej żadnych bab w ekipie...

Ale ja już nie słuchałam. Pokazałam, żeby rzucili trap i weszłam na pokład. Co tam zobaczyłam, to moje. Pirat z przepaską na oku przedstawił się jako Capitan Ojo (czyli Oko). Zwano go tak z powodu braku oka, co ukrywał pod przepaską. Gdzie i w jakich okolicznościach je stracił – nie miałam odwagi zapytać. Kapitan mówił dobrze po angielsku, a jego sposób mówienia świadczył, że jest człowiekiem wykształconym. Kolejna zagadka, która pozostanie być może nigdy nierozwiązana.

Oprowadził mnie po swoim królestwie. Weszłam na mostek, zajrzałam do kajuty kapitańskiej, na rufę, nawet pod pokład. Dotykałam olinowania, burt, czy prawdziwe, czy nie daj Boże, plastikowe. Pomacałam żagle – wszystko było najprawdziwsze! Straszna miałam ochotę wdrapać się do bocianiego gniazda. Po namyśle obiecałam sobie, że innym razem.

Z obecnej na pokładzie załogi Capitan Ojo przedstawił mi jedynie bosmana. Nie wyglądał na Latynosa – był zbyt wysoki i potężny (Latynosi są raczej niscy i drobni). Wydawało mi się, że pod zawiązaną na głowie chustą był łysy. Na gołym torsie nosił tylko kamizelę nie pierwszej świeżości. Chyba nie znał dobrze angielskiego, bo nie odezwał się ani słowem. Kiwnął tylko głową i natychmiast wrócił do swoich zajęć, czyli do wydawania poleceń reszcie załogi. Wszyscy wydawali się bardzo zajęci przy zwijaniu żagli i klarowaniu szotów.

Kapitan Ojo wyjaśnił mi, że statek jest jego własnością. Został zbudowany w ubiegłym wieku jako wierna kopia dawnego dwumasztowego brygu. Od dawna nie pływa po otwartych wodach – ma jedynie zezwolenie na żeglugę przybrzeżną. Odbywają krótkie wycieczki z turystami na pokładzie. Oczywiście odpłatnie. Tak zarabiają na życie. Albo oprowadzają grupy zwiedzających, gdy statek stoi na redzie. Kiedyś wynajęła go ekipa filmowa i kręcili film z ich udziałem. To były czasy! Teraz jest gorzej. Ciężko zarobić na kawałek chleba. Podążają za kalendarzem imprez turystycznych, których na Antylach w sezonie pełno. Piracka bandera to taki gadżet – mają zezwolenie. Przyłynęli tutaj, gdyż za parę dni rozpoczynają się na wyspie międzynarodowe zawody w windsurfingu. Zjedzie się mnóstwo turystów, znakomita okazja, żeby zarobić.

W każdym słowie jego opowieści słychać było, że bryg i morze są jego miłością i żywiołem. Bardzo mnie tym ujął.

No i co? Nic złego mnie nie spotkało! Ani przypuszczałam wtedy, że piratów spotkam niedługo w mniej przyjaznych okolicznościach! Nawet ci tutaj wyglądali wystarczająco groźnie. A może tylko mi się tak wydawało? Reszta nie mówiła chyba po angielsku. Łypali oczami, gdy ich mijaliśmy. Kiwali głowami na powitanie i mruczeli coś pod nosem, co miało być powitaniem. A ja pomyślałam sobie, że nie chciałabym się znaleźć z nimi sam na sam na pokładzie w innych okolicznościach!

Kapitan Ojo w roli gospodarza odprowadził mnie z powrotem do chybotliwego trapu. Uśmiechnął się szeroko, gdy na pożegnanie powiedziałam: „*Masha danki. Aye.*” Jarek odetchnął z ulgą, gdy po trapie zeszałam z powrotem na stały ląd.

\*

Wynajętym samochodem dotarliśmy bez przeszkód do naszego hotelu. W recepcji hotelowej, upewniliśmy się, że Wojtek nie wrócił. Zawołaliśmy *managera* hotelu, który poza tym, że był bardzo grzeczny, w niczym nam nie pomógł. Nawrzucałam mu, co myślimy na temat bezpieczeństwa gości w jego hotelu. Widzieliśmy, że nie bardzo się przejął. Ze stoickim spokojem poprosił, żebyśmy usiedli, a on zaraz udowodni, że dbają o swoich gości.

Siedzieliśmy tak, i siedzieliśmy, i nic się nie działo. Gdy nasze zniecierpliwienie sięgnęło zenitu, pojawił się z powrotem z przystojniakiem o ciemnej karnacji. Rany! To był ten sam facet, którego widzieliśmy wczoraj w barze. Ten, za którym wyszedł Wojtek, zanim przepadł!

– Iza, chyba przyprowadził ci amanta na otarcie łez! – Zażartował sobie Jarek, który najwidoczniej go nie rozpoznał.

– Jaruniu, dowcip ci się wyostrzył od tej pikantnej kuchni? – Syknęłam po polsku. – Czy ty nie widzisz, że to ten facet, za którym wyszedł wczoraj Wojtek?

– Nie żartuj, bo mi skóra cierpie! Co to za koleś?

Manager przedstawił go jako pracownika ochrony hotelu. Typ nazywał Juan Carlos Porter. W myślach nazwałam go Latynosem, lub Metysem ze względu na ciemną karnację. Typ był przystojny i wyższy niż przeciętny Latynos.

– *Buenos dias! Señores y señorita. Good afternoon.* – Metys mówił bezbłędnym angielskim i hiszpańskim. Tylko póki co, nie mógł się zdecydować, którego z nich używać.

– Pracuję w służbie ochrony tego hotelu. Słyszałem o waszym problemie. Proszę opowiedzieć raz jeszcze, jak zgubiliście kolegę.

Szlag by go trafił! My zgubiliśmy? I w ogóle, ile razy mam to powtarzać? Już to opowiadaliśmy, na policji i w hotelu. Detektyw, a taki niezorientowany! Może mam opowiedzieć, jak to Wojtek wyszedł, żeby właśnie JEGO śledzić, po czym zaginął? A poza tym, czy detektyw hotelowy może być taki młody i tak przystojny? W powieściach kryminalnych detektywi są z reguły zdezelowani życiem.

– Chodzi o naszego przyjaciela. Zaginął wczoraj w nocy, po tym jak wyszedł z baru przewietrzyć się nieco.

Tu raz jeszcze przedstawiłam przebieg wydarzeń. Nie wspominając na wszelki wypadek, że to za nim wyszedł. Nigdy za wiele ostrożności, gdy nie wiadomo, z kim się ma do czynienia. Detektyw uspokoił nas, że takie przypadki zdarzają się czasami. On teraz robi, co do niego należy, tzn. sprawdzi w pobliskich hotelach, czy nie widziano takiego turysty. Może mamy zdjęcie naszego kolegi? Będzie łatwiej pytać. Wyjęłam i dałam mu jedyne, jakie miałam przy sobie, na którym byłam z Wojtkiem. Ciekawe, jak z niego skorzysta? Oboje byliśmy słabo rozpoznawalni, w kombinezonach narciarskich, na tle ośnieżonych Dolomitów. Obserwowałam wyraz twarzy, gdy spojrział na zdjęcie. Wyglądał, jakby pierwszy raz widział Wojtka. To mnie nie przekonało. Gdyby miał coś wspólnego ze zniknięciem Wojtka, tym bardziej nie dałby tego po sobie poznać.

W tym zamieszaniu nie zauważyliśmy, że nadszedł wieczór. Nasze żołądki zaczęły się upominać o swoje prawa. Odświeżyliśmy się i zeszliśmy na kolację. Siedzieliśmy przy stoliku i jedliśmy, prawie nie rozmawiając. Każde z nas było pochłonięte własnymi myślami. Gdzie jest teraz Wojtek? Co się z nim dzieje? Czy grozi mu jakieś niebezpieczeństwo? Podświadomie rzucaliśmy spojrzenia w kierunku drzwi, jakby czekając, żeby się w nich pojawił. Niestety, nic takiego się nie wydarzyło. Toteż, gdy do naszego stolika podszedł kelner, oboje podskoczyliśmy, jak oparzeni. Zwrócił się usłużnie do Jarka:

– *Perdoneme! señor*, jest Pan proszony do recepcji.

Siedziałam jak na szpilkach. Jaro wrócił, a jego twarz miała wyraz nieodgadniony.

– Nie, nic nowego w sprawie Wojtka, mamy za to wiadomość od Kapitana Jacka.

Podał mi kartkę, na której było tylko krótkie zdanie:

„Jestem w California Lighthouse, Jack”

– Skoro tu był, dlaczego nie spotkał się z nami tutaj?

Niestety, było już późno i na wyjaśnienia musieliśmy poczekać do następnego dnia.

\*

Następnego ranka wyгнаła nas z łóżek bardzo wcześnie zarówno ciekawość, jak i niepokój. Była niedziela, trzeci dzień od naszego przyjazdu na wyspę.

Dopytaliśmy się w recepcji, co to jest California Lighthouse. Okazało się, że Jack wyznaczył nam spotkanie w latarni morskiej na zachodnim cyplu wyspy. Wskoczyliśmy do wynajętego chevroleta i skierowaliśmy się drogą na zachód. Trafiliśmy bezbłędnie, bo latarnię było widać z daleka. Królowała nad zachodnim cyplem, pustawym i pozbawionym roślinności jeszcze bardziej niż reszta terenu. W okolicy było kilka zabudowań, ale dookoła nic się nie działo. Chyba było za wcześnie. Wszyscy odsypiali jeszcze życie nocne. Zajrzeliśmy do restauracji, która znajdowała się u podnóża latarni. W środku było pusto. Żeby skrócić sobie czas oczekiwania, postanowiliśmy wejść na górę. Na drodze stanął nam strażnik tego przybytku, który zmaterializował się nagle i zagroził nam drogę. Nie wolno. Dopiero mój przymiłny uśmiech i banknot kilku dolarowy pokonał te przeszkody. Wdrapaliśmy się po niezliczonych schodach na poziom widokowy, i...zaparło nam dech w piersi!

Pod nami rozciągała się w całej okazałości nasza wyspa, płaska, żółto-pomarańczowa i kamienista. W części południowo-zachodniej, wzdłuż linii wybrzeża, gdzie ciągnęły białe plaże, kompleksy hotelowe były widoczne jako plamy zieleni. Dalej zlewało się z horyzontem jakieś większe miasto – to chyba stolica. Za to brzeg północny był skalisty i poszarpany. W środku wyspy majaczyła zielona połać. Był to, jak okazało się później, park narodowy, dziki rezerwat przyrody. Wyspa bardzo różniła pod względem szaty roślinnej od pozostałych wysp tej strefy klimatycznej. Sucha, kamienista, porośnięta kaktusowatymi zaroślami w miejsce lasów tropikalnych. Pomyślałam sobie, że suchy mikroklimat jest zdrowszy i może mieć swoje dobre strony – moskity i większość kęszających owadów woli wilgotne tereny.

W kierunku południowo-zachodnim majaczyło na horyzoncie pasmo mgły. Tam był z pewnością stały ląd – kontynent południowoamerykański. A wokół nic tylko wszechobecne morze! Legendarne Morze Karaibskie, które przyciągało jak magnes swoim niebezpiecznym urokiem i obietnicami bogactwa. Niepowtarzalne przeżycie, być tu blisko szlaków morskich,

po których pływali niegdyś najwięksi odkrywcy i konkwistadorzy, awanturnicy i misjonarze, korsarze i piraci. W poszukiwaniu skarbów i przygód.

Właśnie odwróciłam się, by zapytać naszego gospodarza o ląd, widoczny w oddali, gdy usłyszałam:

– Chłopie, czy jest na świecie jakieś miejsce, do którego byś nie dotarł, gdy się uprzesz?

– Witaj, Jack! O to samo mógłbym ciebie spytać.– Odpowiedział Jarek.

To był oczywiście nasz wyczekiwany żeglarz. Słowa powitania wskazywały, że byli ulepieni z tej samej gliny. Niespokojne duchy, choć na oko wydawali się tak różni! Różnili nie tylko wiekiem i wyglądem, także doświadczeniem. Jarek nie miał jeszcze trzydziestki, był wysokim, wysportowanym brunetem. Mimo niezbyt regularnych rysów twarzy, mógł się podobać kobietom. Charakter też miał do wytrzymania. Polubiłam go od razu, ale nie zaiskrzyło między nami. Mieliśmy pozostać po prostu przyjaciółmi.

Jack, zwany Kapitanem, okazał się postawnym mężczyzną w średnim wieku. Na jego twarzy widać było ślady słońca i wiatru, a włosy były pokryte lekką siwizną. Jasnoszare oczy widziały człowieka na wylot. Sylwetkę miał silną i muskularną. Mówił poprawną polszczyzną z lekkim obcym akcentem – najwidoczniej nie używał tego języka na codzień. Jego też polubiłam od pierwszego wejrzenia. Właściwie lubiłam go zanim Jarek nas przedstawił w tej latarni, tylko o tym nie wiedziałam.

Tematem numer jeden było oczywiście zniknięcie Wojtka. Kapitan nie znał Wojtka osobiście, jednak przejął się bardzo jego zniknięciem. Wysłuchawszy naszej relacji zdecydował, że najważniejsza jest kolejna wizyta na policji.

Gdy dotarliśmy do stolicy było wczesne popołudnie. Dyżurny na posterunku rozmawiał z nami trochę inaczej niż wczoraj. Czy wpłynęła na to obecność Kapitana? Teraz on prowadził rozmowę w tym ich dialekcie. Widać było respekt, z jakim traktowali go policjanci. Czy go znali? Czy może wreszcie zdali sobie sprawę z powagi sytuacji? Owszem, przyjęli zgłoszenie, ale to było na razie wszystko, co mogli dla nas zrobić. Znużeni upałem i bezradnością opuściliśmy posterunek. Ulokowaliśmy się w małej kafejce na centralnym placu stolicy. Zamówiliśmy jakieś tropikalne koktajle. Stoliki były rozstawione pod markizą, znajdowaliśmy się zatem równocześnie pod dachem i na ulicy.

Jack najpierw wyjaśnił nam, dlaczego wyznaczył spotkanie poza hotelem.



– Wczoraj po południu odebrałem waszą wiadomość i od razu pojechałem szukać waszego hotelu. Gdy dotarłem na miejsce, natknąłem się na pewnego podejrzanego typa. Miałem z nim kiedyś poważny zatarg w innych okolicznościach. Typ nazywa się Rasta Harry. O ile wiem, należy do rastafarian i jest narkomanem. Nie chciałem, żeby wiedział, że tu jestem. Ani tym bardziej, żeby zobaczył nas razem. To mogłoby oznaczać dla was kłopoty. Dlatego zostawiłem dyskretnie wiadomość razem z napiwkami w recepcji.

Było popołudnie, pora sjeisty. Skwar stał się nie do zniesienia, więc tylko pojedynczy przechodnie snuli się wolno po zalanych słońcem placach i ulicach. Niedługo słońce obniży się, a tłumy turystów zaczną wylewać się na zewnątrz w poszukiwaniu wieczornego chłodu. Siedzieliśmy pod markizą, popijając chłodne koktajle, a Jack dzielił się z nami swoją znajomością życia i ludzi. Moje zachwyty pirackim brygiem skomentował w następujący sposób:

– Na pewno myślicie, że zawód „pirata” wymarł wraz z dawnymi filibustierami? Nic podobnego. Napotkani przez ciebie, Iza, „piraci” nie żyją z rozboju, ale morscy rozbójnicy też tu grasują. Rasta Harry, o którym wam mówiłem, należał kiedyś do takiej bandy współczesnych „piratów”. Są to przestępcy, którzy działają na lądzie, jak i na wodzie. Wykorzystują wszystko, co pływa, żeby się przemieszczać z wyspy na wyspę w poszukiwaniu ofiar i łupu. Nocą włamują się do hoteli. Napadają i rabują pływające jachty turystyczne. Udają turystów lub mieszkańców wysp. Żyją też z przemytu, prostytucji i handlu narkotykami. Morze nie stanowi dla nich bariery. Gdy na jednej wyspie zaczyna im się grunt palić pod nogami, zmieniają rejon. Są mobilni i trudno uchwytli. Znają znakomicie każdy zakamarek Morza Karaibskiego. Wiedzą, gdzie się przyczaić i kiedy zaatakować. Przybijają do brzegu w miejscach sobie tylko znanych. Czasami można spotkać jacht stojący na redzie w ustronnym, dzikim zakątku. Wtedy lepiej płynąć dalej

– A wydawało się, że tak tu bezpiecznie! Na ten temat nic nie piszą w folderach biur podróży.

– No właśnie, o tym nie piszą. Ale nie jest tak źle, w każdym razie nie wszędzie. Władze robią, co mogą by zapewnić bezpieczeństwo. Wyspa, na której jesteśmy należy do wyjątkowo bezpiecznych, ale nie należy zaniedbywać ostrożności... Rasta Harry pochodzi z Jamajki. Jego obecność może oznaczać, że działa tu jakaś grupa przestępcza. Kto wie, czy wasz kolega nie padł ofiarą jakiegoś „pirata lądowego”...

– No tak. Ale Wojtek nie miał przy sobie nic cennego, w ogóle nic, wszystko zostawiliśmy w naszym pokoju. – Uwaga Jarka nie była pozbawiona słuszności. – Więc dlaczego?

– Zawsze jest jakiś powód... – Powiedział filozoficznie Kapitan.

A ja w tym momencie doznałam olśnienia – przypomniła mi się rozmowa Jarka przy odprawie na lotnisku. Gdy wypalił niechętnie, że przyjechaliśmy szukać skarbów... Czyżby te fakty miały jakiś związek? Nie było w tym żadnej logiki, tylko intuicja. Z tym, że moja intuicja już nie raz ostrzegła mnie w porę. Na razie zachowałam te przemyślenia dla siebie.

– *A propos* piratów i ich skarbów. Mamy prowadzić poszukiwania, ale nikt nie wyjaśnił nam, dlaczego akurat na tej wyspie?

Kapitan podjął wątek.

– Jak może wiecie, biorę udział w poszukiwaniach prowadzonych na Srebrnej Mierzei. Tak nazywane jest wypiętrzenie dna morskiego na obrzeżach Morza Karaibskiego, do którego dociera ciepły prąd Golfstrom. Właśnie ten prąd powoduje, że jest to wymarzone miejsce dla poszukiwaczy skarbów. Prąd nanosi wraki statków z innych rejonów Atlantyku, nawet zatopione przed wiekami. Takie poszukiwania wymagają specjalnych przygotowań, specjalistycznego wyposażenia, wielu umiejętności, a przede wszystkim wytrwałości i cierpliwości. Przy nieraz bardzo miernych efektach. Prowadzimy je głównie nurkując. Morze niechętnie oddaje swoją zdobycz. Poszukiwania podwodne nie są dla amatorów.

Tu Kapitan pociągnął łyk, a ja wykorzystałam to, by wtrącić:

– Ale my jesteśmy amatorami, jak damy sobie radę?

– Powoli, Iza. Oprócz skarbów pochłoniętych przez fale, są jeszcze skarby pochowane przez piratów i korsarzy na lądzie. – Tu Kapitan uśmiechnął się – To jest nasz cel. Cel na miarę waszych możliwości.

– Legendarne skarby Drake'a, kapitana Kidda czy Myszolowa rozsiane po całym świecie? – Spytałam. – Od lat kuszą amatorów przygody i łatwego zysku. Czy ktoś w nie wierzy?

– Widzę, że trafiłam na znawcę historii tej części świata? A co najmniej na miłośniczkę historii korsarstwa i wszystkiego, co związane z piratami i skarbami? Ze skarbami to jest tak, że trzeba umieć odsiać mity od prawdy. A po drugie – nie dać się opętać chciwości, która zaciemnia umysł i każe wierzyć we wszystko.

– A „nasza” wyspa? Czy tu też przybijały statki pirackie?

– Z tą wyspą związana jest pewna romantyczna i wręcz skandaliczna historia. Dramat ludzkich namiętności na miarę Szekspira. Jej echa znalazły potwierdzenie w różnych pisanych źródłach. Gdyby nie to, być może zostałaaby uznana za wymysł. Śledztwo policyjne prowadzone przez ówczesne władze, potwierdza jej prawdziwość w odniesieniu do miejsc i uczestników wydarzeń. Pozostały obiektywne dowody – policyjne protokoły. Wszystko to działo się przed gorączką złota, która opanowała tę wyspę na początku dziewiętnastego wieku. Ale zaczęło się wszystko o tysiące mil stąd, na kontynencie, w stolicy Ekwadoru – Quito.

– Historia romantyczna i skandaliczna? Już nie mogę się doczekać dalszego ciągu! Proszę opowiadać! Jarek kazał czekać nam do spotkania z panem.

– Romantyczna, bo opowiada dzieje pewnej miłości i namiętności. Niemoralna, bowiem, jej głównym bohaterem jest ksiądz, którego na złą drogę sprowadziła kobieta. Piękna kobieta. Legenda mówi, że nosiła obce tu imię Wanda. Do historii przeszła pod imieniem Rosita. Była młoda i piękna, miała długie, jasne włosy i męża pijaka. Podejrzane indywiduum spod ciemnej gwiazdy. Czy to za jego przyczyną, czy też nie, miała skłonności do romansowania. Popadała przez to w nieustanne tarapaty ....*Dejalo...*

Nie dowiedzieliśmy się, w jakie tarapaty, bowiem Kapitan przerwał w pół zdania. Ostatnie słowo nie było skierowane do nas. Oznaczało mniej więcej „zostaw go, puść”. Mówiąc to, Jack skoczył na bogu ducha winnego Jarka. Tak się przynajmniej wydawało. A to dlatego, że nikt z nas nie zwrócił uwagi na kręcącego się na ulicy obdartusa. Dopiero, gdy ten rzucił się do naszego stolika, a dokładniej mówiąc, doskoczył do Jarka, Kapitan zareagował błyskawicznie. Unieruchomił napastnika, powalając go na ziemię. Twarzy obcego nie widzieliśmy. Za to brudne, obszarpane ciuchy nie budziły wątpliwości, z kim mamy do czynienia. Tylko, dlaczego włóczęga zaatakował Jarka?

Ze zdziwienia wyrwał nas zduszony głos powalonego napastnika. To, co usłyszeliśmy wprawilo nas w jeszcze większe osłupienie:

– Człowieku, puść mnie...oczadziałeś?! Wyluzuj...

Ludzie! Miejscowy włóczęga mówił PO POLSKU! Mało tego, jego głos był znajomy i należał niewątpliwie do...naszego przyjaciela Wojtka!

### ***Rozdział 3. W którym ksiądz zostaje kochankiem Rosity***

Nasze zaskoczenie było całkowite. Miejscowy włóczęga i obdartus mówił głosem zaginionego przyjaciela? Co to wszystko miało znaczyć? Kiedy zdezorientowany Kapitan puścił wreszcie napastnika, ten pozbiierał się z podłogi i odwrócił się do nas. Podczas szamotaniny obdartusowi spadło z głowy nakrycie, które kiedyś było kapeluszem, i nareszcie zobaczyliśmy jego twarz. Przyglądaliśmy się ostrożnie, nie wiedząc, kto skrywa się pod łachmanami. Budowę ciała miał podobną, ale ta twarz! Brudna i podrapana, z lewej strony lekko opuchnięta. Rzeczywiście włóczęga przypominał Wojtkę. Wątpliwości odeszły nas dopiero, kiedy wykrztusił:

– Ludzie, to ja tu do was, a wy... Dajcie mi coś do picia! – Powiedział żalonym głosem i usiadł ciężko.

– Dajcie mu coś na wzmocnienie! – Kapitan, jak zwykle nie tracił przytomności umysłu. – I może coś do jedzenia?

– Człowieku, jak ty wyglądasz? Po coś się tak poprzebierał? Śledzisz kogoś? A może to ciebie śledzą? – Jarek gubił się w domysłach.

– Wojtusi, nareszcie się znalazłeś! – Rzuciłam mu się na szyję, nie zważając, że był brudny i pachniał niezbyt świeżo.

– ...poprzebierał?!? Całkiem nieźle, jakbym miał w co, to bym się przebrał! Ładnie mnie te dranie urządziły... a tu słyszysz: „poprzebierał się”! – Wojtek masował obolałe od wykręcania ramiona i nadgarstki.

– No, no, widzę, że tym sposobem zawarłem znajomość z waszym zaginionym przyjacielem. Nie brak ci siły, przyjacielu... chyba mogę cię tak nazywać? – Spytał Kapitan.

– Jasne! Jestem Wojtek. A to ci dopiero! Znów zostałem napadnięty, i to przez nieznajomego... To znaczy – poprawił się Wojtek – teraz już znajomego żeglarza!

I Kapitan, i Wojtek, obydwoj wydawali się niezwykle zaskoczeni sytuacją. W pierwszym momencie jeden drugiego nieufnie mierzył wzrokiem. Trwało to krótko, szybko przełamali lody niefortunnego poznania się.

Wojtek wyglądał okropnie. Był podrapany, ale skaleczenia wyglądały na powierzchowne. Lekko utykał na lewą nogę. Na szczęście nic poważnego mu się nie stało. Był za to wycieńczony. Zamówiliśmy mu porcję rumu, który wypił jednym haustem. Trzeba

go jeszcze było nakarmić. Okazało się, że prawie nic nie jadł od wieczora, kiedy zniknął. Dopiero, gdy zjadł, co nieco, nabrał sił.

Kiedy Wojtek zaczął opowiadać, każde z nas miało z pewnością swoje wyobrażenie o tym, co się z nim działo. To, co usłyszeliśmy, przerosło nasze wyobrażenia. W miarę, jak opowiadał, rosło też nasze zdziwienie.

– Wyszedłem z baru, żeby się przewietrzyć. Poszedłem kawałek za Metysem. Udałem, że go śledzę, no, tak, dla zabawy. Cały czas musiałem się pilnować, aby nie oddalić się za bardzo od hotelu. Inaczej mogłem się zgubić po ciemku. Ten facet poszedł w kierunku sąsiedniego hotelu. Po drodze spotkał się z innym i poszli razem. Oddalali się coraz bardziej, więc postanowiłem wracać. Żeby dostać się z powrotem na teren hotelu, musiałem tylko przejść kawałek wzdłuż tych zarośli, co tu wszędzie rosną. I wtedy właśnie usłyszałem, jak coś porusza się z tyłu, w tych chaszczach. Nie zdążyłem się nawet odwrócić, gdy rzucili się na mnie. Było ich dwóch, ale cholernie silnych. Narzucili mi worek na głowę i związali ręce. Po chwili podjechał samochód, a mnie wpakowali do bagażnika, jak jakiś pakunek. Jechaliśmy dość długo, tak na oko z godzinę. Po drodze mało rozmawiali, a jak już, to w tym koscymarnym miejscowym slangu, więc i tak nic nie rozumiałem.

– Zaraz, zaraz! Czy to byli ci, których przedtem „śledziłeś”?

– Czy ja wiem? Może. Najpierw byłem tego pewien, ale potem już nie tak bardzo. Jednak na pewno byli z nimi w zmwowie. No, bo niby, dlaczego zostałem napadnięty, gdy szedłem za tamtymi? Ładnie mnie wyprowadzili na odludzie! Ale najpierw posłuchajcie do końca.

Gdy samochód dotarł na miejsce, wyrzucili mnie z bagażnika. To był jakiś otwarty teren. Wtedy bałem się najgorszego. Trochę mnie poobijali przy tym wrzucaniu i wyrzucaniu z bagażnika, ale nic mi nie zrobili. Nie wiedziałem, co mnie czeka. Leżałem tak na ziemi, związany, z workiem na głowie, a oni do mnie gadali. Mówili, owszem, po angielsku, ale trochę słabo. Jeden z nich miał taką chrypę, i taką dziwną wymowę angielską. Ten głos rozpoznałbym wszędzie.

Wojtek opowiadał dalej, a nas zamurowało ze zdziwienia. To, co usłyszał nie budziło wątpliwości, że dużo wiedzą na nasz temat. O wiele za dużo. Przekazali wyraźne ostrzeżenie pod naszym adresem. „Na wyspie chcemy tylko turystów. Ty rozumieć? **ŻADNYCH POSZUKIWAŃ!** Tu nie ma żadnych skarbów. Wyspa zostać dawno przeszukana. Ty rozumieć? Ty i twoi przyjaciele nie posłuchać, zostaniecie wrzuceni do morza. Ty rozumieć?”

Kazali mu potwierdzić, że zrozumiał i że przekaże przyjaciółom. Zostawili go tak związanego w środku nocy i odjechali.

Dalej Wojtek opowiadał, jak udało mu się wydostać i dotrzeć do miasta. Resztę nocy spędził w miejscu, gdzie został wywieziony. Poobijał i poranił się próbując wstać i badać teren po omacku. Miejsce okazało się jakimś rumowiskiem, pełnym wykrotów porośniętych chaszczami. Do jednego z takich wykrotów wpadł, skręcając przy tym nogę. Udało mu się jedynie uwolnić z więzów. Trafił na jakiś ostry kamień, którym przeciął krepujący ręce sznur. Przeleżał tak do rana, na przemian śpiąc i nasłuchując. Nie wiadomo, dlaczego zostawili go tam związanego. Chyba liczyli na to, że, prędzej czy później, wydostanie się stamtąd o własnych siłach. Wszystko wskazywało, że porywaczom chodziło o to, żeby nas nastraszyć i zniechęcić do poszukiwań. Wypadło na Wojtkę, który oddalił się samotnie.

Rano okazało się, że Wojtek został wywieziony w stare ruiny. Ubranie wisiało na nim w strzępach. Bez jedzenia i picia, kulejąc, przedzierał się przez rumowisko. Długo błądził, zanim wydostał się na drogę. Szedł, nie wiedząc, dokąd droga prowadzi. Okolica była pusta i niezamieszkała. Postanowił iść na zachód według słońca, wierząc, że dotrze do ludzi.

Owszem, napotkał ludzi po drodze. To byli turyści, którzy nie chcieli nawet rozmawiać. Wzięli go za włóczęgę lub żebraka. Co z tego, że rzucili parę dolarów na odczepnego? Co niby miał z nimi zrobić na tym pustkowiu? Wolałby butelkę wody mineralnej lub paczkę herbatników. Schronił się w zaroślach, żeby przeczekać najgorszy upał. Zmrok złapał go jeszcze na odludziu. Na tej szerokości geograficznej noc zapada nagle i wcześnie, koło szóstej. Na szczęście noce w tej strefie klimatycznej są niewiele chłodniejsze niż dzień, toteż Wojtek spokojnie przetrwał pod gołym niebem.

Następnego ranka powłókł się dalej i niedługo dotarł do miasta. Na przedmieściach w jednym z domów dali mu wody i poczęstowali owocami. Dzięki temu odzyskał siły, żeby iść dalej. Trafił do stolicy, z czego nie zdawał sobie wtedy sprawy. Postanowił znaleźć posterunek policji. Ale poruszał się ostrożnie, starając się nie rzucać w oczy. Pamiętał dobrze reakcję napotkanych turystów.

Tak kuśtykając, dotarł wreszcie do dużego placu, gdzie ku swemu wielkiemu zdziwieniu zauważył nas na tarasie kafejki. Właściwie to było tak: przechodząc, usłyszał rozmowę w ojczystym języku. Nie mógł przepuścić takiej okazji! Zbliżył się, zachowując ostrożność. Gdy rozpoznał nas w rozmawiających, wprost nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu! Zauważył, też nieznanego w naszym towarzystwie. Siedzieliśmy odwrócen i

byliśmy pochłonięci rozmową. Wojtek wszedł na taras i podszedł do nas z tyłu. Gdy próbował złapać Jarka za ramię, nieznajomy, który siedział z nami, rzucił się na niego. To był Kapitan, który jako jedyny zauważył intruza, bo był zwrócony twarzą w stronę ulicy. Gdyby Wojtek nas nie zauważył, pewno nie zwrócilibyśmy uwagi na obdartusa płaczącego się wśród przechodniów.

Gdy Wojtek skończył, pierwszy odezwał się Jack:

– Miałeś szczęście człowieku, że cię nie pokąsały żmije w tych ruinach! – Zdaje się, że odgadł miejsce, w które wywieziono Wojtkę. – W starych ruinach roi się zazwyczaj od gadów i płazów.

– Co to było za miejsce? Domyślasz się, Kapitanie?

– Tak, znam trochę tę wyspę. Z twojej opowieści wynika, że to pozostałości zabudowań po starym Gold Mill, czyli złotym młynie w rejonie hiszpańskiej laguny. Złoty młyn – wyjaśnił, widząc nasze pytające spojrzenia – oznacza system płuczek napędzanych wodą, gdzie płukano materiał złotonośny. Wydobywany w okolicy materiał płukano w celu oddzielenia kruszcu. Właściwe kopalnie złota znajdowały się na północy wyspy. Wspominałem wam o gorączce złota, która nastąpiła tu w latach dwudziestych i trzydziestych ubiegłego wieku, pamiętacie? Historia piratów, którą zacząłem opowiadać, działa się tuż przed odkryciem tu złóż złota.

– Jaka historia? – Wojtek zaciekał się. – To ja narażam dla was życie, a wy siedzicie sobie spokojnie przy drinkach, opowiadając o piratach i ich skarbach. I nic nie robicie, żeby mi pomóc!

– Wojtek! Przecież wiesz, że zrobiliśmy wszystko, co możliwe! Zgłosiliśmy na policji, wciągnęliśmy w to obsługę hotelu, a nawet detektywa hotelowego!

– No właśnie. Chyba musimy odwołać wszystko na policji i w hotelu? – Spytał Jarek.  
– A ty musisz doprowadzić się do ludzkiego wyglądu. Trzeba ci opatrzyć zadrapania. Czym szybciej, tym lepiej, żeby nie wdało się zakażenie.

– I trzeba usztywnić kostkę bandażem. Boli mnie bardzo i nie mogę chodzić.

– Mam nadzieję, że obejdzie się bez gipsu – powiedział Kapitan po obejrzeniu i obmacaniu tego miejsc. – Gdyby to było coś poważnego, nie doszedłbyś tu na własnych nogach, chłopie. Ale nieźle ją nadwerżyłeś. Usztywnimy na razie bandażem i zobaczymy. Jeśli nie będzie poprawy, zawieziemy cię do lekarza. Teraz wracamy do hotelu. Opowiadanie dokończymy później. Nic nie straciłeś, bo dopiero zaczęliśmy.

Wskoczyliśmy w naszą wypożyczoną chevroletę i wróciliśmy do hotelu. Po drodze Wojtek, jako znawca samochodów, nie przepuścił okazji skrytykowania wypożyczonego samochodu.

– Ale wam gablotę wcisnęli! To już nic lepszego nie mieli w tej wypożyczalni?

– Uspokój się! Nic innego w danym momencie nie było! Wszystko wypożyczone, po ludziach. – Jarek też był zwariowany na punkcie samochodów i poczuł się urażony. – Mieli, nie mieli, braliśmy, co było. Mają tam jeszcze jakieś terenówki, z napędem na cztery. Zarezerwowałem, będzie na jutro.

– Szkoda, że mnie nie było. Ja bym nie wziął takiego złomu!

W hotelu zgłosiliśmy w recepcji odnalezienie naszego kolegi i poprosiliśmy, żeby powiadomili detektywa. A my poszliśmy do apartamentu na górę. Opatrzyliśmy Wojtka. Wykąpał się i przebrał. Mimo ciągle widocznych zadrapań i siniaków mógł się wreszcie pokazać ludziom.

W międzyczasie nasze żołądki dały nam znać, że zbliża się pora kolacji. Zeszliśmy do baru i zamówiliśmy aperitif przed kolacją. Zajęliśmy jeden z wolnych stolików, a Kapitan podjął przerwana opowieść.

– Jak już wspomniałem, legendarne skarby ukryte na tej wyspie mają swój skandaliczny początek w wydarzeniach, które działy się w stolicy Ekwadoru na początku XIX-ego wieku. Głównymi postaciami byli piękna Rosita i ksiądz Domingo Mugnoz. Nie jest to, niestety, grzeczna historia, którą można by umieścić w książce dla młodzieży. Dzieci uwielbiają historie o piratach, bo wydaje im się, że byli to szlachetni rozbójnicy, broniący słusznej sprawy. Jak wszystkie pirackie skarby i opowieści, tak i ta historia ocieka krwią. A w dodatku pachnie wielkim skandalem. Nie nadaje się dla dzieci, jednak jest pouczająca. Zawiera bowiem morał i przestrożę dla tych, którzy sądzą, że ominie ich kara za zbrodnie.

– Rzeczywiście, ksiądz i piękna kobieta... to pachnie skandalem. – Mruknął Wojtek.

– Właśnie. Krew i złoto, miłość i namiętność, zbrodnia i kara. Szkoda, że historia ta nie znalazła swego Szekspira.

A wszystko zaczęło się tak. Padre Domingo Mugnoz żył sobie spokojnie w Quito w Ekwadorze. Był zarliwym i oddanym księdzem, przez co wiele zbłąkanych duszyczek ze swej parafii naprowadził na dobrą drogę. Rosita była jedną z jego parafianek. Niektóre źródła mówią, że na chrzcie nadano jej obce tam imię Wanda, lecz zwali ją Rosita. Mając za męża kreaturę o skłonnościach do pijaństwa i hulanki, szukała pocieszenia w ramionach innych



mężczyzn. Będąc jednak praktykującą katoliczką, często musiał się spowiadać ze swych grzesznych romansów. Spowiednikiem był padre Domingo. Nawet jego żarliwa wiara nie zdołała sprowadzić tej owieczki na dobrą drogę. Wręcz przeciwnie.

Pewnego dnia mąż złapał Rositę na zdradzie i gonił z nożem w rękę przez ulice miasta. Znalazła schronienie dopiero na plebani, gdzie ksiądz, jak zwykle ostro napomniął niepoprawną parafiankę. Wieść głosi, że była naga, osłonięta jedynie płaszczem długich jasnych włosów. Żarliwy padre Domingo wydawał się być obojętny na kobiece wdzięki. Okazało się jednak, że do czasu. Na razie po jego mediacji, pomiędzy grzeszną żoną a „porządnym” mężem zapanowała zgoda.

– Kiedy to się działo? – Wojtek pogubił się w opowieści. – I jaki to ma związek z naszą wyspą?

– Zaraz dojdziemy i do tego. Był niespokojny rok 1820 i we wszystkich miastach gubernatorstwa Quito wybuchały bunt i zamieszki. Simon Bolivar kroczył przez kontynent południowoamerykański, wyzwalał kolejne kolonie spod panowania Hiszpanów, a nastroje niepodległościowe osiągały swoje apogeum. Władze hiszpańskie miały na głowie większe zmartwienia, niż pilnowanie moralności swoich poddanych. W Quito było już tak niespokojnie, że część mieszkańców wyruszyła do portów, by odpłynąć do Europy. Reszta była spakowana i przygotowana do wyjazdu w obawie przed nadciągającymi rewolucjonistami, którzy utworzyli federację Ekwadoru i Nowej Grenady.

I oto pewnej nocy Rosita znów zapukała do drzwi plebanii. Przestraszona, zapłakana i drżąca. I jak poprzednio okryta jedynie płaszczem długich, jasnych włosów. Wyznała, że właśnie zabiła męża, w obronie własnej. Upadła na kolana, prosząc księdza o rozgrzeszenie i pomoc w ucieczce. Cóż, ksiądz, jak jego parafianie, od dawna był spakowany i przygotowany do ucieczki. Nie chciał jednak opuszczać swoich owieczek. Tym razem jednak sytuacja przerosła go. Podobno zdecydował się natychmiast na wyjazd. I to wspólnie z najpiękniejszą ze swych owieczek.

Czasy były niespokojne, wszędzie wybuchały walki z republikańcami. Trudno w tej sytuacji było dostać się bezpiecznie do portu. Jeszcze trudniej było dostać miejsce na statku. Kto wie, jakich sposobów musieli użyć padre Domingo i Rosita, by ocalić życie. Nie byli przecież tak bogaci, by kupić sobie wolną drogę do portu. Czy, bez popełnienia zbrodni, udałoby się im objąć w posiadanie statek? O tym historia milczy. Ich dalsze losy wskazują, że próbując się ocalić, zeszli na drogę grzechu i bezprawia. Przepadli bez wieści na dwa lata.

Pojawili się o tysiące mil dalej, w basenie Morza Karaibskiego, tym razem padre Domingo jako herszt piratów, z piękną kochanką Rositą u swego boku...

Tu Kapitan zawiesił głos, chcąc wyrzucić na nas odpowiednie wrażenie. Udałoby mu się to osiągnąć, gdyby nie Wojtek. Tym razem on popsuł wszystko. Zerwał się nagle, przewracając po drodze krzesło, i rzucił się na... No właśnie, na kogo?

Zanim zdążyliśmy się zorientować i cokolwiek zrobić, Wojtek skoczył na przechodzącego... detektywa hotelowego! Usłyszeliśmy tylko, jak zdążył wyszeptać przez zaciśnięte zęby: „To on! To ten podejrzany Metys!” O tym, że jego „podejrzany Metys” był detektywem i pracownikiem hotelu, Wojtek oczywiście nie wiedział.

Chwycił go za koszulę, wołając do nas po polsku: „Trzymać go, to on! To on!” Nikt nie zareagował, więc na wszelki wypadek przewrócił go na ziemię i unieruchomił. Zaskoczony detektyw, mimo wszystko wyższy i potężniejszy od Wojtka, próbował się uwolnić z jego uścisku. Wojtek jako wspinacz, mięśnie i ścięgna miał ze stali. Detektyw zdziwił się bardzo poczuwszy żelazny chwyt, z którego nie potrafił się uwolnić. Przez krótką chwilę szamotali się, a my oprzytomnieliśmy. Kapitan i Jarek rzucili się ich rozdzielać.

W każdym razie po wszystkim, Wojtek miał do nas niezłe pretensje, że nie powiedzieliśmy mu, kim był „podejrzany Metys”.

– Ale obciach! Ładnie mnie wrobiliście! Szkoda, że nikt nie powiedział mi słowa, że to detektyw! Co za ludzie! O co tu w ogóle chodzi?

– Bo nie pytasz, tylko rzucasz się na człowieka. Kapitan też nie miał okazji poznać go wcześniej, a przecież nie rzucił się na niego...

– No właśnie, bo nigdy go nie widział! Ciekawe, jakby zachował się na moim miejscu, gdyby go tamten tak skołował? – Wojtek próbował się usprawiedliwić.

– Wojtek nie wiedział, że to hotelowy ochroniarz. Poniekąd to moja wina. – Jack wziął Wojtka w obronę, pamiętając swoje zachowanie sprzed kilku godzin. – Wojtek zareagował podobnie, jak ja wcześniej wobec niego. Zdaje się, że naszą specjalnością są nagłe ataki na domniemanego przeciwnika.

Tu Kapitan uśmiechnął się.

– Powiem na moje usprawiedliwienie, że normalnie nie rzucam się na ludzi. To uprowadzenie tak na nas wszystkich podziałało, że wszędzie widzimy zagrożenie...

Tak, to była prawda, nie czuliśmy się całkowicie bezpiecznie. W całym tym zamieszaniu i komedii pomyłek było coś niepokojącego. Nie podejrzewaliśmy detektywa

Portera o współdziałal w uprowadzeniu Wojtka. Z drugiej strony jednak lepiej być ostrożnym i nie ufać wszystkim bezgranicznie.

Gdybyśmy wtedy wiedzieli, że jest to wstęp do bardzo dramatycznych wydarzeń!

Przeprosiliśmy detektywa i wyjaśniliśmy, dlaczego Wojtek zareagował tak gwałtownie na jego widok. Wojtek był na razie zbyt zaskoczony całą sytuacją, by zdobyć się na przeprosiny. Widziałam, że wciąż uważał detektywa za wmieszanego w swoje uprowadzenie. A ten był bardziej chyba urażony faktem, że został pokonany przez słabszego przeciwnika, niż samą napaścią. Długo jeszcze patrzyli na siebie z rezerwą.

– *Señor Porter, sorry*, ale przyjaciel wziął pana za jednego z tych, którzy napadli go i uwięzili dwa dni temu. Przepraszamy i zapraszamy do naszego stolika na pojednawczego drinka.

– Jak to, wziął mnie za jednego z napastników? Dlaczego? – Zdziwienie detektywa było olbrzymie, więc chyba nie udawane? Żeby nie ujawniać prawdziwego celu naszego pobytu, wyjaśniłam oględnie:

– Widział pana w barze, wyszedł się przewietrzyć i zaraz potem został napadnięty. To chyba logiczne, że połączył te fakty ze sobą?

– Aha, już rozumiem. – Powiedział detektyw inteligentnie, ale widziałam, że nie rozumie. – No, no, wasz przyjaciel nie wygląda na tak silnego! Coś ćwiczy? Sporty walki? – Tu spojrział na Wojtka uważnie i podziwem

– Nie, jest po prostu wspinaczem, stąd ten żelazny chwyt i zwinność.

– *Señorita*, jest pani w dobrym towarzystwie! Gratuluję takich opiekunów! Biedni pani...hmm... adoratorzy!

– Niestety, muszę pana wyprowadzić z błędu. Nie mam żadnych adoratorów.

– Nie? Nie wierzę. Taka piękna kobieta. Chyba, że któryś z pani towarzyszy....?

Prawienie komplementów należało do kultury latynoskiej. Nie brałam tego gadania na serio.

– Co – któryś z moich towarzyszy? Aha! –Dotarło do mnie, o co mu chodziło. – *Señor Porter*, jest pan bardzo ciekawski, ale odpowiem, bo jesteśmy panu dłużni pewne wyjaśnienia. Jesteśmy po prostu grupą przyjaciół na wakacjach. A wśród tutejszych mężczyzn żaden nie zdążył ubiegać się o moje względy. – Powiedziałam przewrotnie (a pomyślałam „Chwała Bogu! jeszcze mi na tej wyprawie adorator potrzebny!”) – Zakończmy ten temat.

– *Señorita*, może pani zawsze liczyć na moją pomoc i opiekę. Bez względu na to, jak wielu i jak silnych opiekunów pani posiada.

To mówiąc spojrział mi głęboko w oczy, jakby chodziło mu nie tylko o opiekę w ramach służbowych obowiązków. Typowy Latynos, który zawsze musi uwodzić. Od razu przezwałam go w myślach Don Juanem. Widocznie latynoski temperament brał górę nad jego wychowaniem. Na razie zachowywał się nie nienagannie. Mówił z amerykański akcentem, a sposób wyrażania się świadczył, że musiał studiować w Stanach. Ciekawe skąd pochodził?

Żeby jeszcze nie był tak cholernie przystojny! Wyobraźcie sobie faceta o regularnych rysach, europejskich i zarazem odrobinę indiańskich, oczy i włosy czarne, i bardzo śniada cera. Był dobrze zbudowany, i całkiem wysoki, jak na Latynosa. Musiał doskonale wiedzieć, że robił wrażenie na kobietach! Jeżeli o mnie chodzi, źle trafił. Przystojni mieli u mnie „pod górkę”. Jakoś tak się składało, że znani mi przystojniacy mieli szalenie wysokie mniemanie o sobie, przy czym bywali bardzo płytcy i rozpuszczeni (przez kobiety, niestety!). Zazwyczaj mieli wypisane na twarzy „powinnaś umierać ze szczęścia z samego faktu przebywania w moim towarzystwie”. Bardzo prawdopodobne, że detektyw był z tej samej półki. No, cóż kolego, poflirtujemy sobie, czemu nie. Jeśli jednak myślisz, że ja będę grała w twojej drużynie, czyli według twoich zasad, możesz się zawieść.

– Mam nadzieję, że pana opieka nie będzie mi więcej potrzebna, Don Juan. (specjalnie tak go przezwałam) Myśleliśmy, że wyspa jest bezpieczna?

– Bo jest. – Nie zareagował na zaczepkę albo nie wyczuł ironii. – Od dawna nie zdarzył się tu żaden napad na turystów. Chociaż w tym rejonie świata też mamy swoje problemy. Głównym problemem Ameryki Środkowej i Południowej są bieda i zacofanie. Ale, nie o tym miałem mówić. Chociaż, właśnie to jest źródłem przestępczości, która rozwija się gdziegdzie bujnie. Ośrodki turystyczne, takie jak ta wyspa, bywają oazami spokoju i bezpieczeństwa. Zdarzają się drobne kradzieże, czasem jakaś bójka w barze lub na dyskotecę. Czasem ktoś nie może się pogodzić z przegraną w kasynie. Albo problemy z przedawkowaniem narkotyków. Turyści niestety, sami się do tego nieraz przyczyniają. Zażywając je i kupując od dealerów, sami nakręcają popyt. Ale nigdy nie mieliśmy tu problemów z prawdziwymi przestępcami. Policja i ochrona hotelowa, zazwyczaj panują nad sytuacją.

– Jednak widzi pan, zdarzyło się! Nasz przyjaciel został uprowadzony i skojarzył pana z tym porwaniem.

– Rozumiem, mógł tak pomyśleć, jeśli przypadkowo skojarzył moje wyjście z hotelu z napaścią. Jako pracownik ochrony (nigdy nie mówił o sobie „detektyw”) rzeczywiście mogę być czasami widziany w towarzystwie różnych osobników. Muszę mieć dobre kontakty z wszystkimi. Z gośćmi, z policją, z dziwnymi typami również. *It's my job*. Ale ja w dalszym ciągu nie znam szczegółów napaści.

Opowiedziałam mu wszystko, co poprzednio opowiadał Wojtek, pomijając jedynie prawdziwy cel naszej podróży. Co do tego, by nie odkrywać go przed obcymi, byliśmy całkowicie zgodni. Kapitan pożegnał się z nami, bo musiał wracać do siebie, do latarni. Pożyczyliśmy mu naszą chevroletę, umawiając się na następny rano. I zostaliśmy w trójkę, to znaczy w czwórkę, wliczając detektywa.

Ja spełniałam rolę tłumacza, bo ten miał jeszcze parę pytań. Po pierwszym nabrałam do niego więcej respektu. Jego IQ było stanowczo dużo wyższe, niż oceniłam. Trzeba będzie na niego uważać. Jeśli jest tak przebiegły, jak inteligentny, to mógł mieć coś wspólnego z porwaniem Wojtka! To nie jest wykluczone.

– *Señorita Inez*, czy napastnicy coś zabrali przyjacielowi? – Imię Wojtka trudno mi było wymówić, natomiast mnie przekręcał na Inez. – Czy pobili go? O co im naprawdę chodziło? Czy przyjaciel słyszał, o czym mówili?

Spojrzelśmy po sobie. Zagrałam na zwłokę, udając, że muszę Wojtkowi przetłumaczyć pytania. Inaczej nie dałoby się ukryć naszego zakłopotania. Przecież nie mogliśmy mu powiedzieć o ostrzeżeniu, jakiego udzielili nam napastnicy!

– Powiedz mu, że nie wiemy, o co im chodziło. – Wojtek próbował coś wymyślić na poczekaniu. – Powiedz, że chcieli mnie okraść. Przeszukali mnie i byli wściekli, że nie miałem nic cennego przy sobie.

Powtórzyłam to detektywowi

–Ale dlaczego wywieźli go tak daleko w ruiny? – Detektyw myślał głośno. I bardzo logicznie. Wypytał jeszcze Wojtka za moim pośrednictwem o wszystkie szczegóły dotyczące napastników. Ale dowiedział się niewiele więcej, bo Wojtek nie widział nic!

– Jeszcze jedna sprawa. Proponuję zastanowić się, czy zamierzacie wycofać zgłoszenie o zaginięciu, a w zamian złożyć skargę o uprowadzenie. Nie chciałbym niczego sugerować, ale z doświadczenia wiem, że jedynym efektem będą zepsute wakacje. Tutejsza policyjna biurokracja... Ale zróbcie, jak uważacie. Chciałbym jedynie zapewnić w imieniu naszego hotelu – tu znowu spojrzał mi w oczy – że zajmiemy się waszym bezpieczeństwem

do końca pobytu. Będę czuwał nad waszym bezpieczeństwem osobiście. (O kurcze, nie o to nam chodziło, by mieć anioła stróża!) Szczególnie nad pani bezpieczeństwem, *señorita Inez!* (I znowu spojrzenie w moim kierunku) Chciałbym też zaprosić was w imieniu hotelu na kolację na drinka do baru. Żeby wynagrodzić wam przykrości, które was spotkały. No i, będziecie mieli możliwość poznać prawdziwe życie nocne wyspy! W końcu przyjechaliście tu wypocząć!

Miałam wrażenie, że w jego słowach brzmi lekka ironia. Może mi się tylko wydawało?

Zresztą po jego przemowie miałam mieszane uczucia. Przemowa świadczyła, że jest niewinny i bardzo profesjonalny. No jasne, przecież to detektyw! Ile w tym było zawodowej staranności, a ile osobistych pobudek? Taka opieka detektywa hotelowego miała swoje dobre strony. Ale nie zawsze. I nie w naszej sytuacji, gdy staraliśmy się ukryć prawdziwy powód przyjazdu. Poza tym cały czas miałam nieokreślone wrażenie, że miał jakieś ukryte powody, by się do nas „przyssać”. Jakie? Czy tylko zawodowe? Żeby to sprawdzić, trzeba go mieć na oku. No, cóż mamy radę. Jeśli nasz nowy anioł stróż okaże się zbyt wścibski, trzeba będzie go jakoś „zneutralizować”.

Podziękowaliśmy za zaproszenie. Wojtek z wiadomych powodów odmeldował się po kolacji do swego pokoju, by wypocząć. A my z Jarkiem udaliśmy poznawać nocne życie wyspy w towarzystwie naszego uroczego anioła stróża.

Podjęłam jego finezyjną grę. Uwodził mnie, czy mi się wydawało? Inteligentni faceci, umiejący flirtować i uwodzić są na wymarciu. A może to ten typ oszusta, udającego, że nie ma żadnych uczuciowych zobowiązań? Wmawiający każdej napotkanej kobiecie, że jest tą jedyną? Brr... nie znoszę takich typów. Trzeba ostrożnie. Jeżeli flirt, to niezobowiązujący. Ostatecznie, to kobieta decyduje (w każdym razie powinna), jak daleko zajdą sprawy. Na razie dalszy ciąg zapowiadał się interesująco.

Zakładając, że detektyw nie miał nic wspólnego z napadem na Wojtkę, jego obecność gwarantowała nam bezpieczeństwo. Na razie wszystko świadczyło na jego korzyść. Gorzej, jeśli się mylimy. A wtedy też lepiej mieć go na oku, zachowując odpowiednie środki ostrożności. A więc dalej, rzućmy się w wir życia nocnego wyspy!

## ***Rozdział 4. Jako przestroga, by nie lekceważyć ostrzeżeń***

Następnego dnia wszyscy zaspaliśmy. Łącznie z Wojtkiem, który położył się wcześniej, ale odsypiał przejścia dni poprzednich. Wieczór z Jarkiem i Juanem (tak miał na imię nasz detektyw), rozpoczęty w hotelowym barze, skończył się w dyskotecie. W towarzystwie detektywa spędziliśmy fantastyczny wieczór. Mimo wątpliwości, co do jego roli w uprowadzeniu Wojtka, czuliśmy się bezpiecznie.

W barze i w dyskotecie spotkaliśmy kilku nowych znajomych. Z niektórymi mijaliśmy się podczas śniadań i kolacji. Natknęliśmy się na surferów, których mieszkali w naszym hotelu. Spotkaliśmy się już pierwszego dnia, a potem podczas posiłków wymienialiśmy zdawkowe „*Hi! How are you?*”. Dotąd byliśmy tak zajęci własnymi sprawami, głównie poszukiwaniami Wojtka, że nie było czasu na bliższe poznanie. Teraz nadrabialiśmy zaległości. Przyjechali tu na międzynarodowe zawody w windsurfingu. Międzynarodowe towarzystwo, ale większość pochodziła ze Stanów lub Kanady. Niektórzy z nich znali się, a nawet przyjaźnili, mimo, że mieszkali o setki lub tysiące mil od siebie. Dotąd znaliśmy po imieniu tylko Joane i Michela. Zauważyliśmy, że dojechało parę nowych osób. Wszyscy byli młodzi, otwarci i entuzjastycznie nastawieni, tak do życia, jak i zbliżających się zawodów. Zapraszali nas na imprezę, która miała się rozpocząć za dwa dni.

Zauważyłam też, że inni znajomi ze hotelu, na widok detektywa w naszym towarzystwie wycofywali się, jakby onieśmieleni. Chwyciłam parę spojrzeń kobiecych, wyrażających żal lub zazdrość. A może mi się wydawało?

Jedna z odważniejszych turystek poprosiła Juana do tańca. A on, jakby należało to do jego ulubionych obowiązków, z wdziękiem poprowadził ją na parkiet. Zatańczyli mambo, po czym, jakby nigdy nic, odprowadził ją do stolika i wrócił do nas. Ta sytuacja powtórzyła się jeszcze parę razy z innymi turystkami w różnym wieku. Właściwie nie było w tym nic niezwykłego. W naszej kulturze europejskiej jest to traktowane jako *faux-pas*. Tu nie było nic niestosownego w tym, że kobieta prosiła mężczyznę do tańca. Jarka też prosiły na parkiet. Ciekawe, dlaczego w przypadku Jarka nie przeszkadzało mi to tak, jak wtedy, gdy dotyczyło Juana? Czyżbym była zazdrosna? Właściwie nie powinnam, bo Juan poprosił mnie kilka razy do tańca i najwięcej kawałków przetańczył ze mną.

O rany, jak ja lubię tańczyć! A jeszcze, u boku partnera mającego pojęcie o tańcu! Na parkiecie królowała salsa, *chacha*, *bacchiata*. Nasz detektyw czuł się na parkiecie jak ryba w

wodzie, więc szaleliśmy prawie do świtu. Jarek też nieźle dawał sobie radę. Skąd on umiał się znaleźć w tych wszystkich latynoskich kawałkach?

Pamiętam, że pod koniec imprezy tańczyłam z Juanem bardzo blisko. Nawet zbyt blisko. Ale co tam! W tańcu więcej wolno. Zresztą to wina przepysznych drinków na rumie! No tak, zabujałam w moim tancerzu. Tak trochę, na parę godzin, na czas tańca. Taka szybka do zakochania to ja nie jestem! Pod koniec całowaliśmy się z Juanem, trochę zbyt namiętnie. Ale tego Jarek nie mógł widzieć, bo sprytnie schowaliśmy się w kącie przed wzrokiem ludzi. Potem Juan odprowadził mnie grzecznie do drzwi naszego apartamentu i na tym skończyły się nasze ekscesy nocne.

\*

W nocy przyśniła mi się Rosita. Widziałam ją taką, jak opisywał ją Kapitan. Nagą pod płaszczem blond włosów do ziemi. Wyciągała do mnie ręce i mówiła:

„Jestem Wanda, nie Rosita, Wanda! To oni wszyscy nazywają mnie Rosita. Mama mówiła do mnie Wanda...Moja mama przyjechała z dalekiego kraju, z północy. Nikt mnie tak nie kochał, jak ona. Dopóki nie umarła...Miała złote włosy do samej ziemi! Teraz nikt mnie nie kocha. Ci wszyscy mężczyźni mówią, że mnie kochają, ale to nieprawda! Oni nie umieją kochać! Moja mama była piękna i dobra. Gdyby żyła, nie pozwoliłaby, by wydano mnie za tego pijaka... Gdyby mnie nie zmuszono, nigdy bym za niego nie wyszła. Żyłabym inaczej i byłabym szczęśliwa...Powiem ci, jak było. Mój ukochany ożenił się z tą podłą dziewczyną! Byłam biedna, a ona bogata. Ja już nie kocham nikogo...nigdy... Módl się za mnie!”

Obudziłam się cała we łzach. Biedna Rosita! Bóg jeden wie, co z mojego snu było prawdą, a co urojeniem. Przecież nie znałam przedtem tej historii. Usłyszałam ją po raz pierwszy tutaj i wciąż nie znałam jej zakończenia. Widocznie los Rosity poruszyły mnie bardziej, niż mi się wczoraj zdawało. Kto wie jak naprawdę potoczyłoby się jej życie, gdyby miała więcej szczęścia. Gdyby wyszła za ukochanego mężczyznę, zamiast za pijaka i hulakę. Może to sobie wymyśliłam – przecież Jack nie wspominał o tym w swej opowieści. A może duch biednej Rosity krążył dalej po wyspie, szukając ukojenia? Nie wiem, jak było naprawdę, ale coś w tym jest! Żaden człowiek nie schodzi na złą drogę zupełnie bez powodu... Pomyślałam sobie, że chyba za bardzo przejęłam się wczorajszymi zalotami Juana. Ten sen



przypomniał mi, że mężczyznami nie warto się przejmować. Potrafią unieszczęśliwić kobietę, podczas gdy sami zawsze spadają na cztery łapy.

Postanowiłam potraktować ten sen jako przestrozę. Kręcąc się po naszym apartamencie przed wyjściem, mruczałam coś pod nosem. Z moich pomruków wynikało, że nie jestem zbyt przyjaźnie nastawiona do mężczyzn. Jarek i Wojtek patrzyli na mnie bez słowa, z wyrozumieniem. Jak na osobę upośledzoną umysłowo. Wreszcie, trochę spóźnieni, zeszliśmy do restauracji.

Przy stole Wojtek nie wytrzymał i zagadnął:

– Młoda, podobno uwiodłaś naszego Metysa?

– Blebleble... niektórzy mówią, co wiedzą. Tylko nieliczni wiedzą, co mówią. A jeszcze inni powtarzają to, co podpowiada im chora wyobraźnia. Widzisz, Jarek! Zazdroszcza nam fantastycznej imprezy!

Jarek, który też lubił dobrą zabawę, podjął temat:

– Wojtek, wszystko przed tobą! Wiesz ile tu fajnych lasek...Latynosek...no, w ogóle dziewczyn... – Jarek zaplątał się. – A jak tańczą! Jak tylko wrócimy do domu, zapisujemy się na kurs tańców latynoskich!

– Jarek, weź się! Ja tańczyć umiem, ale nie przepadam. Wolę wywijać w skałkach. Niech tylko moja noga wróci do formy. Na szczęście już jest lepiej...

– *Aloha, our friends!* – To nasi znajomi surferzy podeszli do nas przywitać się. – *Hello! How are you? Hello... hi...hello...*

Pozdrowieniom nie było końca. Była Joana, Michel, Patti, Sandy, i jeszcze kilku, których imiona pamiętałam, ale niekoniecznie potrafiłabym je właściwie porozdzielać pomiędzy osoby. Wychodzili właśnie nad morze potrenować przed zawodami. Przedstawiliśmy im Wojtkę, którego niektórzy pamiętali z pierwszego dnia. Nie wiedzieli, że Wojtek zaginał, po czym się odnalazł. Z wiadomych powodów nie zamierzaliśmy ich uświadamiać.

– Oh! Voitec, dlaczego nie było cię wczoraj w klubie? – Zapytała Patti.

Wojtek, zaskoczony bezpośrednim pytaniem, zrobił zagadkową minę i spojrzał na mnie. Najwidoczniej nie wiedział, co oni wiedzą na jego temat. Musiałam mu przyjść z pomocą.

– Wiesz, Patti, Wojtek nie mógł nam towarzyszyć, bo skręcił sobie nogę pierwszego dnia. Ale nie bardzo ma ochotę do tego wracać. To niezbyt miłe wspomnienie. Teraz już powinno być lepiej.

– Voitec (zabawnie wymawiali jego imię, „j” wymawiając jako „i”), a ty surfujesz?

– Nieee... wolę wspinaczkę, tenis, żeglowanie, i...– Wojtkowi najwyraźniej zabrakło angielskiego do wyrażenia wszystkiego, co chciał przekazać.

– Aaa! Jesteś wspinaczem? – W głosie Patti zabrzmiało uznanie. A ja kątem oka zauważyłam dziwną minę Jarka. Czyżby był zazdrosny o Patti? – Czy to bardzo trudne? Zabierzesz mnie kiedyś na wspinaczkę?

– Jasne...

– Nie takie trudne. – Wtrącił się Jarek, który najwyraźniej postanowił interweniować.– No co? Nie tylko Wojtek uprawia wspinaczkę. Inni też uprawiają i wspinaczkę, i inne sporty. A poza tym, nie wiem, czy żona Wojtka byłaby zadowolona z takiej wycieczki...

– Voitec, masz żonę? A gdzie ona jest?

– Nie mogła przyjechać z nami. Została w domu z dzieckiem...– Jarek dalej nie dopuszczał Wojtka do głosu.

– OK. Mnie nie przeszkadza żona, mnie chodziło tylko o wspinaczkę. Skoro ty też się wspinasz, Iarec, to zabierzecie mnie kiedyś?

– Oczywiście, Patti! – W głosie Jarka zabrzmiała ulga.

– Ciekawe, kiedy i gdzie ją tu zabierzesz? Zresztą nie będzie na to czasu. – Wymruczał pod nosem po polsku Wojtek.

– Nie twoje zmartwienie. – Odgryzł się po cichu Jarek.

– Super! Ale kiedy? Przecież my mamy najbliższe dni zajęte zawodami. – Zmartwiła się Patti, która nic nie zrozumiała, ale z ich tonu wywnioskowała, że coś jest nie w porządku.

– No widzisz? Sama na to wpadła, chociaż coś innego miałem na myśli. – Podsumował Wojtek z przekąsem. – A w ogóle zamknij już paszczę, bo za dużo gadasz.

Jarek zastygł na chwilę z otwartymi ustami, chcąc odpowiedzieć na pytanie Patti; po czym zamknął je i zamilkł urażony. Postanowiłam rozładować napięcie.

– Nie martw się Patti. Przecież zawody są najważniejsze. Ja już się nie mogę doczekać, żeby was zobaczyć.

– Zapraszamy was wszystkich na zawody. Ciebie też Voitec. – Powtórzyła jeszcze raz zaproszenie Joana. – W środę. Przyjdziecie?

– Będziemy na pewno.

– To pojutrze. Zobaczymy się jeszcze do tego czasu. Może pójdziecie z nami na plażę? Trenujemy od strony południowej, bo tam są najlepsze warunki. Jeśli nie chcecie spróbować, możecie popływać w morzu, popatrzeć...

– Niestety, dziś nie możemy. – W głosie Jarka pobrzmiwał żal. – Może po południu?

– Po południu będziemy na siłowni i na basenie.

Musiałam wkroczyć i przerwać tę jałową dyskusję.

– Sorry, nie możemy. Jesteśmy umówieni z naszym przyjacielem, który coś już dla nas zaplanował cały dzień.

– A co będziecie robić? Gdzie idziecie?

– Nie wiemy. To ma być niespodzianka.

Rzeczywiście nie wiedzieliśmy, ale prawdopodobnie i tak nie moglibyśmy im opowiedzieć o wszystkim, co robiliśmy, lub mieliśmy zamiar robić.

– No to widzimy się wieczorem?

– Jak zwykle, na kolacji.

– No, to *bye, bye. Aloha!*

– *Aloha! Aloha!* – Pożegnaliśmy się.

– Młoda, skąd ty ich wytrzasnęłaś? No tak, człowiek życie naraża, a inni się bujają po klubach i dyskotekach! – Tylko ktoś, kto nie znałby Wojtka, mógłby pomyśleć, że naprawdę ma do nas pretensje o wczorajszy wieczór.

– Wojtek, przestań narzekać, jak zgred jakiś! Masz jedyną niepowtarzalną okazję dodać windsurfing do twojej kolekcji sportów. – Próbował go udobruchać Jarek.

– Jak zwykle, inni decydują za mnie, co ja mam robić! – Gderał dalej Wojtek. – A niektórzy to tak kłapią paszczą, że nie mogą przystopować. O skarbach też byś im opowiedział?

– No, co ty! Przecież nie wygadałbym się o naszych poszukiwaniach!

– Gdyby ci nie przerwano, to nie wiadomo, do czego byś doszedł w swoich opowieściach. Na drugi raz opowiadaj o swoich sprawach osobistych, dobrze? A nie o cudzych żonach i dzieciach.

– Już dobrze, Wojtek. Zrozumiałem! Sorry, to się już nie powtórzy!

Wojtek miał rację zwracając Jarkowi uwagę na jego gadulstwo. Jarek już kilka razy wygadał za dużo. Jego długi język miał jeszcze przysporzyć nam kłopotów, o czym na razie nie mieliśmy pojęcia.

W trakcie pożegnań z surferami podszedł do nas detektyw i zrobiło się ogólne zamieszanie. Wszyscy z wszystkimi witali się, śmiali, opowiadali, jak było wczoraj i co będą robić dziś. Do tego zamieszania dołączył Kapitan. Wszedł do holu, nie mogąc się doczekać nas w samochodzie. Kiedy wreszcie został przez nas zauważony, zaczął nas poganiać:

– Pospieszcie się, bo nie zdążymy. Mamy dziś wiele spraw do załatwienia.

– Gdzie nie zdążymy, Jack?

– Na dziś mamy coś specjalnego. Wypad w „podwodny świat”, czyli nurkowanie na rafie koralowej. Trzeba podjechać kawałek, ale przedtem musimy zajrzeć w parę miejsc.

Nurkowanie! Jak dla mnie – bomba! Wszyscy byliśmy zachwyceni tym pomysłem. Łącznie z Jarkiem, dla którego nurkowanie nie było żadną nowością. Dla mnie – owszem.

– No już, już, zbieramy się! – Poganiał nas Jack. – Podwodny świat czeka! Stąd godzina jazdy samochodem. A po drodze zajrzemy jeszcze do kilku sklepów.

Pożegnaliśmy się z towarzystwem, wsiedliśmy do naszej chevrolety i pojechaliśmy w głąb wyspy. Kapitan prowadził. Wybrał tym razem inną drogę, zamiast znanej nam, prowadzącej wzdłuż wybrzeża.

Najpierw zawiózł nas do Muzeum motyli. Ludzie! Nie wiedziałam, że istnieje coś takiego, jak muzeum motyli! Nie przypuszczałam, że występuje na świecie takie bogactwo kolorów i kształtów. Fruwających! W muzeum żyły (mieszkały? przebywały?) żywe eksponaty. Pod niewidoczną kopułą z siatki założono coś w rodzaju gigantycznego tropikalnego ogrodu. Wszędzie fruwały tysiące bajecznie kolorowych okazów! Olbrzymie, jak ptaki, i takie małe, jak u nas latem na łące.

Do stolicy dotarliśmy od strony północnej. Zaczynał się nasz czwarty dzień na wyspie, a dotąd nie rozpoczęliśmy żadnych przygotowań do wyprawy!

– Słuchajcie! Teraz idziemy kupić parę rzeczy, a potem do portu. Rozejrzemy się za odpowiednim dla nas jachtem. Zabieramy się poważnie do roboty!

– A czego będziemy potrzebować? – Jarek skierował pytanie do najwłaściwszej osoby. I chyba jedynej znającej odpowiedź.

– Będziemy potrzebować mnóstwa rzeczy, począwszy od zapasów jedzenia, skończywszy na sprzęcie. Wymienię tylko niektóre: zapalki sztormowe, świece i latarki,

śniwory, kocher, menażki i manierki, zestaw suchego prowiantu... To musimy zabrać ze sobą do jaskiń na wszelki wypadek. Dalej, liny i wyposażenie wspinaczkowe, multitoole, mały szpadel do kopania. Tabletki do uzdatniania wody, apteczka i zestaw podstawowych leków dla tej strefy klimatycznej. To tylko najważniejsze rzeczy. Nie będę was zanudzać wymienianiem wszystkiego. Sami zobaczycie. Sprzęt dla pletwonurków wypożyczymy razem z jachtem. Może się przydać. Naczynia, i cała reszta powinna się znajdować na jachcie, jako wyposażenie standardowe.

– Zaraz, zaraz, Kapitanie, to my będziemy kopać, czy nurkować??? Bo ja już nie mogę się w tym wszystkim połapać!

– Raczej przeszukiwać jaskinie, Iza. A to będzie wymagać przygotowania na różne warunki. Wieczorem robimy naradę i wszystko objaśnię wam z pomocą mapy.

Dobrze, że chociaż tyle dowiedzieliśmy się o planowanych poszukiwaniach. Dotąd ciągle coś lub ktoś przeszkadzał nam w ustaleniu szczegółów. Okazało się, że nawet Wojtek z Jarkiem mieli dotąd blade wyobrażenie o tym, co nas czeka.

W stolicy zajrzeliśmy do kilku sklepów. Na razie nie robiliśmy wielkich zakupów. Kupiliśmy tylko parę podstawowych rzeczy, takich jak noże, latarki, apteczkę, zestaw leków, wodoodporne pokrowce na dokumenty. Kolejnym zadaniem było znalezienie odpowiedniej łodzi żaglowej. Ruszyliśmy w kierunku znanej przystani jachtowej. Gdy tam dotarliśmy, serce biło mi niespokojnie. Wpatrywałam w oddali czarnej bandery i znajomych kształtów żaglowca. Na darmo! Po piratach i brygu ani śladu. Czyżby odpłynęli na zawsze? Może go już nigdy więcej nie zobaczę?

Szliśmy wzdłuż nabrzeża za Kapitanem, przyglądając się mijanym jachtom. Dla mnie oczywiście z tego przyglądania się nic nie wynikało. Stojąc przycumowane, ze zwiniętymi żaglami, wszystkie wyglądały podobnie. Ale dla Jacka nie. Kapitan przespacerował się, wszedł na jeden z nich, potem na drugi i trzeci. Wreszcie zaczął rozglądać się za kimś, z kim mógłby pogadać o tych łodziach. Zauważył w końcu postawnego Mulata, który wyszedł z niskiego bungalowu i przyglądał się nam od dłuższego czasu. Wyglądał na bosmana, który opiekuje się mariną. Do niego właśnie zwrócił się Kapitan.

– *Bonbini* – przywitał się – macie tu ładne łodzie.

Nie po raz pierwszy zauważyłam, że znajomość nawet pojedynczych zwrotów w miejscowym żargonie otwierała niejedne drzwi.

– *Si, si, señor*, bardzo dobre łodzie. Dobre łodzie kochają wiatr i fale.

– A tamten Oceanis to można wyczarterować? – spojrzałam na burtę jachtu, o który zapytał Jack, i przeczytałam: „Sunrise”. Piękna nazwa.

– A chcecie skipera?

– Człowieku, ja sam jestem skiperem, a tamten – wskazał na Wojtka – sternikiem. Samą łódź potrzebujemy. Chcemy pożeglować zanim nadejdzie passat.

– Tamten już wynajęty, ale mamy jeszcze inne wolne. Zależy na jak długo?

– Na tydzień, albo dwa. W piątek chcemy się zaokrętować. Tamte są za duże, ten byłby w sam raz.

Kapitan obrócił się i wskazał na inny jacht w oddali.

– To może ten jest wolny? Wzielibyśmy tego Dufoura, ale pewno drogi?

Mulat spojrział z uznaniem na Jacka.

– Nie, *señor*, niedrogi. Dla ciebie, *señor*, tyle samo, co za tamtego. A sam wiesz, że jest dużo lepszy i szybszy. – Tu Mulat uśmiechnął się szeroko do Jacka, a ten odwzajemnił uśmiech. – 1500 dolarów za tydzień plus kaucja. Ma *roller genuy*, dwa koła sterowe, autopilota i GPS.

– Nie potrzebujemy GPS-a – zaproponował Kapitan – ale niech będzie. Bierzemy.

– Tylko teraz nie ma bossa. Przyjdźcie wieczorem.

– Dziś już nie przyjdziemy. Będziemy zajęci do wieczora. Ale pamiętaj, że go rezerwujemy. – Widziałam, jak Kapitan wsunął mu coś do ręki. – Powiedz bossowi, że przyjdziemy jutro.

– *Si, si, señor*. Jest wasz. *Masha danki, aye!*

– A nie widziałeś może takiego starego żaglowca? – Nie mogłam wytrzymać, żeby nie zapytać o piracki bryg. – Stał tam na redzie przedwczoraj.

– *Si, si, señorita*. Stali, ale odpłynęli.

– Jak to – odpłynęli? Na zawsze?

– Odpłynęli, ale wrócą.

– Skąd wiesz, że wrócą? Może jeszcze wiesz, kiedy?

– W środę zaczynają się zawody, to przyplyną. Będzie dużo gości chętnych do zwiedzania. Będzie można zarobić. Nie przepuszczą takiej okazji.

Opuściliśmy przystań, a ja w końcu nie wiedziałam, który jacht zarezerwował Kapitan. Nie szkodzi, dowiem się niedługo. Wyjeżdżając z miasta, wróciliśmy na starą drogę. Teraz po lewej rozciągały się połacie niskiej zieleni, z wystrzelającymi w niebo kaktusami.

Jechaliśmy w kierunku południowo-wschodnim. Nagle Wojtek zaczął się niespokojnie kręcić. Jarek, który siedział obok niego z tyłu, nie wytrzymał:

– Stary, skorpion ci wlaź do skarpetki, czy co? Przestań się wiercić!

– Rany, ja cię kręcę! – To był typowy, dosadny i lakoniczny styl Wojtka. – Poznaję okolicę! To ta droga!

– Zbliżamy się właśnie do Hiszpańskiej Laguny. – Kapitan nie wydawał się zaskoczony okrzykami Wojtka. – Dobrze zgadłem, że to tutaj cię przywieźli. Tam są właśnie ruiny dawnego Złotego Młyna. Zatrzymajmy się tylko na chwilę, nie mamy zbyt wiele czasu. Musimy zdążyć na nurkowanie. Ale warto się rozejrzeć. Może znajdziemy coś, co da nam wskazówkę, kim byli napastnicy...

– OK, pojedźmy tak daleko, jak się da.

Droga przekroczyła wąską zatoczkę, przypominającą wąziutki fiord wrzynający się w głąb lądu. Tu Jack skręcił w lewo w coś, co na miano drogi nie zasługiwało. Dalej trzeba było pójść pieszo. To były opisywane przez Wojtka stare zabudowania z cegły i kamienia, na pół zburzone, porośnięte trawą i chaszczami. Wojtek zaciągnął nas głęboko w ruiny, poszukując miejsca, w którym go porzucili, skrepowanego sznurem. Tutaj ruiny tchnęły pustką. Turyści trzymali się wydeptanych szlaków. Stało się jasne, dlaczego Wojtek mógł liczyć tylko na siebie. Po krótkich poszukiwaniach znalazł postrzępiony sznur, z którego uwolnił się wtedy, i worek, który nałożyli mu na głowę.

– Widzicie? Wszystko się zgadza. Nikt nie wierzył, że tak było naprawdę. Myśleliście, że może coś ściemniam, żeby ukryć prawdę!

– Wojtusi, ja ci wierzyłam! Naprawdę! – Podniosłam dwa palce jak w przysiędze. – Przecież wiem, że nie zmyślałeś! Nam, Bliźniakom, po prostu zdarzają się różne dziwne przygody!

– Dzięki, Młoda, że mnie nie zawiodłaś! Przynajmniej ty jedna!

Zabraliśmy znalezione dowody do samochodu. Na wszelki wypadek. Może się jeszcze na coś przydadzą, kto wie?

– Popatrzcie! – Kapitan znał się chyba na wszystkim, co można było napotkać w tym rejonie świata. – To był kiedyś system płuczek, przez które przepływała woda. Największe kopalnie i złoża złota znajdowały się na północy wyspy. Tu był mniejszy ośrodek wydobywania. Dzięki tym płuczkom nie trzeba było oddzielać złota od mułu ręcznymi sitami. Tak, jak widzieliście w niejednym filmie. Uwaga na wykroty i dziury... Tam dalej znajduje się jedna z

największych w świecie fabryk odsalania wody morskiej. Wyspa ma niewiele naturalnych źródeł słodkiej wody. Cała woda pitna pochodzi z odsalania morskiej.

O, kurcze, tego nie wiedziałam! Dotąd wydawało mi się, że mają smaczną wodę.

Wróciliśmy do samochodu i resztę drogi pokonaliśmy słuchając opowiadań Jacka

– Niedługo dotrzemy do wybrzeża okolonego zdradliwymi rafami. Znajdują się prawie niewidoczne pod lustrem wody. Raj dla nurków! Ale postrach statków, bo znajdują się na tyle płytko, że wiele statków i łodzi rozbiło się na tych skałkach. Toteż wzdłuż linii wybrzeża leży wiele wraków. Niektóre z nich udostępniono do podwodnego „zwiedzania”.

– Można nurkować wśród wraków???

– Niezupełnie. Nurkować oczywiście można wszędzie, jeśli ma się pozwolenie. Ze względu na bezpieczeństwo, turyści mogą nurkować tylko na wyznaczonych obszarach. Buszowanie wśród wraków jest zabronione głównie z powodu bezpieczeństwa. Tu jest parę miejsc, gdzie można zobaczyć zatopione statki. Tylko niektórym dano pozwolenie – tu Kapitan uśmiechnął się do siebie – na ryzykowanie zdrowia i życia wśród zatopionych szczątków.

Miał na myśli siebie. Na tych morzach i mieliznach spędził kawał życia. To była jego pasja i sposób życia.

Mieszczuchy patrzą na ludzi tego pokroju z niezrozumieniem. Mieszczuchy boją się wszystkiego. Narazają swoje zdrowie w smogu, w miejskich korkach lub jedząc fast-foody. Żyją w stresie, z metra do windy, z biura do supermarketu, w pogoni za..., no właśnie! Za czym? Jego domem był cały świat. W górach, na morzu, czy na pustyni oddychał pełną piersią. I zapewne dałby sobie radę w każdych warunkach. Nie wyrzekał się cywilizacji, ale, aby żyć, musiał obcować z naturą. Widzieć niebo, morze, góry. To był balsam dla duszy, który działał jak najlepszy lek na choroby ciała.

Ryzyka, na jakie się narażał były inne i tylko pozornie większe. Były bardziej skondensowane, niż ryzyka, jakie niesie cywilizacja. Kto wie jaki zły lub dobry los rzucił go na te wody. Jack nie lubił o sobie opowiadać, ale wywnioskowaliśmy, że dawno opuścił kraj. Domyślałam się, że do obrania takiej drogi życia skłoniły go miłość do natury i awanturniczy charakter (uwaga, to nie negatywne określenie!). Ale na pewno coś jeszcze. Czy kiedyś się dowiemy?



\*

Dochodziła druga, gdy dojechaliśmy do centrum wypraw podwodnych. Program zwiedzania dla turystów, przewidywał najpierw wejście do okrągłej łodzi podwodnej. Wyglądała tak, jak moje wyobrażenia o łodziach z powieści Juliusza Verne'a. Za to w środku była naszpikowana nowoczesną techniką. Miała rząd iluminatorów, przez które, po zanurzeniu na głębokość ponad czterdziestu metrów, można było obserwować podwodny świat. Wkraczając na pokład czułam się jak powieściowy Kapitan Nemo. Zanurzyliśmy się i po chwili otoczył nas podwodny świat.

Żywa rafa koralowa! To było coś wartego zobaczenia! Te kolory i kształty! Pod tym względem rafa wygrała ze światem motyli. Koralowce o kształtach nie do opisanias, czerwone, purpurowe, pomarańczowe, zielone, czarne. Olbrzymie anemony morskie! Wśród nich pływające ryby, których nazw nawet nie znałam. *Angel-fish*, *parrot-fish* – te nazwy mówiły same za siebie. Ryby tak kolorowe jak papugi, od których wzięły nazwę. Olbrzymie homary, langusty, manty, mureny. Barrakudy, ośmiornice, koniki morskie, i mnóstwo innych morskich stworzeń. Wszystko to pływało wokół nas, jak w gigantycznej porcji, przepraszam za porównanie, zupy *bouillabaise*!

Po opuszczeniu łodzi podwodnej, poszliśmy kawałek dalej, gdzie nurkowano z pomocą akwalungu. Wolałbym nurkować z butlą, jednak tu odbywało się tylko nurkowanie z akwalungiem. Celem był wrak statku.. Pod opieką wykwalifikowanych nurków, turyści odbywali spacer pod wodą i podchodzili do wraku na wyciągnięcie ręki.

Kapitan wyjaśnił nam krótko, o co chodzi:

– To jest takie specjalne nurkowanie z akwalungiem. Ten sposób jest o wiele bezpieczniejszy dla amatorów. Nie trzeba przechodzić szkolenia, nie dźwiga się aparatu tlenowego na własnych plecach. Nie ma też problemu dekompresji przy wynurzeniu, bo schodzi się na niewielką głębokość. Dostaje się maskę połączoną długim przewodem z aparatem tlenowym. Aparat tlenowy znajduje się na powierzchni, na łodzi.

– To takie nurkowanie dla dzieci i emerytów! – Nie potrafiłam ukryć rozczarowania.

– Nie przesadzaj, Iza. Na początek będzie dla was idealne. Jak się oswoicie, zrobimy szkolenie i wezmę was na „prawdziwe” nurkowanie z butlą. Tu będziemy oglądać wrak statku. Chciałem wam przybliżyć, chociaż troszeczkę, jak wygląda moja praca.

– Z tym prawdziwym nurkowaniem, trzymamy cię za słowo, Jack!

Ubraliśmy maski i zeszliśmy powoli na głębokość około 20 stóp (tu wszystko podawali w jednostkach amerykańskich, stopach, milach, calach, funtach). Pod wodę schodziła z nami grupa dziesięciu osób plus dwu opiekunów. Posuwaliśmy się wolno i ostrożnie, dotykając dna. Widoczność pod wodą była dobra, o ile ktoś nie poruszył mułu na dnie.

Oto wielki błękit na wyciągnięcie ręki! Ale fajnie było tak sobie wędrować wśród pływających rybek! Kolorowych i ruchliwych. Cały czas prześladowały mnie wątpliwości, czy aby na pewno nie wpłyną mi do ust? Lub, nie daj Boże, innego otworu? Tutaj nie było tak kolorowo, jak przed chwilą na rafie.

Po kwadransie takiego chodzenia pod wodą zbliżyliśmy się wraku. Każdy pilnował się, by nie oddalić się zbyt od innych i nie zgubić. Zresztą przewody tlenowe nie dawały nam zbyt dużej swobody poruszania się pod wodą. Sielanka trwała do momentu, gdy podeszliśmy do wraku. Poczułam wtedy straszne rozczarowanie. To miał być ten wymarzony, zatopiony żaglowiec?

Od dzieciństwa namiętnie pochłaniałam powieści podróżnicze. Historia i podstawy żeglarstwa, konstrukcja i rodzaje żaglowców, sławni żeglarze i odkrywcy, korsarze i piraci, morza, wyspy, prądy morskie, i tak dalej, i tak dalej. To był mój żywioł. Byłam w stanie wiele poświęcić, by dotknąć moich marzeń! I oto, co zobaczyłam. Kupę blach, porzewiałych i rozpadających się. To nie był żaglowiec! Wrak, który nam pokazano, był statkiem wojennym z początków naszego wieku Niemieckim, jak się później dowiedziałam. Żadnych żagli, masztów, po prostu nieromantyczna kupa rozpadających się blach, która roztrzaskała się kiedyś na podwodnych skałach. Byłam okropnie rozczarowana! Popłynęłam wzdłuż kadłuba, chcąc jakby się upewnić, że to wszystko, że nie ma tu innego wraku.

Miałam dość oglądania! Nie czekając na resztę grupy, odwróciłam się obrażona na tę kupę złomu. Poza tym poczułam się trochę dziwnie. Nie mogłam złapać oddechu. Postanowiłam wrócić na powierzchnię do czekającej łodzi.

I wtedy znów poczułam, że nie mogę oddychać. Trwało to ułamki sekundy. Potem już nic nie czułam. Zapadłam w nicość....

## ***Rozdział 5. W którym zakochany ksiądz zostaje hersztem piratów***

Po raz pierwszy doświadczyłam, jak kruche jest życie człowieka. Zależy, na przykład, od paru haustów powietrza. Moje życie zawisło na włosku. Dotarło to do mnie dopiero, gdy się ocknęłam i uświadomiłam sobie, że jestem wciąż na tym świecie. Widocznie nie było mi jeszcze pisane przenieść się do wieczności. Nie wiem, ile czasu byłam nieprzytomna. Gdy się ocknęłam, byłam na powierzchni i leżałam sobie wygodnie na brzegu. Najpierw usłyszałam znajome głosy:

– Iza, Izunia, ocknij się! No, ożyj, proszę! – To był głos Jarka.

– Jezu, niech ona ożyje! Przecież ma puls i oddycha! – Wojtek niepokoił się.– Młoda! Obudź się!

– Przecież... ja żyję... – Wyszepiałam bezgłośnie.

Otworzyłam oczy i zobaczyłam nad sobą twarze. Oprócz dwu znajomych twarzy, kilka innych, całkiem obcych. Ale to mi nie przeszkadzało. Nie widziałam twarzy kapitana, ale na razie nie zastanawiałam się nad tym. Byłam szczęśliwa, że widzę ludzi! Że żyję! Podobno uśmiechałam się przy tym tak błogo, że chłopaki nie byli pewni, czy mój mózg nie był zbyt długo pozbawiony dopływu tlenu. Na szczęście objawy upośledzenia umysłowego ustąpiły dość szybko.

– Sorki, jestem mięczak, nie nadaję się na nurka! – Wyrzucałam sobie na głos, próbując równocześnie wstać.

– Leż! Nie ruszaj się! Zaraz przyjdzie lekarz.

– Lekarz? Po co lekarz? – Protestowałam słabo. – Nie wiem, jak to się stało, że zemdlałam tam, pod wodą. Może dlatego, że to nie był wrak żaglowca, tylko jakiś złom?

Jak zwykle nic nie zrozumieli.

– Jakiego żaglowca? – Spytał Jarek.

Spojrzeli po sobie, a ich spojrzenie mówiło: „Ona jednak bredzi”. A Wojtek zaczął mi tłumaczyć raz jeszcze:

– To nie był wrak żaglowca, Iza, tylko wojenny okręt niemiecki.

– No właśnie! A ja cały czas myślałam, że zobaczymy wrak prawdziwego żaglowca! I wtedy tak się zdenerwowałam, i zrobiło mi się żal. Było mi tak dziwnie, słabo, i chyba zemdlałam z nadmiaru wrażeń. – Próbowałam jakoś racjonalnie wyjaśnić i usprawiedliwić moją słabość. – To adrenalina tak zadziałała. Może ja się nie nadaję na nurka?

W tym momencie zobaczyłam Kapitana, który kręcił się w pobliżu.

– No, jak się czujesz Iza?

– Bardzo dobrze. Chcę iść do domu.

– Jack, chyba nie jest z nią dobrze. Bredzi. – Powiedział Wojtek.

– Wiem, słyszałem. – Widziałam, że spojrzeli po sobie, jakby upewniając się, czy można mi powiedzieć. Chyba wyszło im na tak, bo Kapitan powiedział:

– Cicho, Iza, nic nie mów! To nie twoja wina. Po prostu ktoś przeciął twój przewód tlenowy... Miałaś wiele szczęścia, że żyjesz...

Słowa Kapitana wprowadziły mnie w osłupienie. Jak to – ktoś przeciął mój przewód tlenowy? Kto przeciął? Jak? Niechcący czy umyślnie? To brzmiało absurdalnie, ale nie przyszło mi do głowy, by wątpić w słowa Kapitana. Nie mogłam się na tym skupić, bo nagle pojawił się wezwany lekarz.

Leżałam ciągle na tym nabrzeżu, Wojtek trzymał moją głowę na kolanach. Byłam całkowicie przytomna i czułam się już nadzwyczaj dobrze. Lekarz rozsunął zgromadzonych gapiów, uklęknął przy mnie i zaczął mnie badać. Obmacywał puls, odchyłał powieki, zaglądał do oczu. I kazał odpowiadać na głupie pytania w rodzaju: „Ile palców pani widzi? A teraz?”. Chciał mnie zabrać na wszelki wypadek do szpitala, ale kategorycznie odmówiłam.

Kierownik ośrodka nurkowego bardzo się przejął moim wypadkiem. Powtarzał wiele razy, że coś takiego nigdy się tu nie wydarzyło. Akurat! Nigdy nie mieli żadnego wypadku? Pytał, czy chcemy zawiadomić policję. Jasne, że woleliśmy unikać policji. Nawet mimo naszych podejrzeń, że nie był to wypadek, lepiej było nie włączać w to policji. Nic by to nie dało, z wyjątkiem niepotrzebnego zainteresowania naszymi osobami.

Kiedy lekarz dał mi wreszcie spokój, opuściliśmy nabrzeże i zostawiliśmy za sobą całe to zamieszanie. Schroniliśmy się w najbliższej kafejce. Zamówili mi koniak, żebym doszła do siebie, a Kapitan opowiedział jak to się stało.

Wszyscy nurkowaliśmy w pobliżu zatopionego wraku, gdy Kapitan zauważył, że dzieje się ze mną coś złego. Zaczęłam nagle machać bezładnie rękami, a potem bezwładnie dryfować. Podpłynął do mnie błyskawicznie i wyciągnął mnie na powierzchnię. Doholował mnie ciągle nieprzytomną na brzeg. Jarek i Wojtek widząc, co się dzieje popłynęli za nami. Tam zaczęli mnie cucić. I tak właśnie zawisłam pomiędzy śmiercią przez uduszenie z braku powietrza, a utopieniem. Gdyby nie to, że konstrukcja zaworu w masce blokowała dopływ

wody z zewnątrz w razie awarii, byłabym się utopiła. Woda dostałaby się do płuc przez uszkodzony przewód tlenowy.

Zanim na brzegu doszłam do siebie, Jack obejrzał sprzęt, który miałam na sobie. Maskę była w porządku. Za to rurka, przez którą oddychałam, została przecięta mniej więcej w połowie długości. Rurka ta miała kilkanaście metrów długości. Przez nią podawano powietrze do oddychania. Była zrobiona z lekkiego i giętkiego tworzywa, odporne na rozerwanie, zgniecenie, i tak dalej. Można było ją przeciąć tylko bardzo ostrym narzędziem. Teoretycznie mogłam zahaczyć przypadkowo o podwodne skały lub ostre blachy wraku. Ale wtedy musiałabym długo się szarpać, aby go uszkodzić. Nie sposób było tego nie zauważyć, a przewód byłby poszarpany. A ja tymczasem nic nie czułam, zanim to się stało!

Tyle miał do powiedzenia Kapitan. Wszyscy zamilkliśmy. Dopiero po chwili wywiązała się gorąca dyskusja. Wynikało z niej, że w kwestii wypadku wszyscy mamy podobne zdanie.

– Dobrze, że nie nurkowaliśmy głęboko. W innym wypadku mogłabyś bardzo ucierpieć od choroby kesonowej. Przy nieumiejętnym postępowaniu, przy zbyt szybkim wydostawaniu nurka na powierzchnię, może się skończyć śmiercią.

– W jaki sposób?

– Nie pytaj mnie teraz o to, Iza. Nie chciałyś wiedzieć. Nawet nie mogę o tym myśleć. Zresztą po co o tym mówić, skoro nie było tego zagrożenia. Jak widzicie, kochani, nurkowanie jest dość niebezpieczne, jeśli coś pójdzie nie tak. Na szczęście utrata przytomności i niedotlenienie mózgu trwały krótko, i nie pozostawiły żadnych śladów.

(Dzięki Bogu! Inaczej stałabym się rośliną i nie mogłabym tego wszystkiego opisać!).

– Podobno nie jest to przyjemna śmierć. – Podsumował Wojtek. – Całe szczęście, że Kapitan zorientował się błyskawicznie i pospieszył ci na ratunek.

– Jeszcze raz dzięki, Kapitanie, za uratowanie życia.

– To ja cieszę się najbardziej, Izunia. A tego drania, gdybym dorwał, nie wiem, co bym mu zrobił!

– Więc jesteś pewien, Jack, że to nie było przypadkowe? – Nareszcie Jarek dorwał się do głosu. – Ja też obejrzałem ten przewód i nie jestem do końca pewien. Rzeczywiście były widoczne ślady cięcia, ale cięcie nie było czyste. Nie potrafiłbym ocenić, czy zrobiły to zęby rekina, czy ręka człowieka.

– Czy ty tam widziałeś gdzieś rekiny? Bo ja nie. – Powiedział z przekąsem Wojtek. – Gdyby tam były rekiny, to nie siedziałbyś tutaj, tylko w ich brzuchu.

– Ja tylko mówię tak przykładowo. Mam na myśli zęby jakiejś ryby drapieżnej, tak w ogóle, niekoniecznie rekina.

– Przykładowo? W ogóle? Nie myśl przykładowo, tylko konkretnie. Tam nic takiego nie było, co mogłoby zabrać się za jedzenie przewodu tlenowego. Jak ci Kapitan mówi, że to było cięcie, to nie wysilaj się w wymyślaniu morskich stworów. Chyba Kapitan zna się na tym lepiej niż ty. Niż każdy z nas.

– No, dobrze już, dobrze. Wiadomo, że Kapitan zna się najlepiej z nas. Tylko trudno mi uwierzyć, że mógł to zrobić człowiek.

– A nam myślisz łatwo? Najgorsze jest to, że niczego nie zauważyliśmy. Bo ja nie. Chyba, że ktoś z was coś widział. A ty, Iza, nic nie czułaś? Żadnego szarpnięcia? Nic?

– Nic, a nic! Przecież nie zrobiłam tego sama. Nie wybieram się póki co do innego, lepszego świata.

– Spokojnie, Iza, ja też nic nie widziałem, chociaż w czasie nurkowania zawsze rozglądałem się dookoła. Ale to nic dziwnego. Przewód jest długi na kilkanaście metrów i zwisa dość luźno. Nic dziwnego, że nie poczułaś żadnego szarpnięcia. Przewód jest przecięty mniej więcej w połowie długości. Tam się kręciło wielu ludzi z naszej grupy i uwaga wszystkich była skupiona na oglądaniu wraku. Musiał to zrobić szybko i nie chciał się za bardzo zbliżyć.

– Ale kto to był? Ktoś z grupy, która nurkowała z nami? Czy ktoś obcy?

– Prawdę mówiąc, nie wiem. Mógł to być ktoś z grupy, albo podpłynął ktoś obcy. Czuję się trochę winny, że go nie próbowałem złapać. Jednak wtedy najważniejsze było, żeby cię wyciągnąć z wody i dopłynąć do nabrzeża. Pod wodą nie miałem pojęcia, co się dzieje. Dopiero na lądzie, po udzieleniu ci pierwszej pomocy, sprawdziłem twój sprzęt i odkryłem to, co wiecie. W międzyczasie cała nasza grupa wyszła na powierzchnię. Wtedy było już za późno, by łapać tego, kto to zrobił. Zresztą nie wiem, czy by to coś dało. Narzędzia pozbył się prawdopodobnie od razu, jeszcze pod wodą.

– Widziałem, że rozmawiałeś z tymi ludźmi. I co?

– Tylko z niektórymi. Nic. Nikt nic nie widział. Zresztą nie bardzo rozumieli, o co ich pytam. Oni wyglądali na absolutnych amatorów, wymagających opieki pod wodą i na lądzie. A może to któryś z nurków, opiekujących się nami? Z nimi też rozmawiałem, ale nie wyglądali podejrzanie. Albo raczej ktoś zbliżył się do nas pod wodą. Każdy mógł podpłynąć, zrobić swoje i odpłynąć niezauważony.

Same pytania i wątpliwości. Żadnych konkretów, śladów, dowodów. Zabawa w detektywa, w zgadywanie, kto zabił i w łapanie przestępcy jest pasjonująca, gdy o tym czytasz. Przystaje być zabawna, gdy sam zostajesz celem. Ofiarą, która cudem uniknęła śmierci.

– Jeśli to nie był przypadek, ktoś musiał to zaplanować. A przedtem śledzić nas.

– No, właśnie, Iza! Nie wiemy, czy chodziło mu o ciebie. Czy w ogóle chodziło mu o kogoś z nas?

– Na pewno. – Powiedzieli równocześnie Wojtek i Jarek. To potwierdziło, że wszyscy tak myśleliśmy.

– Widać wszyscy myśleliśmy o tym samym. Ze może to mieć związek z porwaniem Wojtka. Ten, który przeciął przewód mógł być nam zupełnie obcy, ale posłali go ci sami ludzie. Mniej ważne jest, czy chodziło mu o Izę, czy o któregokolwiek z nas. Zastanówmy się jak to zaplanowali. Mało prawdopodobne, by nas śledzili cały czas. Zauważyłbym to.

– Jeśli nas nie śledzili, to skąd wiedzieli, gdzie pojedziemy?

Zapadło milczenie. Każdy zaczął sobie przypominać co robiliśmy począwszy od rana. O dzisiejszych planach dowiedzieliśmy się rano od Jacka.. Próbowałam sobie przypomnieć, kto mógł słyszeć, jak o tym rozmawiamy. Byli znajomi surferzy. Pierwszego dnia, gdy zaginął Wojtek też kręcili się w pobliżu. Wszyscy oni byli znakomitymi pływakami, a nawet nurkami. Zadawałam sobie pytanie, który z nich mógłby to zrobić. Niestety, żaden z nich nie pasował mi do tej roli. Jednakże w każdej grupie może się znaleźć jakaś czarna owca. Maskuje się umiejętnie przed bogu ducha winną resztą. Jak wrócimy, porozmawiam z nimi i popytam, czy wszyscy byli na treningu, czy ktoś się urwał. Nie był to jeszcze dowód winy, ale będziemy go obserwować. To już jest coś!

W holu hotelowym był również nasz anioł stróż, czyli detektyw. Czyżby on? Nie mogłam w to uwierzyć. A może nie chciałam? Po wczorajszym wieczorze spędzonym razem? Czy ktoś mógłby być tak perfidny? Oczywiście, mógłby, jeśli jego sympatia byłaby udawana, po to, by nas kontrolować.

Rano kręciło się wokół tyle ludzi, że właściwie każdy mógł podsłuchać, gdzie się wybieramy. Potem śledził nas dyskretnie, szukając okazji, aż trafiła się podczas nurkowania. Albo też ktoś podsłuchał nas rano i czekał na nas na miejscu. Jak się zastanowić, to nie było takie trudne. Wystarczyło, że usłyszeli, że pojedziemy nurkować na rafę. Ośrodków nurkowych było wiele, ale wzdłuż południowego wybrzeża prowadziła do nich jedna droga,

którą musieliśmy przejeżdżać. Wystarczyło ustawić w dogodnym punkcie kogoś, żeby stamtąd pojechał za nami. Komu tak zależniśmy za skórę, że zadawał sobie tyle trudu, by nas wciąż prześladować?

W każdym razie, byli to ludzie dobrze znający topografię i życie wyspy. Przyszli mi do głowy napastnicy Wojtka. To był podobny schemat działania – ktoś czatował na okazję, żeby zaatakować. To musieli być ci sami ludzie, choć za każdym razem wykonawca zadania mógł być inny. Detektyw jak najbardziej pasował do tego opisu, ale czy pasowali do niego surferzy? Kilku z nich było tu poprzednio, znali wyspę. Oczywiście psychologicznie kompletnie nie pasowali do tego wszystkiego. Mieli inne cele, inną skalę wartości. Ale jednak mógł być wśród nich ktoś, kto współpracował z naszymi napastnikami. Może nawet nieświadomie.

Uświadomiliśmy sobie, że nasi prześladowcy, kimkolwiek byli, nie zrezygnowali. Zlekceważyliśmy ich ostrzeżenie, więc przypomnieli o nim. Udowodnili nam, że są gotowi na wszystko, by nam pokrzyżować plany. Świetnie! Ktoś nas obserwuje, depta po piętach, a my nie wiemy, z kim mamy do czynienia! Gdy to do nas dotarło, mimo woli, każdy z nas zaczął czujnie rozglądać się dokoła. Na razie nikt z otaczających nas ludzi nie wydał się podejrzany, ani znajomy. Jednak odtąd trzeba będzie zwracać uwagę, czy wśród napotkanych przypadkowo osób nie powtarzają się jakieś twarze. Trudna sprawa.

Jakby zgadując moje myśli, Kapitan powiedział:

– Postarajcie się to jeszcze raz przemyśleć. Może zauważyliście kogoś podejrzanego po drodze. W muzeum motyli? W sklepie? Na brzegu?

– Niestety, nie. Tam było za dużo ludzi i za dużo zamieszania. Ten gościu mógł się rozpuścić w tłumie bez trudu.

– Mnie też, Niestety, nic nie rzuciło się w oczy.– Jarek pokręcił głową. – Ale spróbujemy. Może coś się komuś przypomni?

– Słuchajcie! – Kapitan powiedział to dobitnie. – Odtąd musimy być BARDZO ostrożni. Zlekceważyliśmy ich ostrzeżenie. Kimkolwiek są, przypomnieli nam, że nie żartują. Myślę, że celem był ktoś z nas, a przypadkowo trafiło na Izę. Chcieli nas nastraszyć po raz kolejny, nawet jeśli skończyłoby się czyjąś śmiercią. Oni nie dbają o ludzkie życie. To już nie żarty. Odtąd niech każdy zwraca uwagę na to, co dzieje się dokoła niego. Nikomu nie wolno oddalać się pojedynczo! Jeśli będziemy się musieli rozdzielić, co najmniej dwie osoby muszą zostać razem. Jest nas akurat czworo.



– Damy radę! Ale co z tobą, Jack? Przecież mieszkasz w latarni. Żeby się nie rozdzielać, musiałbyś przeprowadzić się do nas! Nie ma wolnego pokoju, ale miejsca jest dosyć. Możesz spać w salonie na kanapie.

– *Don't worry.* Dziś jeszcze wrócę do siebie, mam tam rzeczy, a jutro zobaczymy. Złego diabli nie biorą. – Uśmiechnął się przekornie.

Do hotelu dotarliśmy akurat w porze kolacji. Dobrze było znaleźć się w hotelu po przejściach dzisiejszego dnia. Ale już nie tak miło jak poprzednio. Odtąd towarzyszyła nam świadomość, że wśród otaczających ludzi zawsze może czaić się ktoś nasłany przez naszych prześladowców. Paranoja!

– *Hello, Polish friends!* – Joana i Michel, pomachali nam z daleka. Ich polubiłam od razu. Może za to, że wiedzieli, gdzie leży Polska? Dla innych nie było to takie oczywiste. – *How are you doing?*

– *Aloha!* – Odkrzyknęłam, używając specjalnie pozdrowienia surferów. – Czy wreszcie trafiliście na dobry wiatr?

– *Wow! It was cool!* Teraz właśnie zaczynają się tu najlepsza dla nas pogoda!

– Wszyscy trenowaliście? Czy ktoś nie wytrzymał tempa?

Głupio było mi tak podstępnie podpytywać, ale czy miałam inne wyjście? Nawet jeśli Joana i Michel, i wszyscy pozostali byli bogu ducha winni, musiałam się upewnić.

– *Yes, of course.* Wszyscy dają z siebie wszystko w czasie treningów. Nie ma żartów. Pojutrze rozpoczynają zawody. Pamiętacie? Będziecie?

Jasne, że pamiętaliśmy. Odpowiedź Joany niczego nie wykluczała. Przecież nie sprawdzali się nawzajem, kto gdzie jest i o której. Zresztą zajście podczas nurkowania miało miejsce wczesnym popołudniem, po właściwych treningach. Muszę ich dokładniej wypytać, żeby zorientować się, co robili w czasie wolnym.

Od wczoraj hotel wyraźnie zapełnił się. Jack został z nami na kolacji, a potem usiedliśmy na tarasie przy miejscowej aromatycznej kawie i drinkach. Ja postanowiłam spróbować oryginalnego likieru *curacao*, który pochodził z sąsiedniej wyspy. Zatrzymaliśmy Jacka, żeby dotrzymał obietnicy i dokończył rozpoczętą opowieść. Oraz udzielił dalszych wskazówek na temat planowanych poszukiwań. Mimo, iż rozmowa była prowadzona po polsku, woleliśmy usiąść na uboczu, żeby nikt nas nie podsłuchiwał.

– Jack – zaczęłam – zanim zaczniesz opowiadać, muszę cię zapytać o jedną rzecz. Powiedziałeś, że będziemy przeszukiwać jaskinie. Może nawet trzeba będzie nurkować. Chcielibyśmy wiedzieć dokładniej, jak i gdzie będziemy prowadzić poszukiwania?

– Jasne, należy wam się wyjaśnienie. Jarek od chwili, gdy dowiedział się, co robię, nie dawał mi spokoju. Ciągłe mnie wypytywał o poszukiwaczy skarbów na Srebrnej Mierzei, i nie tylko. Namawiał mnie na wyprawę i w końcu mnie przekonał. Przekonał mnie, że nie jest to chwilowy kaprys znudzonego chłopaka. – Uśmiechnął się. – Przekonał mnie, że, jak wy to mówicie, „kręci go” prawdziwa przygoda. Że chodzi mu o coś więcej, niż zmieniać samochody lub dziewczyny w modnych kurortach turystycznych. Zasugerowałem właśnie tę wyspę, bo ją znam. Kiedyś tu już byłem...

– Ale gdzie? Przecież tu nie ma miejsca, w które nie zajrzeliby turyści!

– Niekoniecznie. Są takie miejsca, głównie jaskinie. A wracając do Rosity, jej historia jakoś szczególnie zapadła mi w serce. Może dlatego, że według niektórych źródeł, nosiła słowiańskie imię, Wanda. Może dlatego, że jest tak głęboko tragiczna i kontrowersyjna? A może dlatego, że spotkałem w życiu ludzi, którzy dużo o niej wiedzieli, a nawet widzieli autentyczne dokumenty... Ja też zresztą je widziałem.

Tu Kapitan na chwile przerwał, a my czuliśmy, że wraca myślami do szczególnych, osobistych wspomnień.

– Nie mamy pewności, że skarby tu są. Ale wszystko wskazuje na to, że były. A jeśli tak, raczej je zakopano, niż zatopiono. Albo ukryto w zakamarkach jaskiń. Jak wam mówiłem, najbardziej mozolne są poszukiwania podwodne. W wodzie nic nie stoi w miejscu. Nurkujesz, a nazajutrz nie ma wraku, który zaczęłaś penetrować! Morze jest kapryśne i zmienne, jak kobieta. – Uśmiechnął się znowu. – Poza tym tu jest blisko do cywilizacji, a to miejsce najlepiej pasuje do waszych możliwości, moi początkujący poszukiwacze. Ale zanim przejdziemy do planów wyprawy, dokończę opowieść.

– Pamiętacie, w którym miejscu przerwałem wczoraj? – Tu spojrział mimo woli na Wojtka. – Rosita i padre Domingo uciekli wśród zawieruchy wojennej z Ekwadoru. Słuch po nich zaginął na dwa lata. Odnaleźli się na Antylach, w całkiem odmiennych rolach życiowych. On, ksiądz, został hersztem piratów, kapitanem budzącego postrach dwumasztowego brygu. Ona została jego kochanką. Dla wierzących to straszne bluźnierstwo i obraza moralności. Został piratem – podkreślił Jack – nie korsarzem!

– Może przypomnisz nam różnicę? – Spytał Jarek.

– Zapewne to wiecie, ale przypomnę. W uproszczeniu, korsarz różnił się od pirata głównie tym, że był na usługach jakiegoś władcy. Listy kaperskie chroniły go i zezwalały łupić i zatapiać okręty innych krajów, będących w stanie wojny z jego mocodawcą. Korsarz napadał, grabił i mordował w majestacie prawa swoich mocodawców. Dokonywał grabieży i rozboju pod pretekstem służenia swemu krajowi. Często korsarze pochodzili ze szlacheckich rodów i uważali się za kogoś lepszego niż zwykli piraci. W tym miejscu zazwyczaj przypominamy sobie Francisa Drake'a, który był zbrojnym ramieniem królowej Elżbiety i postrachem hiszpańskiej Wielkiej Armady. Lub innego korsarza, Kapitana Kidda. Jego historia świadczy, że granica między korsarstwem a piractwem była bardzo cienka. Kidd zaczął jako korsarz, a skończył marnie, powieszony za piractwo. A jego skarby spędzają do dziś sen z powiek wielu szaleńcom. To on był pierwowzorem okrutnego pirata z "Wyspy Skarbów" Stevensona. Jego legendarne skarby „rozmnożyły się” w ludzkiej wyobraźni. Jednak celem i piratów, i korsarzy były bogate łupy. Dopóki korsarze grabili według wyznaczonych im reguł i dzielili się z władcami, mogli liczyć na ich ochronę i bezkarność. Piraci działali na własny rachunek i nie dzielili się z nikim. Toteż nie mogli się czuć bezpieczni na żadnym terytorium. Ścigano ich wszędzie. Musieli sami zapewnić bezpieczeństwo sobie i swoim skarbowi.

– A co z naszym księdzem i Rositą?

– Padre Mugnoz jako herszt około 20-osobowej bandy piratów, pustoszył wybrzeża Morza Antylskiego, jak zwano wtedy Morze Karaibskie. Rosita należała do kobiet, naznaczonych piętnem *femme fatale*. Nie przyniosła szczęścia żadnemu ze swoich mężczyzn, tym bardziej nowemu kochankowi, ex-księdzu. Legenda głosi, że była zepsuta i bezwstydna. Chodziła na statku przyodziana skąpo w krótką sukienkę, bardziej odsłaniającą niż zakrywającą wdzięki. Pławiła się w bogactwie. Obwieszona złotem i klejnotami pochodzącymi z grabieży. Na swoją kryjówkę banda obrała sobie właśnie tę wyspę. Była niedostępna z powodu braku naturalnych portów, toteż piraci czuli się tu bezpiecznie. Hiszpańskich odkrywcy nazwali ją przecież *isla inutil* – bezużyteczna wyspa.

Antyle były od zawsze teatrem wojennym mocarstw kolonialnych i źródłem taniej siły roboczej. Rdzenną ludność wywożono przez lata do kopalni miedzi na San Domingo. Wyspa przeszła na krótko pod panowanie Anglii w czasie wojen napoleońskich, a potem wszystko wróciło do stanu poprzedniego. Gdy wrzawa wojenna ucichła stała się znakomitą kryjówką pirackiej braci. W tamtych czasach linia wybrzeża była z natury skalista, poszarpana i

niedostępna. Dopiero potem zaczęto ją regulować i budować porty. Z opowieści wynika, że jedyny naturalny port stanowiła część południowego wybrzeża za Hiszpańską Laguną. Prowadził do niego wąski, niebezpieczny przesmyk, który pokonywali tylko wytrawni żeglarze.

– Hiszpańska Laguna? To tam, gdzie zawieźli mnie porywacze? – Ożywił się Wojtek.

– *Exactly*. Byliśmy tam dzisiaj. Nieco dalej leżało miejsce zwane dawniej Cerrita Colorado, osłonięte czerwonymi wzgórzami, od których wzięło nazwę. Tam przybijały pirackie statki ze łupami. Tam czuli się bezpiecznie. Wieść niesie, że tam też schowali swoje łupy. Trudno dziś dokładnie zlokalizować to miejsce. Legenda głosi, że w grotach urządzili sobie kryjówki i kaplicę, w której celebrowali bezwstydną orgię. Z udziałem Rosity i naszego księdza, odprawiającego msze na skalnym ołtarzu...

Kapitan opowiadał, a moja wyobraźnia pracowała, zamieniając jego słowa w barwne obrazy: Widziałam półnagą kobietę, osłoniętą długimi jasnym włosami. Śniada od słońca i bryzy morskiej tańczyła, podzwaniając bransoletami na rękach i nogach. Pijackie śpiewy przy płonącym ognisku. Dźwięk zrabowanych klejnotów i monet. Wino lejące się w zrabowane mszalne kielichy. Wino znieczulające na ból, wyrzuty sumienia, wszelkie uczucia. Ksiądz odprawiający mszę przed Rositą leżącą nago na ołtarzu, oddawaną potem na ofiarę innym mężczyznom w pijacko-religijnym szale. Prawda to, czy kolejny wytwór mojej wyobraźni?

Wszystko jedno, prawda i tak musiała być bardziej przerażająca i okrutna. Historia ta pokazywała, jak nisko może upaść człowiek! Najtragiczniejszy upadek uosabiał padre Domingo – od żarliwego, oddanego sługi bożego, do bandyty wyjętego spod prawa, z rękami splamionymi krwią. Dla niego miłość stała się karą za życia, a nie szczęściem i błogosławieństwem, jakim powinna być dla każdego człowieka.

Biedna Rosita... Ona też stała się ofiarą swoich słabości. U początków jej upadku leżała jakaś tragedia, którą na pewno znał jej spowiednik. Uległa pokusie łatwego życia, co pchnęło ją w objęcia rozpusty i grzechu, a w końcu pozbawiło kobiecości i człowieczeństwa.

Głos Kapitana wyrwał mnie z głębokiego zamyślenia.

– Przywoziłem dokładne mapy wyspy. Starą i współczesną... Popatrzcie!

Wyjął z kieszeni koszuli płaski pakiecik, który po rozłożeniu okazał się mapą. Wskazywał palcem miejsca, o których opowiadał.

– Trudno dziś dokładnie ustalić to miejsce. Z opisu, który przytoczyłem wynika, że przesmyk musiał prowadzić do zatoki gdzieś na południu wyspy. Ale ten rejon nie był

bezludny. Tam powstała pierwsza stolica. Natomiast późniejsze przekazy mówią, że miejsca odwiedzane przez piratów znajdowały się po przeciwnej, północnej stronie wyspy. Tam brzeg pozostał w dalszym ciągu skalisty, niebezpieczny dla żeglarzy. Jest to strona zawietrzna, od otwartego morza. Wątpliwe, by w tamtych czasach statki odważyły się dobijać do wyspy od strony północnej. Jak pogodzić te sprzeczności? Wyspa ma zaledwie kilka mil szerokości, więc łatwo i szybko można ją przemierzyć z południa na północ, nawet piechotą. Może to jest wytłumaczenie...

– A gdzie są jaskinie, które my będziemy przeszukiwać?

– Tu, od strony północnej znajduje się prawdziwy labirynt jaskiń. Pojedziemy na zwiedzanie jutro i rozejrzemy się...

– Skoro można tam dojść od strony lądu, po co nam jacht? – Spytałam naiwnie.

– Można od strony lądu, ale bliżej nam będzie od strony morza. Poza tym mając jacht będziemy bardziej niezależni. Możemy zabrać cały sprzęt. Poza tym pamiętaj, że na jachcie nie będziemy się rzucać w oczy. Jak sobie wyobrażasz prowadzenie wyprawy z tego hotelu?

– Jasne. A gdzie staniemy na redzie? Przecież mówiłeś, że tam brzeg jest niebezpieczny i nie nadaje się dla statków.

– Właśnie tu, od strony północnej. – Wskazał jakiś punkt na mapie. – A że nie nadaje się dla żeglugi, tym lepiej dla nas. Będziemy mieć trochę spokoju.

– Jack, co to za mapa? Myślałam, że to jest mapa z zaznaczonym miejscem ukrycia skarbów... – Przyglądając się mapie nie mogłam ukryć rozczarowania. Otóż, ona wcale nie była stara!

– Aha, tak jak w „Wyspie skarbów”? Olbrzymi krzyżyk wskazującym miejsce, w którym należy szukać? Tak wyraźnie, że tylko ślepy by nie znalazł? – Kapitan nie mógł powstrzymać śmiechu. – Widzę, dziewczyno, że się naczytałaś różnych opowieści! *Sorry*, jeśli cię rozczarowałem.

– ...Ale ona w ogóle ona nie jest prawdziwa! To jakaś marna kopia! Odbitka fotograficzna! – Wpadłam mu w słowo, bo moje rozczarowanie osiągnęło szczyt. Czy ja wyobrażałam sobie, że poszukiwacze chodzą z bezcennymi starymi dokumentami w kieszeniach?

– Iza, co ty? Naprawdę myślałaś, że na wyprawy zabiera się do kieszeni cenne oryginały starych dokumentów? Przecież oryginał tej mapy nie jest nawet moją własnością! A

mimo to niektórzy wiele daliby za taką wierną kopię. – Tu zawiesił głos. – Czy potrzebuję dodawać, że wszedłem w jej posiadanie legalnie? Za zgodą jej właściciela?

– Kapitanie, skąd ty to wszystko wiesz? Mówisz tak, jakby istnienie tych skarbów było prawdą, a nie przypuszczeniem.

– Bo skarby, te i wiele innych, naprawdę istnieją. Jest wiele mylnych informacji, czasami rozpuszczanych celowo. Jednak wiele historii opartych jest na prawdziwych wydarzeniach. Ci, którzy zbierają wytrwale wiedzę na ich temat, mają niewielką szansę wpaść na prawdziwy trop. A i to nie wystarczy. Trzeba jeszcze dysponować olbrzymimi środkami finansowymi, by prowadzić poszukiwania. Znam wielu ludzi, którzy opętani obsesją poszukiwań stracili fortunę i zmarnowali życie.

– A ty od dawna jesteś poszukiwaczem? Udało ci się kiedyś znaleźć skarb?

– I tak, i nie... Ale znam i takich, którym się udało. O tym może kiedy indziej. – Widocznie trafiłam w jakieś czułe miejsce. – Mam wielu przyjaciół, poszukiwaczy, którzy dysponują olbrzymią wiedzą, nieraz popartą autentycznymi dokumentami. A mimo to nic nie znaleźli. Nikt nie daje gwarancji, że szukasz we właściwym miejscu i że ci się uda. Toteż, moi młodzi przyjaciele, nie podniecajcie się zbyt. Potraktujcie to jak niezwykłą przygodę.

– No, dobrze – wpadłam mu w słowo – ale co my zrobimy, gdy już znajdziemy ten skarb? Jak go stąd zabierzemy? I jaki on w ogóle może być duży?

– Dobrze pytanie! – Zainteresował się Jarek, pamiętając sytuację na granicy. – Czy wolno nam wywieźć coś z wyspy? Jak to jest Kapitanie?

– Przyznaję, że nie staraliśmy się o pozwolenia na poszukiwania. Z tego, co wiem, nikomu od dawna nie wydano takiego pozwolenia. Moglibyśmy tu spędzić pół życia czekając na jego wydanie. Nie zakładam też, że cokolwiek wywieziemy, nawet, gdybyśmy odnaleźli skarb.

– Jak to? Zostawimy go tu?

– Oczywiście. Przecież nie jesteśmy złodziejami, tylko poszukiwaczami. Prowadzimy poszukiwania nielegalnie, bo nie mamy innego wyjścia. Po co prowadzić całą tą walkę z biurokracją, jeśli tu nic nie ma? Ale jeśli znajdziemy skarb, zabezpieczymy go, opisujemy, sfotografujemy, oznakujemy. Spróbujemy oszacować jego wartość. Zdarza się, że skarby mają wartość głównie historyczną.

– I co wtedy zrobimy?

– Zobaczymy. Dopiero wtedy będzie sens rozpoczynać całą tę walkę z biurokracją. I wystąpić o zezwolenie na poszukiwania i wydobyć znaleziska. Będziemy też negocjować nasz udział.

– No jasne, że nie jesteśmy złodziejami, ani chciwymi, bezwzględными piratami! – Przytaknęłam ugodowo, dopiero teraz zrozumiałam skomplikowany charakter naszej wyprawy. – Pewno, że się podzielimy z władzami.

– Oby tylko oni zechcieli podzielić się z nami! – Uśmiechnął się Jack. – I oby tego starczyło na pokrycie kosztów wyprawy. W różnych krajach różnie traktuje się poszukiwaczy i znalezione przez nich „skarby”. Niektóre kraje uważają, że skarb jest ich wyłączną własnością, inne bardziej przychylnie patrzą na poszukiwaczy. Jeżeli dopisze nam szczęście, i tak musimy zachować całą sprawę w tajemnicy, do czasu załatwienia formalności.

– Tego, co zobaczymy i przeżyjemy nikt nam nie odbierze! Tak, czy owak, potraktujemy to jako niezapomnianą przygodę! – Podsumował Jarek.

Zaczęliśmy się omawiać z Jackiem plany na jutro.

– Jutro musimy pojechać najpierw do wypożyczalni samochodów. – Przypomniał Jarek – Wymienimy chevroletę na obiecaną terenówkę.

– OK., racja. Jutro czeka nas też jazda na drugi koniec wyspy, do grot i jaskiń. To będzie rekonesans, a dla was zaprawa.

– Fajnie! Nareszcie jakieś skałki! Za trzy dni kończy nam się wykupiony pobyt w hotelu. Musimy zabrać się wreszcie do roboty. – Podsumował Wojtek, tu spojrzał w moim kierunku i dokończył:

– Zamiast ciągle fruwać po parkietach!

– OK, a więc ustalone. Do jutra Kapitanie.

– OK. Pamiętajcie o moich przestrożach i trzymajcie się razem!

– To ty powinieneś uważać, Jack! – Przypomnieliśmy mu. – *Bye!* Do jutra!

– *Buenos tardes, señorita Inez!* – Juan przerobiwszy raz moje imię, trzymał się z upodobaniem jego „kreolskiej” wersji. – *Good evening, gentlemen!*

Pojawił się nagle, jak tylko wyszedł Kapitan. Czyżby czekał na ten moment? Zdaje się, że przyglądał nam się od pewnego czasu, nie chcąc przeszkadzać. Tak byliśmy pochłonięci rozmową i studiowaniem mapy, że nie zauważyliśmy go wcześniej. Natomiast detektywowi z pewnością nie umknęło nasze zainteresowanie mapą.

– Chciałbym nawiązać do wczorajszej rozmowy. Czy zastanawialiście się, co zrobić ze zgłoszeniem na policji? Chcecie je wycofać czy podtrzymać?

– Podtrzymać, zdecydowanie podtrzymać! – Wypalił Jarek. Z wrażenia przełączył się od razu na angielski, i znów miał powiedzieć o wiele za dużo, zanim zdążyliśmy temu przeszkodzić. – Niech szukają tych drani, którzy uprowadzili Wojtka! I jeszcze po tym, co dziś zrobili Izie!

–...*have done to Iza?* – Juan oczywiście nie rozumiał, o co chodziło Jarkowi, ale słysząc było zdziwienie w jego głosie. – *What have they done to Iza? And who?*

Spojrzał na mnie baranym wzrokiem. Stałam obok cała i zdrowa. Toteż jego zdziwienie było usprawiedliwione. A może udawane? A może zrobiłam się zbyt podejrzliwa po dzisiejszych przejściach? W każdym razie znów trzeba było naprawiać skutki gadulstwa Jarka. Powiedział, co powiedział w dobrej wierze. Ale nie zależało mi, żeby to się rozniosło. Dziś okazało się, że sami musimy dbać o swoje bezpieczeństwo, i to lepiej, niż dotąd.

– Nic takiego. Drobnny wypadek podczas nurkowania. Zerwał się przewód tlenowy mojej maski i zemdlałam. Jarek przesadza...

Juan spojrzał na mnie uważnie. Wiedziałałam, że on wiedział, że teraz nie mówię całej prawdy. Stanowczo, był zbyt inteligentny i spostrzegawczy. Nie wolno go lekceważyć. I na dodatek zobaczyłam w jego oczach niepokój. Prawdziwy niepokój. Czyżby się troszczył o moją osobę? A może jego niepokój miał inną przyczynę? Jeśli Juan miał coś wspólnego z tym nieudanym zamachem na moje życie, mógł się obawiać zdemaskowania. Nie, to niemożliwe. Odsunęłam na razie te podejrzenia. To prowadzi do nikąd. Muszę przestać, bo popadnę w paranoję!

– Nurkowaliście? Inez, opowiedz, co się stało!

Opowiedziałam, pomijając pewne wątki.

– Zmartwiłaś mnie! – Patrzył mi w oczy, przybliżył twarz na niebezpieczną odległość. Mówił po hiszpańsku. Z wrażenia, czy dlatego, by nie zrozumieli go Jarek i Wojtek? – Gdyby coś ci się stało... Co mam zrobić, żeby cię uchronić na przyszłość przed niebezpieczeństwem? Gdybyś zechciała mi zaufać, może mógłbym pomóc i zapewnić bezpieczeństwo...

„Gdybyś chciała mi zaufać” zabrzmiało jak: „Gdybyś wreszcie zechciała mi powiedzieć całą prawdę”.



Ale ja nie mogłam! Gdyby tu chodziło tylko o mnie! Nie mogłam narażać nas wszystkich. Nie mogłam bez zgody przyjaciół odkryć przed nim celu wyprawy. Nie mogliśmy dopuścić, by to się rozniosło. Kto wie, jaki użytek zrobiłby z tej informacji, nawet jeżeli jego intencje były szczerze.

Nie chcąc bezczelnie kłamać, musiałam zawsze coś pomijać, przemilczać, albo przekręcać. Miałam powoli tego dosyć. Chcąc wybrnąć z tej sytuacji, przeciąć tę niewygodną rozmowę, a zarazem udowodnić, że nie mamy nic do ukrycia, wykonałam „skok na głęboką wodę”.

Wypaliłam bez zastanowienia po angielsku:

– Tak? Jeśli tak bardzo chcesz zadbać o moje bezpieczeństwo, to proszę bardzo. Oddaję się pod twoją opiekę! Właśnie wybieramy się potańczyć, więc dotrzyмай nam towarzystwa!

Chłopaki z lekka zbaranieli. A ja, jak gdyby nigdy nic, chwyciłam go pod ramię, zadowolona z siebie. Upiekłam przed chwilą TRZY pieczenie na jednym ogniu!

Po pierwsze – odwróciłam uwagę detektywa od niewygodnych tematów, okazując, że mamy do niego zaufanie. I nie unikamy jego towarzystwa!

Po drugie – zapewniłam nam najlepszą ochronę, jaką mogliśmy mieć! W jego towarzystwie nikt nas tu nie tknie palcem!

Po trzecie – to już była „wisienka na torcie” tylko dla mnie – zapewniłam sobie na ten wieczór ulubioną rozrywkę, w towarzystwie mężczyzny, na którego towarzystwie zaczynało mi zależeć.

## ***Rozdział 6. Jak poruszać się po zakamarkach jaskiń i... uczuć***

Poczułam mocne ramię Juana. Obejmował mnie i przyciągał do siebie. A potem jego usta na moich. Długi namiętny pocałunek. Wziął mnie za rękę i pociągnął w ciemność. Znaleźliśmy się nagle na brzegu wysokiej skały. U stóp rozbijały się morskie fale.

– Oszukałaś mnie! – Powiedział z wyrzutem. – Nie przyjechaliście tu jako turyści. Ostrzegano was, żebyście zostawili w spokoju skarby tej wyspy. Duchy Rosity i padre Domingo chcą twojej śmierci. Idź do nich! – Powiedział i zepchnął mnie ze skały. Krzyknęłam i...obudziłam się zrana potem.

W pokoju było duszno. Jeszcze nie zaczęło świtać. Czułam jeszcze jego pocałunek i łzy pociekły mi bezwiednie z oczu. Ten sen uświadomił mi, jacy potrafią być mężczyźni. O północy jesteś dla nich całym światem, a rano potrafią ci wbić nóż w plecy. Albo porzucić. Albo oskubać z godności lub pieniędzy. No, dobrze, może nie tylko mężczyźni mają taką naturę. Kobiety też. Wielu przedstawicieli gatunku *homo sapiens*, bez względu na płeć. Tylko, że mnie w tej chwili obchodzili nie wszyscy, lecz jeden przedstawiciel naszego gatunku.

Byłam pełna rozterek. Wczorajszy wieczór nie rozwiał moich wątpliwości tak do końca. Czy Juan jest powiązany z naszymi prześladowcami? Czy całe jego zachowanie to fałsz? Przecież ja też nie byłam wobec niego stuprocentowo szczerą. No, tak, ale nie trzymałam z przestępcami. I daleka byłam od zrobienia mu krzywdy. Czy nie za dużo tych dwuznaczności, niepewności i znaczących snów? Naprawdę popadnę w paranoję lub inną manię prześladowczą. Przecież wiem nie od dziś, że ufać należy tylko sprawdzonym przyjaciołom.

Odetchnęłam z ulgą. Tego się trzymajmy! Zmęczona, ale uspokojona nieco, zasnęłam przed świtem. Obudziłam się w nie najlepszej formie psychicznej. Było wcześniej, a przed nami bogaty program na cały dzień.

– Młoda, coś masz nieszczególną minę! – Przy śniadaniu Wojtek próbował się dowiedzieć, co mi jest.– Rum ci zaszkodził? Czy nasz piękny Metys wystawił cię do wiatru?

– Odejdź! Jesteś wstrętny! Czego czepiasz się mnie, a nie, na przykład, Jarka?

– Ja się czepiam? Ja się z tobą witam!

– Ładne mi przywitanie! Ja byłabym po twojej stronie, gdyby cię ktoś źle potraktował.

A ty mi jeszcze dokuczysz!

– Metys źle cię potraktował? Nie daruję mu! Gdzie on jest? Dawać go tu!

– Nieee... To tylko taki przykład, że gdyby komuś z was stała się krzywda, albo coś... to ja za wami, jak w ogień...

– My też, Iza! Jak w ogień. „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”. – Zacytował Jarek. – On tylko tak głupio gada.

– Po prostu miałam zły sen. A tak w ogóle, to jest mi trochę niezręcznie oszukiwać ciągle naszego „opiekuna”... Przecież nie mogę mu powiedzieć, jaki jest nasz prawdziwy „program” pobytu... Z drugiej strony nie wiem, na ile można mu zaufać...

– Wyrzuty sumienia? No, no... Kto by pomyślał! Tak brylantowo mu wczoraj ściemniałaś!

– Dobrze ci mówić! Siedziałaś w kącie przy drinku i pierwszy odmeldowałaś się do pokoju. A ja musiałam cały czas uważać, żeby nie wypaplać niektórych rzeczy. Myślisz, że to takie łatwe i przyjemne?

– A może mu powiedzieć? Wydaje się całkiem w porządku. – Zastanawiał się Jarek.

– Może tak, może nie. Skąd mamy pewność nie jest w zмовie z tymi... – tu zabrakło mi właściwego słowa. – Nawet jeśli nie jest, nie wiadomo, co zrobi, jeśli się dowie, po co tu przyjechaliśmy. Może donieść na policję, albo po prostu niechcący wygadać dalej. W każdym razie, nic przyjemnego, cały czas coś ukrywać.

Jarek starał się okazać zrozumienie dla moich rozterek i podtrzymać mnie na duchu:

– Nie przejmuj się, Iza! Przecież w sumie to obcy człowiek. A my wyjeżdżamy za parę dni... – Nagle zreflektował się. – No chyba, że się w nim zabujałaś?

– Nieee... Owszem, jest przystojny, miły, inteligentny, i w tym jest właśnie problem. Jestem pewna, że zorientował się, że coś ukrywamy. Jest mi głupio, jeśli jego deklaracje pomocy są szczere. Nie wiem, czy okłamywanie go wyjdzie nam na dobre. Może by nam pomógł, gdybyśmy mu powiedzieli? Oczywiście nie w poszukiwaniach, ale dla naszego bezpieczeństwa? Już sama nie wiem....

– No, zobaczymy, teraz zbieramy się. Jack już czeka.

Dziś czekał nas emocjonujący wypad do jaskiń. Ale najpierw mieliśmy pojechać do wypożyczalni samochodów wymienić naszą „gablotę” na coś lepszego. Szczęśliwie zamówiona terenówka już na nas czekała. To było to, czego potrzebowaliśmy. Przede wszystkim napęd na cztery koła, silnik większej mocy, no i olbrzymi bagażnik, który od razu okazał się bardzo przydatny.

Teraz nie były nam straszne żadne bezdroża. Mogliśmy wyruszyć w głąb wyspy. Trzymaliśmy się kierunku na wschód, aż skończyła się normalna droga. Tu autokary nie docierały. Wjechaliśmy w zielony obszar Parku narodowego. Po drodze spotykaliśmy piechurów, uprawiających trekking, i bardzo niewielu zmotoryzowanych turystów. Nasz landcruiser sprawdzał się dobrze na tych bezdrożach. Wkrótce dotarliśmy do celu naszej podróży – jaskiń. Miejscowe jaskinie stanowiły olbrzymi system korytarzy i komór nie do końca zbadanych. Dla zwiedzających udostępniono zaledwie cząstkę. Ale nawet to dawało przedsmak trudów, które nas czekały w trakcie poszukiwań.

Zaczęliśmy rekonesans trzymając tradycyjnego szlaku dla turystów. Zaparkowaliśmy na przeznaczonym do tego placu parkingowym i dalej poszliśmy pieszo. W pierwszej z jaskiń do obejrzenia były naskalne malowidła sprzed 2000 lat. Były dziełem prekolumbijskich Indian Arawaków. Arawakowie byli pierwotnymi mieszkańcami Karaibów. Jednak nie od nich ta część świata wzięła swą nazwę, lecz od plemion Karibów, którzy najechali wyspy kilkaset lat później. W oczach Arawaków Karibowie byli barbarzyńcami, którzy jedli ciała wrogów. To właśnie oni dali początek mitom o wojowniczych tubylcach-kanibalach.

Wejście do następnej jaskini znajdowało się kilkaset metrów dalej. Wystarczyło podejść pieszo. Wejście obudowane było kratą, widocznie jaskinie zamykano. Najpierw trzeba było pokonać długi tunel, który prowadził w głąb i w dół. Słyszeliśmy przed nami głosy innych zwiedzających. Było ciemno, ale, o dziwo, na końcu tunelu widoczna była jasna plama. Co to była za jasność? Czyżby zainstalowano tu sztuczne oświetlenie? Ci Amerykanie!

Zanim dotarliśmy do źródła światła, zrobiło mi się nieswojo. W tunelu wyczuwałam jakby czyjaś obecność. Ktoś nas śledził? A może mi się tylko zdawało? Poczulałam ulgę, gdy dotarliśmy do końca tunelu. Weszliśmy w to rozproszone światło i stanęliśmy jak olśnieni! Widok był niespodziewany i niesamowity!

Staliśmy w olbrzymiej jaskini, przypominającej surowe wnętrze kościoła romańskiego. Albo katakumby. Wielkie i masywnie urzeźbione skalne ściany i filary. Niesamowite były dwa naturalne otwory w skale, ponad naszymi głowami. Spełniały rolę okien wpuszczających naturalne światło. To stąd pochodziła ta jasność. Na zewnątrz było przedpołudnie. Światło słońca wpadając, załamywało się na czerwonych skałach tworząc oślepiające plamy na skalnych ścianach i podłodze jaskini. Tam, gdzie nie docierało światło słoneczne, ciemne, tajemnicze nisze kontrastowały z jasną częścią groty. Co czai się w tych plamach mroku? Czy jest to wejście do podziemnego świata? Przeszedł mnie dreszcz. To w tę ciemność trzeba

będzie się zanurzyć, gdy zaczniemy poszukiwania. Oprócz nas było tam jeszcze kilku turystów, którzy też zamarli w bezruchu, podziwiając tę unikalną formację skalną.

– To te jaskinie, według ustnych przekazów, są miejscem, w którym piraci złożyli swe skarby. – Kapitan mówił po polsku, więc rozumieliśmy tylko my. – Oczywiście, to, co teraz widzicie, jest tylko częścią rozległego systemu korytarzy. Ich historia jest niejasna, a topografia nie do końca zbadana. Za chwilę wejdziemy jeszcze głębiej. Spróbujcie jak najwięcej zapamiętać. I trzymajcie się razem i uważnie stawiajcie stopy. Nie potrzeba nam kontuzji.

Turyści, którzy weszli tu przed nami, wracali. Porobili zdjęcia i uważali, że to w sam raz, by zasłużyć na miano zdobywców jaskiń. Dalsza część korytarzy przyciągała tylko najodważniejszych. Zostaliśmy sami. Kapitan jakby czekał na ten moment. Wyjął notatnik i zaczął coś szkicować. Zobaczyłam w świetle słońca podającym przez naturalne okno skalne, że spod ołówka wylaniał się szkic tunelu, plan komory głównej, w której się znajdowaliśmy, i sąsiadujących „nisz”. Opatrzył to kilkoma cyframi, literkami i strzałkami, dla mnie zupełnie nieczytelnymi.

Teraz mogliśmy przejść do następnej komory. Tunel był długi i ciemny. Trzeba było użyć latarek. Dzięki Kapitanowi nie zapomnieliśmy o nich. Posuwając się w ciemnościach słyszałam, jak Jack liczył kroki. Mruczał coś pod nosem, co brzmiało mniej więcej tak: „... dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa, nisza, nie, za płytka...”, „...sześćdziesiąt siedem... korytarz w prawo, w dół... *Oh, God!* Dziura, ale za wąsko, człowiek się nie przecisnie.....”. Czasami zatrzymywał się, po czym znów ruszał do przodu. Co on kombinował?

Kiedy doszliśmy do celu, czyli drugiej jaskini, wyjął znowu ten swój notatnik. Wcisnął Jarkowi latarkę do ręki z poleceniem: „Świeć mi na rękę”. I zaczął coś szkicować. Spróbowałam zajrzeć i zobaczyłam, że nanosi zapamiętane szczegóły drogi, którą przed chwilą pokonaliśmy.

Druga komora była bardzo podobna do pierwszej, tylko nieco mniejsza. Byliśmy sami. Kapitan mógł swobodnie oglądać wszystkie zakamarki. Świecąc latarką, zaglądał do mrocznych nisz, po czym nanosił kolejne szczegóły na swój plan. Szczególnie zainteresowały go dwa korytarze, prowadzące w ciemność. Nikt nie odważył się przeszkodzić mu, ani zapytać, o co w tym chodzi. Zanim zdążyłam się dobrze rozejrzeć, Jack dał hasło powrotu.

Wracaliśmy tą samą drogą, którą tu przyszliśmy. Szliśmy w ciszy i skupieniu. Wszyscy byliśmy pod wrażeniem pierwszego kontaktu z podziemnym światem. Każdy przeżywał to na

swój własny sposób. Gdy wreszcie wydostaliśmy się na zewnątrz, okazało się, że jest już popołudnie. Kilka godzin od wejścia minęło niezauważalnie. Pierwszy nie wytrzymał Wojtek:

– Uff... to było niezłe, przyznaję. Ciężko utrzymać orientację w terenie tam, pod ziemią. W skałkach jest może mniej bezpiecznie, ale łatwiej.

– No, moi poszukiwacze, to był tylko wstęp do właściwych poszukiwań. A teraz musicie nauczyć się przystosowywać szybko do trudnych warunków. Czy ktoś ma klaustrofobię? Nie? To dobrze, bo zostałby wykluczony z podziemnych poszukiwań. Przede wszystkim trzeba przyzwycząić się do braku światła, do ciasnoty i co najważniejsze – zdradliwych pułapek pod nogami. A także do biwaków wśród twardych skał, spania na twardym podłożu, do prostego jedzenia. W jaskiniach rzadko jest możliwość ugotowania posiłku, czy wody.

– Dla mnie to normalka. – Powiedział Wojtek. – Iza jako turystka górską też przyzwyczajona. Jedynie Jaro musi się przestawić z miejskiego życia na terenowe niewygody. Oczywiście, jeśli chce wejść z nami...

– *No problem.* – Mruknął Jarek. – Mogę spać byle gdzie i jeść byle co. Byle tylko było co jeść i pić. Jack, co ty tam notowałeś pod ziemią?

– Mamy pierwszy szkic topografii terenu. Szukałem punktu zaczepienia naszych poszukiwań...

– No i jak? Znalazłeś?

– Może. Na razie trudno powiedzieć.

– Nie bądź taki tajemniczy. Mów, co i jak?

– Spróbujemy wyruszyć z tych jaskiń i zbadać dwa korytarze. Jeśli mam rację, to jeden z nich zaprowadzi nas głębiej. Dokąd, zobaczymy... Na razie ruszamy z powrotem! – Ponaglił nas Kapitan. – W drodze powrotnej zaplanowałem jeszcze jedno miejsce warte zwiedzenia. Naprawdę wyjątkowe...

Wróciliśmy kawałek, a potem wpakowaliśmy się w jeszcze gorsze bezdroża wśród skał. Musieliśmy się zatrzymać, dalej nie dało się jechać nawet naszą terenówką. Ostatni kawałek wśród skalistych wertepów pokonaliśmy na piechotę. Było upalne popołudnie.

Warto było! Po kilkuset metrach uciążliwej drogi wśród skał, ścieżka wyprowadziła nas na morski brzeg. A dokładniej – na skalisty klif otaczający naturalny basen wypełniony wodą morską. Widok był niezwykle dziki. W dole widać było kilka kąpiących się osób, których nie zniechęciły te wertepy i bezdroża. My też zesliśmy w dół i pstryknęliśmy parę fotek.

Wracaliśmy drogą wzdłuż północnego wybrzeża. Minęliśmy most wypłukany przez morskie fale w koralowej, czerwonej skale. Nikt wtedy nie przypuszczał, że unikalny na skalę światową wytwór natury za parę lat miał zostać tylko wspomnieniem! Jego delikatna, koralowa konstrukcja miała zawalić się, a my teraz spacerowaliśmy po nim, tak, jakby tu miał być zawsze.

Dobrze już zgłodnieliśmy, więc na myśl o zbliżającej się porze kolacji z radością pognaliśmy do hotelu. Co z naszym spotkaniem w sprawie wynajęcia jachtu? Pochłonięci zwiedzaniem, zupełnie o nim zapomnieliśmy! Ale Jack nie zapomniał. Zostawił nas w hotelu i sam, niezmordowany, pojechał do portu. A my pognaliśmy do naszego apartamentu, żeby odświeżyć się przed kolacją. I tu czekała nas przykra niespodzianka.

Pierwszy Jarek zauważył, że ktoś grzebał w jego rzeczach. Każdy ma swój sposób układania rzeczy i swój sposób robienia bałaganu. Normalnie nie zwracamy na to uwagi. Ale niech tylko ktoś spróbuje zrobić nam „porządek”! Jarek był wyjątkowym pedantem jak na faceta. Pedanteria Wojtka polegała na czym innym, niż Jarka. Wojtek miał swoje turystyczne nawyki pakowania i układania rzeczy. Zawsze bezbłędnie wiedział, gdzie coś upchał.

– Położyłem szorty pod koszulkami, a nie odwrotnie. Czyli ktoś tu robił własne porządki. – Wykrzyknął Jarek. – Teraz wszystko jest wygniecione.

– Ciekawe, po co ktoś przeglądał mój sprzęt do wspinaczki? Czego tam mógł szukać? Cholera, spletał mi linę! – Nic dziwnego, że Wojtek był wkurzony. Lina dla wspinacza, to jak spadochron dla skoczka i musi być odpowiednio zwinięta. Teraz i ja zaczęłam patrzeć innym okiem na mój pokój. I już byłam pewna, że ktoś grzebał w moich rzeczach. Przeszukał łóżko, półki w szafie, szuflady w komodzie. Na pierwszy rzut oka nic nie zginęło. Ale wszystko było ułożone inaczej.

– Wiesz co, Jarek, może ci się wydaje? Może to tylko pokojowa? – Zagadnęłam. – Czy coś wam zginęło?

– Nno, nie, ale...

– Mnie też, na pierwszy rzut oka, nic.

– Pokojowa? Wczoraj i przedwczoraj też była pokojowa, a nic nie było ruszane! – Jarek nie dawał za wygraną.

Miał rację! Pokojowa sprzątała tu codziennie i...nic! Na szczęście, nie trzymaliśmy w pokoju niczego ważnego dla wyprawy. Sprawdziliśmy sejf, ale był nietknięty. Natomiast sama świadomość, że ktoś swymi paluchami grzebał ci w bieliźnie, w twoich papierach,

notatkach, kosmetykach, była denerwująca. A może coś podrzucił? Po ostatnich przejściach wcale bym się nie dziwiła! U siebie nie znalazłam nic obcego, ani niebezpiecznego, ale kto wie! I jak się dostał do apartamentu? Musiał mieć klucz, bo zamek w drzwiach był nietknięty.

Świadomość, że w każdej chwili ktoś ma dostęp do twoich rzeczy nie jest przyjemna. Już nigdzie nie mogliśmy się czuć bezpiecznie. To nas przekonało ostatecznie, że najwyższy czas zamienić hotel na jacht. Zeszliśmy do recepcji i powiadomiliśmy ich o naszym odkryciu. Oczywiście, zlekceważyli całą sprawę! Czy coś nam zginęło? Nie? No, to nie ma żadnego problemu. Klucz? Nie, nikt nie ma dostępu do kluczy, gdy goście są poza hotelem. Akurat! Chyba wzięli nas za jakieś dziwadła z Europy. Poradzili, by cenne rzeczy trzymać w sejfie. Jakbyśmy sami tego nie wiedzieli!

W restauracji hotelowej było już pełno. Dołączyliśmy do znajomych surferów. Ich grono powiększyło się o kilka następnych osób. No, tak, przecież jutro otwarcie zawodów! Obiecaliśmy, że przyjdziemy. Za późno było odmówić, zresztą byliśmy ciekawi. Przynajmniej ja. No to jutrzejszy dzień zapowiada się ciekawie. Naiwna, nie wiedziałam, że przewrotny los przygotował na jutro dużo więcej niespodzianek! Niekoniecznie miłych.

Wdałam się w pogawędkę z postawnym brunetem, który przedstawił się jako Dan. Dopiero dziś dołączył do towarzystwa surferów. Właściwie to on mnie zaczepił. Był, owszem, przystojny, ale trochę mało rozgarnięty. Rozmowa z nim zaczynała mnie nudzić. Ponadto nie wiedział, biedny, że ktoś inny już mi wpadł w oko. Nie wiedział też, że zazwyczaj wiem, czego chcę i nie zmieniam co chwila obiektu zainteresowań. I żadne sny (oby nie prorocze!) nie były w stanie tego zmienić. Dzięki Bogu, obiekt moich zainteresowań zmaterializował się, jak na zawołanie i wybawił mnie od nudnego towarzystwa.

– *Hola, Inez.* Wystarczy zostawić cię samą, a adoratorzy od razu wyrastają spod ziemi!

– *Hola, Juan.* Może twoja obecność ich odstraszy? Dobrze, że jesteś. Ktoś przeszukał nasze pokoje. I grzebał w naszych rzeczach. Zgłosiliśmy to w recepcji. Wiesz coś o tym?

– Czy coś wam zginęło?

– Nie. Zostawił porządek.

– Więc skąd to przekonanie, że ktoś tam grzebał?

– Zostawił zbyt duży „porządek”. Inny porządek! – Juan popatrzył dziwnie, jakby wątpił w stan mojego umysłu; a ja dodałam: – Nie zauważyłbyś, gdyby ktoś poprzekładał twoje rzeczy?

– ...???



– Myślisz, że wszyscy mamy jednocześnie urojenia? Jeśli tak, to nie większe, niż ty na tle moich adoratorów! – Odgryzłam się.

– Przepraszam, ale to trochę dziwne, co mówisz. Po co ktoś miałby przeszukiwać wasze pokoje, jeśli nic nie zabrał? Może to pokojowa? A to z kolei prawie niemożliwe. Pokojowa może za to wylecieć z pracy. Ale dobrze, zajmę się tym. Jak widzisz, nawet teraz, gdy tu jestem prywatnie, nie mogę całkowicie odciąć się od spraw moich gości.

– To ty tu jesteś teraz prywatnie??? – Moje zdziwienie było kompletne. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że może tu być inaczej niż służbowo.

– Wziąłem wolny wieczór. Z twojej reakcji widzę, że nie mam już prawa do prywatności?

– Nie, tylko ja ci tu zawracam głowę służbowymi sprawami. Przepraszam, że ci zepsułam prywatny wieczór. Już mnie nie ma! Baw się dobrze, *bye!*

– Stój, gdzie idziesz? Wziąłem wolne, żeby spędzić wieczór z tobą! Zresztą nie rób sobie wyrzutów. Czy prywatnie, czy służbowo, nie mógłbym obojętnie stać, gdyby komuś działa się krzywda. Szczególnie, gdyby chodziło o ciebie. Mam nadzieję, że to rozumiesz?

– Staram się, ale nie nadażam. Zaskoczyły mnie twoje słowa. Nigdy nie zastanawiałam się nad tym, kiedy rozmawiasz ze mną prywatnie, a kiedy służbowo. Jak udało ci się pozbyć się tłumu służbowych wielbicielek na ten prywatny wieczór? – Odgryzłam się powtórnie za tych „adoratorów”, i za te tłumy kobiet, otaczających go momentalnie, gdziekolwiek się znalazł. – A komplementy prawisz zazwyczaj prywatnie, czy służbowo?

Wiem, to było trochę nie *fair*. To ten mój niewyparzony język! Trudno, jak się obrazi, jego strata. Ale on zignorował zaczepkę. O co mu chodziło z tym wolnym wieczorem?

– Chciałbym zaprosić cię w jedno miłe miejsce. Czy masz wolny wieczór? Czy już ktoś inny mnie ubiegł i zaplanowaliście coś?

Zanim zdążyłam pozbierać myśli i odpowiedzieć, wyjaśnił szybko, jakby się bał, że potraktuję to jako zaproszenie dla nas wszystkich.

– To zaproszenie dotyczy tylko ciebie. Chciałbym, żebyśmy poszli tam tylko we dwoje. To niedaleko. Nic ci nie grozi w moim towarzystwie.

Patrzył mi w oczy. Ton jego głosu, mówił, że odrzucenie zaproszenia, będzie oznaczało, że wszystko, co było między nami, nic dla mnie nie znaczyło. Naprawdę nie domyślał się, że odrzuciłabym każde inne zaproszenie dla jego towarzystwa? Jeśli się nie domyślał, tym lepiej.

Jasne, że miałam dla niego wolny wieczór! Ten i następne mogłam mieć również. Szczególnie, że tych następnych zostało już tak niewiele!

Zwolniłam się u przyjaciół ze wspólnej kolacji. Wyjaśniłam, o co chodzi. Nie zataiłabym tego, szczególnie po ostrzeżeniach Kapitana, abyśmy trzymali się razem. Myślałam, że będą protestować. Ale nie. Zgodzili się bez niczego. Nawet Wojtek nie docinał w swoim stylu. Dlaczego zgodzili się, mimo wszystkich wątpliwości, które ciągle mieliśmy, co do jego osoby? Widocznie uznali, że tak otwarte zaproszenie nie kryje żadnych pułapek. Juan obiecał, że „dostarczy” mnie bezpiecznie pod drzwi naszego apartamentu.

Poszliśmy w dwójkę do małej, cichej restauracji. Tu nie trafiali turyści. Tu przychodzili głównie miejscowi. Goście zachowywali się ciszej niż Amerykanie, ale swobodniej. Znali się i pozdrawiali od progu. Mimo, że w knajpce panowała miła atmosfera, ja byłam nieco spięta, co zdarzało mi się niezwykle rzadko.

Owszem, zależało mi, by nasza znajomość rozwijała się dalej. Mimo przeszkód, których było wiele. Mimo moich wątpliwości, czy nie jest wzmowie z naszymi prześladowcami. Może chciałam wreszcie rozwiązać te wątpliwości? Może, głupia, łudziłam się tylko, że jest szczerzy i chciałam utwierdzić się w moich złudzeniach? Wszystko jedno, takie spotkanie było nam obojgu potrzebne. A niepewność, co do jego powiązań z porywaczami, wcale mnie nie zniechęcała. Podkreślała tylko moją ciekawość i dodawała pikanterii naszej randce. Poza tym ciekawa byłam, jakim był człowiekiem i jak traktuje mnie w kategoriach damsko-męskich. Chciałam, by traktował mnie poważnie. Poważnie, to wcale nie znaczy, że chodziło mi o *happy-end* przy ołtarzu. Takie myślenie o facecie, którego znasz od kilku dni, to Himalaje absurdu. Kobiety, które wpadają w taką pułapkę, powinny zastanowić się nad sobą poważnie. W ogóle nie byłam typem kobiety, dla której celem życia jest ślub, wspólne gniazdko, gary, dzieci itp. Na razie wcale nie myślałam o stałym związku. Uważałam, że na jeszcze za wcześnie. Pociągał mnie świat, podróże i napotykanie ludzi. Czyżbym naprawdę miała naturę awanturnicy?

– Inez, polubiłem cię bardzo, o wiele za bardzo. – Powiedział Juan, gdy już rozsiedliśmy się przy stoliku.. – Chciałbym jeszcze bardziej, ale to zależy również od ciebie. Od tego, jak ty traktujesz naszą znajomość. Czy przelotnie, czy inaczej. Chciałbym, żebyś wiedziała, że taka sytuacja jest dla mnie wyjątkowa...

– Co masz na myśli?

– Dla zasady unikam bliższych przyjaźni z gośćmi hotelu, w którym pracuję. To swego rodzaju etyka zawodowa. Dlatego ta sytuacja jest dla mnie wyjątkowa i trudna.

– Nie wiem, czy mam w to wierzyć, czy nie... Ale dobrze, wezmę pod uwagę, to, co powiedziałeś.

– Spotkaliśmy się tu przypadkiem, jak wielu ludzi... Gdyby nie zaginął wasz przyjaciel, nie zbliżylibyśmy się tak do siebie. (Czyżby? Szkoda by było. Wojtek, nie wiesz jak wiele ci zawdzięczam!) Mieszkamy w odległych o tysiące kilometrów miejscach na ziemi... Nie znam cię, nie wiem jak traktujesz takie znajomości...

– Jak traktuję takie znajomości w podróży? Nie wiem... nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Ludzi traktuję, tak jak na to zasługują. Ostrożnie, z rezerwą, ale daję im kredyt zaufania. Jedne znajomości traktuję powierzchownie, inne głębiej... i to bez względu na płeć... Jestem osobą bezpośrednią i cenię szczerość.

– Bardzo się cieszę, że to powiedziałaś. Czy to znaczy, że jesteś szczerą wobec mnie?

A to się wpakowałam!

– W moich prywatnych sprawach – tak. Ale jestem raczej skryta i nie lubię mówić o sobie. W sprawach uczuć też jestem zawsze i bezwzględnie szczerą. Jeśli mi się ktoś nie podoba, daję mu szybko szansę zorientować się w sytuacji.

– *Oh, dear!* Jesteś okropna! To znaczy, że jestem szczęściarzem? Mam u ciebie szansę! Jak dotąd nie dałaś mi do zrozumienia, że ci się nie podobam! – Zażartował i zaraz spoważniał. – Natomiast nie wiem, jak jest z tą twoją szczerością. Bardzo mnie zmartwiło to, co cię spotkało podczas nurkowania. A potem przeszukano wasze pokoje. Cały czas mam wrażenie, że nie powiedziałaś mi wszystkiego i coś ukrywasz.

– Nie oczekujesz chyba, że będę opowiadać o rzeczach dotyczących nie tylko mnie, ale moich przyjaciół? – Spytałam kategorycznie. – Jestem lojalna wobec swoich przyjaciół!

– Intrygująca jest ta twoja lojalność. Pamiętaj tylko, że mówię to wszystko w trosce o ciebie, nie z zawodowej ciekawości. – Przerwał i zamyślił się na chwilę. – Od naszego pierwszego spotkania czułem, że jesteś niezwykłą kobietą! Kobieta lojalna i skryta, która na dodatek wie, czego chce! Myślałem, że nie ma takich kobiet. Wyobraź sobie, że taka kobieta spotyka mężczyznę, który też wie, czego chce! Niesamowity duet!

Do czego on zmierza? Czy on mnie tu przyprowadził, żeby mnie wypytywać, czy podrywać? Moja wrodzona przekora wzięła górę i podjęłam wątek:

– Tak, tak, aż strach bierze, co z tego może wyjść! Może odkryjesz rąbka swojej tajemnicy, i powiesz, czego ten mężczyzna chce? Czy jest równie szczery, jak tego oczekujesz? Dlaczego zainteresowałaś się moją osobą?

– Nie, nie powiem ci, bo mogłoby to zostać źle zrozumiane. Ale jeśli jesteś taka, jak myślę, to nie pogniewałabyś się o to. Tylko głupia kobieta może się gniewać na faceta, o to, że mu się podoba...w każdy sposób...(Ale wymyślił! Co to jest „podość się w każdy sposób”?)

– Przestań! Mów jasno, i na temat! Nic z tego nie rozumiem!

– Właśnie mówię na temat...

– Masz bardzo ograniczone podejście do tematu...

Uśmiechnął się i wziął mnie za rękę:

– Chcę ci powiedzieć, że zrobiłaś na mnie niesamowite wrażenie. To, że robisz wrażenie na facetach, to pewno wiesz?

– Przestań, jestem normalna kobietą, ani najpiękniejszą, ani najmądrzejszą...

– ...ale nie każdy jest w stanie docenić tę kombinację wdzięku, kobiecości, i inteligencji.

– Już wystarczy! Tylko mi nie mów, że to inteligencję cenisz najwyżej u kobiety! Bo ci nie uwierzę! – Zaatakowałam. – To ty jesteś wyjątkowo niebezpieczną kombinacją męskości i inteligencji. Lubię komplementy, ale nie tracę głowy, gdy ich słucham. Zostaw sobie te męskie sposoby dla innych kobiet. Na mnie one nie działają. Poza tym, owszem, lubię cię i szkoda by mi było, gdybyś okazał się przeciętnym podrywaczem.

Roześmiał się głośno. A mnie już od dawna nie gadało się tak dobrze z żadnym facetem. Mimo bariery językowej, i kulturowej.

– Nie śmieć się, tylko powiedz, jak traktujesz kobietę, kiedy się dowiadujesz, że sympatia jest wzajemna? Nie mam zbyt dobrego zdania o mężczyznach w tej kwestii...

– Wzajemna sympatia? Hm. Tym lepiej....

– Nie każdy facet dobrze znosi taką przewagę! Zazwyczaj uderza im wtedy woda sodowa i myślą, że mogą kobietę owinać dookoła palca...

– A kobiety też często używają swoich sztuczek, żeby ich sobie owinać... udają kogoś innego, niż są naprawdę, mówią to, co mężczyźni chcieliby usłyszeć...

– No, widzisz! A ja, głupia, nie. Nie uważasz, że szkoda czasu na takie podchody wobec faceta, który nie jest tego wart?

– Ciekawy punkt widzenia. Tylko co z tego wszystkiego wynika dla nas?

– Nic specjalnego. Chciałam ci tylko powiedzieć, że na razie bardzo się cieszę, że cię poznałam. Ale, jeśli ci się wydaje, że to, że też mi się podobasz... – zaplątałam się trochę.

– Dobrze już, dobrze! Nic mi się nie wydaje! Ja też bardzo się cieszę. Z tego, że cię spotkałem. I że mnie polubiłaś. I że jesteś właśnie taka. Dlaczego mówisz „na razie”?

– Bo nie wiem, co wyjdzie z naszej znajomości. Przecież my niedługo wyjeżdżamy i będziemy musieli się rozstać. Może na zawsze? Gdy się rozstaniemy, może będę płakać, kto wie? Teraz nie chcę o tym myśleć. Chcę się cieszyć twoim towarzystwem.

– Jesteś bardzo oryginalna, wiesz! I bezpośrednia. *Well*, nic na to nie poradzimy, że urodziliśmy się i mieszkamy o tysiące kilometrów od siebie. Ale pamiętaj o jednym, Inez! – Tu ścisnął mocno moją dłoń. – Jeżeli dwoje ludzi chce bardzo tego samego, to nic nie jest w stanie im przeszkodzić. Spróbujmy poznać się lepiej, żeby sprawdzić, czy chodzi nam o to samo w życiu. Niczego nie przesądzam z góry. Po prostu spróbujmy! I cieszymy się każdą chwilą, którą możemy spędzać razem ....

– Tak, póki jesteśmy razem...

Nasz romans rozkwitał w najlepsze. Gdybym wtedy przeczuwała, jakie pułapki szykuje mi przewrotny los! Czasami lepiej nie wiedzieć!

## ***Rozdział 7. W którym ksiądz i Rosita rozplywają się w nicości***

Dzisiejszy dzień zapowiadał się pod znakiem windsurfingu. Jak na szósty dzień pobytu wrażeń mieliśmy dosyć: porwanie Wojtka, próba utopienia (a może raczej uduszenia?) mnie podczas nurkowania, „rewizja” w naszym apartamencie. Prawda, że trochę dużo jak na przeciętnych, szukających wypoczynku turystów? Tylko, że my odstawaliśmy nieco od wizerunku przeciętnego turysty. Nie mieliśmy nic przeciwko leniuchowaniu i zwiedzaniu. Jednak dla naszych awanturnicznych usposobień to było za mało. Oczywiście, że nie chodziło nam o szukanie kłopotów. Szukaliśmy przygody, niecodziennych wrażeń, no i może nieco adrenaliny. Dlatego znaleźliśmy sobie konkretny cel tej wyprawy – skarb piratów. Braliśmy pod uwagę, że nie będzie łatwo i czekają nas kłopoty. Jednak rzeczywistość przerastała nasze wyobrażenia. Wszystko wskazywało na to, że weszliśmy komuś w drogę i mamy z tego powodu ciągle nowe problemy. Ten ktoś kręcił się blisko nas, deptał nam po piętach i dawał do zrozumienia, że nie odpuści. My też nie zamierzaliśmy ustąpić, więc zapowiadały się niezłe komplikacje. Jeśli tak dalej pójdzie, wpadniemy w oko policji i miejscowym władzom. Trzeba jak najszybciej zejść wszystkim z oczu i wycofać się na „z góry upatrzone pozycje”. Czyli przenieść się na jacht i stamtąd prowadzić dalsze poszukiwania.

Takie przemyślenia snułam po przebudzeniu. Dookoła było cicho, hotel jeszcze pogrążony był we śnie, moi przyjaciele również. Podświadomie nasłuchiwałam, czy ktoś nie próbuje otworzyć drzwi i wejść do naszego apartamentu. Taki intruz trochę by się zdziwił. Bowiem w nocy, po powrocie, sprytnie zablokowałam drzwi fotelem, na który postawiłam duży wazon (w razie włamania spadnie i narobi hałasu!). Nikt nie próbował się włamać, a ja przewracałam się z boku na bok, próbując rozwikłać całą sytuację. Tym razem nic mi się ni przyśniło. Po wczorajszym cudownym wieczorze z Juanem, spałam wyjątkowo słodko. Po prostu wcielanie się w rolę detektywa-amatora w godzinach porannych weszło mi tutaj w krew. Tyle niejasności pozostało do rozwikłania!

Jaki naprawdę cel chciał osiągnąć nasz tajemniczy prześladowca? Przestraszyć nas i odwieść od poszukiwań? Jeśli tak, musiał wiedzieć, w jakim celu tu przyjechaliśmy. Skąd wiedział? Zauważył nas, gdy w mieście oglądaliśmy i kupowaliśmy różne nietypowe rzeczy? Ale przecież porwanie Wojtka miało miejsce wcześniej, właściwie zaraz po przylocie. Więc dowiedział się wcześniej.

Gdzie? W Londynie? W samolocie? Owszem, niewykluczone. Rozmawialiśmy na te tematy w trakcie podróży. Czyżby ktoś przypadkowo podsłuchał nasze rozmowy w podróży? Ktoś, kto też leciał na tę samą wyspę. Możliwe, ale mało prawdopodobne.

Może jeszcze w kraju? Nie, to raczej niemożliwe. Ale jeśli ten trop byłby prawdziwy, musiałby to być ktoś z kręgu naszych znajomych. Moich? Nie, to wykluczone, dowiedziałam się o wyprawie w ostatniej chwili. Poza tym nikomu nie wyjawiałam celu podróży.

Może ktoś ze znajomych Wojtka? Wojtek miał mnóstwo znajomych. Albo może był to ktoś z kręgu znajomych Jarka. Jego otoczenia nie znałam zupełnie. Wokół niego z pewnością kręciło się wielu różnych ludzi, których nęcił zapach pieniędzy. Jarek był głównym inicjatorem wyprawy i wiedział o niej pierwszy z nas. Jarek był gadułą i pewno wygadał prawdziwy cel podróży. Co prawda nie umiałam sobie powiązać racjonalnie, jaki związek mógłby istnieć pomiędzy kimś w kraju, komu wygadał się Jarek, a naszymi prześladowcami tu na wyspie. To mi wygląda na fałszywy trop. W każdym razie pogadam z chłopakami.

A może to nasz kapitan był nieświadomym źródłem „przecieku” informacji? Kapitan, jako zawodowy poszukiwacz z pewnością nie rozpowiadał na lewo i prawo o skarbach. Natomiast już sama jego obecność mogła być dla niektórych sygnałem. Kapitan wspominał, że był już na tej wyspie. Może ktoś go rozpoznał? Przecież wspominał nawet, że wpadł tu na jakiegoś podejrzanego typu... jak on się nazwał? Dirty Harry, czy jakoś tak. Aha, już wiem – Rasta Harry, od rastafarian. Nie! Znowu chybione. Przecież z Kapitanem spotkaliśmy się w dwa dni po tym, jak porwano Wojtka. Znow fałszywy trop, to nie on był źródłem „przecieku”

A ta wczorajsza „rewizja” w naszych pokojach? Czy to ci sami, którzy nas przedtem prześladowali? Czy jakiś hotelowy złodziejasek? Nic nie zabrał, bo nie trzymaliśmy w pokojach nic cennego. Nagle doznałam olśnienia. Jasne, ten ktoś szukał mapy! Tej, którą poprzedniego dnia pokazywał nam Kapitan. Wniosek – byliśmy pod stałą obserwacją. Intuicyjnie wyczuwałam związek wszystkimi tymi faktami. Mimo to ciągle nie potrafiłam ich poukładać w logiczną całość. Marny ze mnie Sherlock Holmes, coś musiało umknąć mojej uwadze. Zmęczona tymi bezowocnymi dociekaniem wróciłam do przyjemniejszych wspomnień – wczorajszego wieczoru spędzonego z Juanem Carlosem.

Na tle tych burzliwych wydarzeń, nasza znajomość (romans?) nie był niczym szczególnym. Wszystkie wątpliwości do jego osoby rozwiały się, znikły bezpowrotnie po wczorajszym wieczorze. W pamięci została mi rozmowa i gorące pocałunki, gdy odprowadzał mnie do drzwi apartamentu. Dla większości turystów taki wakacyjny romans, to wymarzona

przygoda. Czasem jedyna, na jaką mogli liczyć. Dla mnie było to coś nieoczekiwanego, coś, co nie miało się wydarzyć. W plany naszej wyprawy nie były wpisane żadne romanse. W moje plany również. A zwłaszcza przelotne romanse. Dlaczego w życiu bywa tak, że różne rzeczy, miłe i niemiłe dzieją się nie wtedy, kiedy ich oczekujemy? Czy wszystkich to spotyka? A może to cały urok życia? Trudno, postanowiłam przyjąć ten dar losu z całym dobrodziejstwem inwentarza.

Niestety, z przyczyn ode mnie niezależnych ta obiecująca znajomość miała się wkrótce skończyć. Zasmucało mnie to bardziej, niż okazywałam. Mimo krótkiego czasu, jaki był nam dany, niczego nie chcieliśmy przyspieszać, nie narzucać sobie. Oboje nie mieliśmy wyjścia, więc zdaliśmy się wyłącznie na los. No, może nie wyłącznie, pamiętając, co powiedział Juan. Jeśli dwoje ludzi czegoś bardzo chce i do tego dąży... Cokolwiek z tego wyniknie, Juan Carlos będzie należał do najpiękniejszych moich wspomnień.

Z porannych marzeń wyrwało mnie walenie do drzwi mojej sypialni i głos Wojtka:

– Młoda, żyjesz? Śpisz czy wstajesz?

– Nie ma mnie. Zostałam porwana!

Na to Wojtek zajrzał do mojego pokoju, chcąc jakby się upewnić, że to ja mówię.

– Ale śmieszne! Sama jesteś? (głupie pytanie) Jak jesteś, to wstawaj i chodź na śniadanie. Młoda, co ty wczoraj tak się tłukłaś po nocy? Rozumiem, że zastawiłaś drzwi wejściowe fotelem. Ale, po co położyłaś na nim ten wazon z salonu??? Rusz się wreszcie, bo cię ominą twoje ukochane zawody!

Chwileczkę, jakie „moje zawody”? Kurcze! Czyżby było tak późno? Chyba trochę przysnęłam, znużona porannymi przemyśleniami. Zerwałam się na równe nogi i zaczęłam nadganiać spóźnienie. Głupio byłoby się spóźnić. Wybieraliśmy się na otwarcie dorocznych zawodów w windsurfingu, na które zjeżdżali się miłośnicy tego sportu z całego świata. Mieliśmy być widzami, bohaterami wydarzeń mieli być nasi znajomi. Tajników tego sportu nie znałam, mało tego, nigdy nie widziałam tego na własne oczy.

Zawody surfingowe zamykały sezon turystyczny przed nadchodzącą porą deszczową. Już niedługo turyści wyjadą, wyspa opustoszeje i nadejdzie pora huraganów. Tu nikt nie pamiętał, lub nie chciał pamiętać, że Morze Karaibskie to teren działania najgwałtowniejszych trąb powietrznych. Huragany powstają u wybrzeży Afryki, potężnieją drodze przez Atlantyk i docierają na Antyle, lub jeszcze dalej do wybrzeży Zatoki Meksykańskiej. W tej części świata ludzie doświadczali takich kataklizmów pogodowych, o



jakich nam w Europie nawet się nie śniło. Co roku cały świat słucha doniesień o wyjątkowo niszczycielskich huraganach i tornadach. Co kilka, kilkanaście lat zdarzają się trzęsienia ziemi i wybuchy wulkanów, zmiatające z powierzchni morza całe miasta, a nawet wyspy. Jednak co innego słyszeć i oglądać w wiadomościach, a co innego stanąć wobec takiego zagrożenia. Co za szczęście, że ta wyspa należała do nielicznych tu miejsc, które huragany zawsze omijały.

Snując takie przemyślenia, wędrowałam sobie w kierunku plaży, gdzie odbywały się zawody. Właśnie ze względu na zbyt ostre wiatry od strony otwartego morza, windsurfing uprawiano głównie od południowo-zachodniej strony wyspy. Po kwadransie dołączyliśmy do naszych przyjaciół-surferów. Powoli gromadzili widzowie. Na zatoce rozkwitały już pierwsze kolorowe plamki żagli. Zawodnicy jednak stali przy brzegu, przygotowując sprzęt w oczekiwaniu na otwarcie. Minęliśmy barwnie odziane grupy tubylców. Słysząc było śpiewy i dźwięk bębnów. To miejscowe zespoły umiały czas śpiewem i tańcem. Za chwilę zatoka zaroi się wszystkimi kolorami.

– *Aloha!* Kiedy starujecie?

– Chodźcie tu, będzie dobrze widać. – Michel z Joaną byli bardzo przejęci. – My już musimy iść. Zaraz po otwarciu i występach tanecznych startujemy. Zapowiada się bardzo dobra pogoda. Oby tylko nie zmienił się wiatr!

– Wróćcie tu po zakończonych rozgrywkach?

– Może, ale gdybyśmy gdzieś utknęli, spotkajmy się wieczorem w barze. Oblewamy zwycięstwo! O dziewiątej, na przykład. Będziecie?

– Hoho, jaki pewny sukcesu! – Powiedziała Joana. – Do zobaczenia!

– OK., będziemy. Wiatru w żagle!

– Młoda, ty mów za siebie. – Odezwał się Wojtek, gdy poszli. — Skąd wiesz, że my z Jarkiem też zechcemy pójść?

– A nie zechcecie? Wojtusi, ty mów za siebie, a Jarek za siebie. OK? Skąd wiesz, że Jarek nie będzie chciał pójść? – Mówiłam to pamiętając o Patti; Jarek nie odpuszczał żadnej okazji, żeby znaleźć się w jej pobliżu.

– A ty co, Wojtek, spać pójdziesz, czy co? – Dopytywał się Jarek. – Wyśpisz się w grobie.

– A może ja mam swoje plany? Randkę na przykład! – Widząc nasze niedowierzające miny, podkręcił się. – A co? Nie mogę mieć?

– Wojtek, wyluzuj. Możesz, ale jak cię znam, to najlepsze randki miewasz z rakieta tenisową, albo z liną wspinaczkową. No, już! Co ty myślisz, że ja cię na inna randkę puszcze? A potem będę przed twoją żoną miną nadrabiać? Nic nie będę ściemniać, wszystko powiem!

– Jasne, tobie to wolno romansować! – Dociał mi Wojtek.

– Jasne, że tak. Ale z jednym i tym samym facetem! I przede wszystkim nie mam żony – zreflektowałam się i dodałam – to znaczy męża, ani narzeczonego, ani...

– Dobra! Ekipa, nie kłócić się! – Jarek próbował załagodzić sprawę. – Pójdziemy na spotkanie. To znaczy, pójdzie ten, kto chce. Przymusu nie ma.

– My się z Wojtkiem wcale nie kłócimy, Jaro, przecież wiesz...

– Wiem, wiem, wy tak zawsze.

Z daleko słychać było śpiewy i odgłosy egzotycznych instrumentów, dominował rytm bębnów. Wychylaliśmy się, żeby zobaczyć tancerzy. Niewiele można było zobaczyć, takie tłumy przyszły na plażę. Trudno się było dopchać. Blisko moło ulokowali się organizatorzy i cały sztab sędziowski. Słychać było na przemian to megafony, to wiwaty tłumów. Obserwowaliśmy zawodników – kolorowe punkty na tle morskich fal. Wypatrywaliśmy naszych znajomych, ale trudno było odróżnić od siebie plamki żagli na wodzie. Szkoda, że nie wzięliśmy lornetki.

Przepytałam w tym czasie Wojtka i Jarka. Komu ze znajomych mówili o wyprawie? Wojtek odpowiedział pytaniem.

– Co ci chodzi po głowie, Młoda? W detektywa się bawisz, czy co?

Wyjaśniłam im krótko moje poranne przemyślenia i obawy, na co Wojtek powiedział tylko „aha” i zamilkł.

– Wiesz, Iza, coś w tym jest. – Jarek podszedł do sprawy poważnie. – Ja też sobie tak myślałem, po tym, jak porwali Wojtka. Ale nic mi nie przychodzi do głowy. Owszem, kilku ludzi z mojego otoczenia wiedziało, że wyjeżdżam. Ale tylko ojciec i brat znali cel wyprawy. Prosiłem ich o dyskrecję. Zresztą oni nie brali tego poważnie.

– ...Nie, nie! Odpada! – To Wojtek obudził się z zamyślenia. – To nikt ode mnie. Wszystkim, którzy wiedzieli, mówiłem, że jadę na żagle na Karaiby. O jaskiniach i skarbie nie wspominałem nikomu. To nikt z moich znajomych, odpada!

– No, tak, zresztą, komu i PO CO, chciałoby się nas ścigać z kraju, aż tutaj? Może macie jakiś inny pomysł? – Myślałam na głos. – Albo wzięli nas kogoś innego, albo...

Zamilkłam, bowiem w tym momencie doznałam kolejnego olśnienia. Zobaczyłam lotnisko, Jarka odpowiadającego na pytanie o cel naszego przyjazdu. Widziałam to dziwne spojrzenie miejscowego urzędnika. Tak, to musiało być to! Już kiedyś mi to przyszło do głowy, ale zbagatelizowałam to. Jednego nie potrafiłam wytłumaczyć: jaki związek mógł mieć miejscowy funkcjonariusz z naszymi prześladowcami?

A może ta wymiana zdań dotarła do innych niepowołanych uszu? Ktoś, kto stał obok słyszał tę rozmowę i...No, właśnie, i co? Gdybym wiedziała, kto to mógł być, znalazłbym może jakieś logiczne powiązanie. Czy dowiemy się kiedyś, kto i po co urządził ten cały cyrk z porwaniem, uszkodzeniem przewodu tlenowego, włamaniem do naszego apartamentu. Czy to już koniec pomysłowości naszych prześladowców, czy jeszcze szykują nam jakieś wątpliwe „atrakcje”? Siedząc sobie beztrudnie na plaży, nie przypuszczaliśmy, że bieg wydarzeń, w które się wplątaliśmy, porwał nas, a pewne rzeczy dzieją się dalej bez naszej wiedzy i udziału.

Było południe, gdy do Jarka dodzwonił się Kapitan. Okazało się, że wczoraj niewiele załatwił w sprawie wynajęcia jachtu. Trzeba było podpisać umowę i zapłacić kaucję. Obecność Jarka okazała się niezbędna. Jaro wrócił więc do hotelu, gdzie czekał na niego Jack. Stamtąd pojechali do mariny, aby załatwić resztę formalności. Super! Jutro będziemy mieli jacht do dyspozycji! Najwyższy czas, skoro za dwa dni kończył nam się pobyt w hotelu.

Zostaliśmy z Wojtkiem na plaży i obserwowaliśmy zawody. Nagle, nie wiadomo skąd i dlaczego, do mojej duszy zaczął się wkradać niepokój. Intuicja? Moje detektywistyczne skłonności? Zobaczyłam oczami wyobraźni, jak jakieś podejrzanym typy buszują po naszym apartamencie. Zerwałam się i kategorycznie stwierdziłam, że musimy wracać do hotelu. Biedny Wojtek, nieco zdziwiony tym moim pośpiechem, dogadywał:

– Pogięło cię, Młoda? Gnasz, jak porsche na wyścigach! Upał jest, ponad trzydzieści stopni, albo lepiej. Zgubiłaś coś? Siusiu potrzebujesz, to idź. Do czego ja ci jestem potrzebny?

– Wojtusi, proszę cię, chodźmy! Ja mam złe przeczucia. Sprawdźmy, czy ktoś nie włamał się do naszego pokoju. Lepiej mieć wszystko na oku. Stąd i tak nic nie widać i nie słychać, i nie wiemy, kto wygrał. Tu na plaży jest za gorąco – próbowałam go ułagodzić – położymy się gdzieś w cieniu, zamówimy sobie drinka...

– Słońce ci zaszkodziło? Dobra już! Przecież idziemy.

Hotel świecił jeszcze pustkami. Wszyscy byli na plaży lub na basenie. Wojtek był na mnie zły, bo mogliśmy jeszcze, jak mówił, „być się” na plaży. Dopiero potem przyznał, że odtąd nie będzie lekceważył moich przeczuć.

W naszym apartamencie wszystko było w porządku. Nikt się nie włamał, żadnych śladów grzebania w naszych rzeczach. Uspokoiliam się trochę i zeszliśmy na dół w poszukiwaniu schronienia przed upałem. Znaleźliśmy sobie cudowne miejsce. Prawdziwy wodospad! No, może nie taki prawdziwy, bo zbudowany w ogrodzie hotelowym. Ale wyglądał jak prawdziwy. Woda cicho szemrała, spadając po głazach z wysokości kilku metrów do małego baseniku. Wokół palmy i bujna tropikalna roślinność. Większy basen hotelowy i deptak, były kilkadziesiąt metrów dalej. Donosiły się stamtąd krzyki dzieciarni. A tu – proszę – cisza, spokój, chłodek. Istny raj! Tylko jedna para całowała się w cieniu palm.

Usiadłam na brzegu, zanurzyłam nogi w sadzawce i popijałam swoje *mojito*. Całująca się para przestała się wreszcie całować, widząc, że nie są sami. Wojtek leżał sobie trochę dalej, na leżaku, w cieniu palmy. Nie ruszał się, chyba się zdrzemnął. Błądziłam bezmyślnie wzrokiem dookoła. Minęło tak może z pół godziny, gdy nagle moje oko uchwyciło coś znajomego. W oddali na ścieżce pojawiło się dwóch ludzi. Szli wolno od hotelu w naszym kierunku. Ścieżka prowadziła tędy wśród bujnej roślinności do bocznego wyjścia z ogrodu. Ci ludzie musieli nas za chwilę minąć, i oczywiście zauważyć. Na razie nas nie widzieli. Za to ja miałam chwilę czasu, żeby im się przyjrzeć.

Tym bardziej, że postać jednego z nich była mi dobrze znana. To był nasz detektyw! Ten drugi nie wyglądał po europejsku. Wręcz przeciwnie, jego wygląd nie budził zaufania. Typ był drobnej postury i wyglądał jak skrzyżowaniem Mulata z Metysem. Na głowie miał wełnianą, różnokolorową czapę, spod której wylewała się masa *dredów*. Jego strój w kolorach czerwono-zielono-czarnym, potwierdzał, że jego właściciel to rastafarianin. Nieogolony rzadki zarost stwarzał ogólne wrażenie niechlujstwa. Według naszych wyobrażeń – typowy Jamajczyk, zwolennik palenia zioła.

I oto ta kopia Boba Marleya szła sobie spokojnie w towarzystwie naszego schludnego i eleganckiego detektywa! Juan nie był, co prawda, pod krawatem. Nosił jakąś sportową koszulkę. Mimo to, uderzające było, jak nie pasowali do siebie. A jednak wyglądali na przyjaciół, i to serdecznych! Juan otaczał ramieniem bark tego drugiego. Pograżeni byli w rozmowie. Niestety, nie słyszałam ich, byli za daleko.

Coś mnie tknęło. Nie! Nie mogłam dopuścić, by nas zauważyli. Szarpnęłam Wojtka za rękę i pociągnęłam w kierunku tropikalnych krzewów. Położyłam palec na ustach, żeby był cicho. Wojtek, po raz drugi tego dnia szarpany i wrywany z rozkosznego leniuchowania, mamrotał coś, wściekły. Wskazałam palcem dwie zbliżające się postacie. Na szczęście zorientował się błyskawicznie, że coś jest nie tak i zanurkował za mną w tutejsze chaszczce.

Juan i nieznajomy typ zbliżali się nieuchronnie. Za chwilę przejdą koło nas. Teraz zasłaniały ich krzewy, ale za to było słychać ich głosy. Nadstawiłam ucha, aby nie uronić ani słowa. Niestety paplali w tym swoim *papiamento*. Wszystko, co udało mi się uchwycić to było: „Pamiętaj, Harry, daj mi natychmiast znać, gdyby....(tu niezrozumiały dialekt). To są bardzo ważni ludzie. Oni są nietykalni. Szczególnie *señorita*.” Na to ten obszarpaniec: „*Claro, señor*,....(tu znowu coś niezrozumiałego) Nic im nie grozi, chociaż oni są niebezpieczni. Kłamią i oszukują, że są turystami...”

Tu minęli nas i nic więcej dało się usłyszeć. Poszli w kierunku wyjścia. Gdy zniknęli, wydostaliśmy się z gęstwiny.

– Co za cholerne pomysły, żeby nurkować w krzakach! Cały jestem podrapany od tego badziewia! – skrzeczał Wojtek.

– Przestań! Widziałeś? – Powiedziałam. – Nasz opiekun przyjaźni się z podejrzanymi typami!

– I to z kim! – Wojtek nie wytrzymał – Ten drugi to jeden z moich porywaczy. Na bank. To był ten sam człowiek.

– Żartujesz! Może ci się wydaje?

– Wydaje??? Tego głosu nie zapomnę do końca życia. Trudno pomylić ten chrapliwy skrzek. Sama słyszałaś. Myślałem, że nie wytrzymam i skoczę na niego!

– Wojtek, proszę cię!

– No już dobrze, przecież nie skoczyłem. Pomyślałem, że to nie najlepszy pomysł. Ale widzisz, teraz on zwieje i może go więcej nie zobaczymy. O czym oni mówili?

O czym? Żebym to ja wiedziała! Wydawało mi się, że o nas...

Wojtek nie rozumiał nic. A ja? Po tym, co usłyszałam od Wojtka, byłam pewna, że mówili o nas. I o mnie. Wcale nie czułam się bezpieczniej po zapewnieniach tego Harry’ego, że nic nam nie grozi. Wręcz przeciwnie. Wydostaliśmy się z Wojtkiem z zarośli i poszliśmy w kierunku deptaka hotelowego. Niedługo potem pojawili się Jarek z Kapitanem. Jack uprzedził nas od razu:

– Mogą być kłopoty. Przed hotelem widzieliśmy Rasta Harry’ego. Nie jestem pewien, czy on nas też widział. Wspominałem wam o nim. To niebezpieczny typ. Pali marihuanę, na co zezwala ich „religia”, bierze inne narkotyki. Ale nie z powodu religii jest niebezpieczny. Obraca się w towarzystwie handlarzy narkotyków i pospolitych przestępców. Miałem z nim kiedyś sprawę.

– Aha, więc to był ten sam Harry... – Westchnęłam.

– Widzieliście go?

– Widzieliśmy, a nawet słyszeliśmy. Wojtek rozpoznał w nim jednego z porywaczy.

– Naprawdę? Musimy coś z tym zrobić. Naradzimy się. Chodźcie.

– A jak z jachtem? Załatwiliście? – Spytał Wojtek.

– Jasne! – Dla Jarka było to oczywiste. – Jest super!

– Zrobiliśmy resztę zakupów. Chcemy pojechać i zostawić tam wszystkie nasze szpeje. Dlatego chcę się zaokrętować jeszcze dzisiaj. – Powiedział Jack. – A wy, do kiedy możecie zostać w hotelu?

– Pojutrze musimy się wyprowadzić.

– OK. Ja w międzyczasie przejrzę wszystko i przygotuję jacht do żeglugi. Trzeba też uzupełnić zapasy żywności, wody i paliwa. Trzeba się przygotować na to, że spędzimy na pokładzie kilka dni bez zawijania do portu. Musimy być samowystarczalni.

– O rany, jak fajnie! – Ucieszyłam się – Po raz pierwszy raz będę mieszkać na jachcie dzień i noc!

– A jak z chorobą morską? – Zatrószył się Kapitan. – No, może nie będzie tak źle. Tu na płytkich wodach nie powinno mocno kiwać.

Spojrzeliśmy po sobie niepewnie. Spośród nas tylko Wojtek pływał po otwartych wodach i miał okazję sprawdzić, jak to jest.

– Ja się wyprowadzam z Kapitanem już dziś. – Powiedział Wojtek. – Mam już dosyć tych barów, pubów, turystów, dyskotek... Na pewno przydam się na pokładzie. Od rana zaczynamy przegląd. A wy się bawcie dobrze!

– Chodźcie coś zjeść, a potem odwieziemy was do portu. Jeśli naprawdę chcecie się przenieść na jacht jeszcze dziś...

Zabraliśmy ze sobą część rzeczy i pojechaliśmy. Zachód słońca zastał nas w porcie. Było pięknie. Czerwona pół-tarcza słońca właśnie tonała w morzu. Niebo w miarę tego ciemniało. Na horyzoncie jakiś statek płynął w kierunku słońca. Widok i barwy jak na

obrazach Williama Turnera! Wiedzieliśmy już, że zmrok zapadnie prawie natychmiast, gdy ocean pochłonie słońce. Żał było opuszczać to miejsce w takim momencie. Ulokowaliśmy się więc na pokładzie jachtu. Może to ten zachód wprowił kapitana w melancholijny nastrój? Moment był odpowiedni, by dokończy historię księdza i Rosity.

– Z naszymi bohaterami rozstaliśmy się na wyspie, gdzie szukali schronienia przed karzącym ramieniem sprawiedliwości. Uprawiali proceder piracki, a kiedy szedł słabo, nie wahali się pustoszyć wybrzeży Wenezueli. Padre Mugnoz stał się okrutny, masakrował ludzi, by zostało jak najmniej świadków jego zbrodni. Ogołoczone z wszystkiego okręty podpalał. Pogłębiał tym sposobem ogrom popełnionych zbrodni. Wydawało się, że po przekroczeniu pewnej granicy, kilka ofiar mniej lub więcej nie miało już większego znaczenia.

Zbrodnie, przelewana krew, strach, bogactwo i rozpusta wywarły na nich straszne piętno. Rosita sprawiała wrażenie opętanej. W swoich kusych szatach, obwieszona zdobyczną biżuterią, przykuta za nogę żelaznym łańcuchem do głównego masztu, potrafiła stać bez ruchu godzinami. Jej pusty wzrok wypatrywał czegoś na horyzoncie. Może następnych ofiar? A może ratunku i wybawienia?

Takie życie prowadzili przez prawie cztery następne lata. Pod koniec tego okresu, padre Domingo popadł w mizantropię i odseparował się ze swoją kochanką na wyspie, w samotni Czerwonego Wzgórza. Wtedy banda, pozbawiona silnej ręki poszła w rozsypkę. Wszystko to wiemy z przekazów ich czarnego służącego, zwanego Congo. Gdy banda się rozpadła, został schwyty w którymś porcie, po tym, jak roztrwonił swoją część łupu. Congo należał do nielicznych zaufanych Mugnoza. Czasami wyruszając na morze zostawiał Rositę. Wtedy Congo opiekował się panią. Skąd Mugnoz wiedział, że Congo jej nie skrzywdzi? Może dlatego, że służący był pełen bezgranicznego, bezinteresownego uwielbienia dla Rosity? Jak widać, nawet wśród piranii trafiają się ludzie. Gdyby hersztowi coś się stało, Congo miał wspólnie z panią odkopać skarby, oddać je i pomóc jej w ucieczce. Tylko Rosita i Mugnoz wiedzieli, gdzie są ukryte.

Cała ta historia wyglądałaby na totalną bujdcę, gdyby nie to, że stała się przedmiotem śledztwa policji w Maracaibo. Wyczyny piratów dały się za bardzo we znaki mieszkańcom wybrzeża Wenezueli. Tak to bywa ze zbieraniną różnych mętów. Dopóki silny przywódca trzymał ich w karchach, byli trudni do rozbicia. Potem rozpierzchli się w różne strony. Kiedy schwymano służącego, śledztwo poczyniło postępy.

Ale dlaczego Congo, tak wierny, wydał wszystko po schwytaniu? Na pewno chciał się oczyścić, zrehabilitować i, być może, uniknąć sprawiedliwości. Congo przekonywał wszystkich, że skarby są przeklęte. Podobno Mugnoz kiedyś w rozpacz rzucił klątwę, widząc, do czego doprowadziły jego i Rositę. Congo twierdził, że sprowadziły nieszczęście na wszystkich, dlatego lepiej je zostawić w spokoju. Bardziej prawdopodobne jest, że służący wiedział wtedy, że Rosita i padre Domingo są bezpieczni. Jego gadatliwość nie mogła już im zaszkodzić.

Działo się to w 1826 roku. Policja otoczyła wyspę i urządziła oblławę. Nie odnaleziono nikogo. Ani żadnych skarbów. Znaleziono tylko to, co przystrajało podziemny kościół. Srebra, świeczniki, kandelabry, złote i srebrne przedmioty kultu. Ołtarz był nienaruszony, podobno kwiaty były jeszcze żywe. Ale nic poza tym w grotach i korytarzach Czerwonego Wzgórza. Jedni twierdzą, że Mugnoz i Rosita odkopali i zabrali wszystkie skarby. Inne przekazy mówią, że nie zdążyli, lub nie dali rady zabrać wszystkiego, a skarby dotąd spoczywają na wyspie. A przynajmniej ta część, której nie zabrali. Prawda, że brzmi to bardzo prawdopodobnie?

– A czy wiadomo, co działo się potem z księdzem i Rositą?

– Owszem, widziano ich w tym samym roku w lasach Paragwaju. Podobno oboje zmarli w obłędzie, tak jak żyli w obłędzie. Może Congo miał rację i dosięgła ich klątwa ciężąca nad skarbem? A może kara za zbrodnie, przelaną krew i łzy? Mimo wszystko piękna, nienasycona Rosita przeszła do legendy. Uwiecznił ją pod imieniem Wandy ówczesny poeta Maurice Maigre. W policyjnych archiwach zostały protokoły z przeprowadzonego śledztwa. Ich przeklęte skarby długo kusiły amatorów złota i przygód. A może ich już tu nie ma? Kto wie? Ich zagadka czeka na rozwiązanie. Mój znajomy, członek Klubu Poszukiwaczy Skarbów, zebrał w trakcie swoich podróży po Ameryce Środkowej dowody i relacje potwierdzające prawdziwość tej historii.

Kiedy Kapitan skończył, słońce już dawno pogrążyło się w morzu i zmrok pochłonął wybrzeże. Ogarnęła nas jeszcze większa melancholia i zaduma nad krętymi ścieżkami życia. Co powoduje, że jedni z nas idą drogą prostą i oczywistą? Wiodą zwykłe życie, nie czyniąc nic specjalnie dobrego, ni złego. A inni skracają na manowce. Nie chcąc pogodzić się z przeciętnością lub biedą, gonią za bogactwem, władzą lub sławą. Wpadają wtedy łatwo w sidła chciwości i grzechu. Ich los powinien być przestrogą dla tych, którzy po nich nadejdą. Dlaczego tak nie jest? Dlaczego skarby przez wieki sprawdzają ludzi na manowce?



Wojtka z Kapitanem pozostawiliśmy na jachcie. Wracaliśmy z Jarkiem, w milczeniu, przeżywając ciągle ten czarowny zachód słońca i zasłyszana historię. Nie potrafiłam tak do końca cieszyć pięknym zachodem i cudownym wieczorem. Nie tego dnia. Byłam w podłym nastroju i miałam zadrę w sercu. Przez Juana, który za plecami spiskował z naszymi wrogami. Nie chciało mi się nawet pójść na spotkanie z surf erami w pubie. Ale cóż, obiecaliśmy, że przyjdziemy.

Surferzy byli we wspaniałych nastrojach! My z Jarkiem – raczej w refleksyjnych. Michel zdobył drugie miejsce w kategorii jakiejś-tam! Ważne było, że ich szczęście brało się z czystych, uczciwych ambicji. Z dążeń do bycia ponad przeciętnością, ze sportowej rywalizacji i walki – wszystko w najlepszym znaczeniu tych słów. Spotkanie z nimi podtrzymało nieco moją chwiejącą się tego dnia wiarę w ludzi.

To nie była ich wina, że wyszłam z imprezy wyjątkowo wcześniej. Jarek został i ulokował się przy swojej Patti. Ja już nie mogłam. Przeżycia dzisiejszego dnia wyprowadziły mnie z równowagi. Miałam ochotę zaszyć się w najgłębszej dziurze. Musiałam to wszystko przemyśleć sobie w samotności. Tak dotknęły mnie konszachty naszego detektywa z Rasta Harrym!

Jak on mógł? To była czysta zdrada! Jeszcze wczoraj tak przekonująco opowiadał o szczerości, że prawie mu uwierzyłam! Przecież człowiek nie może być tak przewrotny! Opowiadać takie rzeczy, spiskując za plecami! No, tak, Juan nie był zwykłym człowiekiem. Był detektywem. Inteligentnym, przebiegłym, wyrachowanym, pewno nieraz używającym kłamstwa i podstępu. Mógł być zdolny do niejednej podłości. Najbardziej bolało mnie, że się tak pomyliłam co do jego osoby. Stanowczo muszę to wszystko sobie przemyśleć. Weszłam do holu hotelowego i usłyszałam nagle z tyłu:

– *Hola*, Inez! Czekam tu na ciebie cały wieczór. Gdzie się podziewasz? Dlaczego nie odbierasz telefonu?

– Jestem zmęczona i idę spać.

– Tak wcześniej? Czy możemy porozmawiać?

– Nie, nie dzisiaj. Jestem zmęczona.

– Ale oprócz zmęczenia jest jeszcze coś, prawda? Znam cię trochę. Widzę, że nie chodzi tylko o zmęczenie?

– Proszę cię, może jutro...

– Może jutro? Przecież niedługo wyjeżdżacie. Zostało nam tak niewiele czasu, a ty mówisz „może jutro”? Chcesz zostawić to wszystko tak sobie? Dobrze, jak chcesz, ale może chociaż powiesz mi, czy coś się stało? Inaczej nie zasnę spokojnie...

– Nie jestem dziś w formie...

– Jesteś pewna? Chodź! Odprowadzę cię do pokoju, upewnimy się, że nie grasuje tam żaden włamywacz. – Próbował zażartować i wziął mnie za rękę; zauważył moje wahanie. – Boisz się czegoś? Mnie??? Co się stało? Nie bój się! Przecież nie pozwolę ci zrobić krzywdy!

– Ja już nikomu nie wierzę! – Powiedziała rozżalona. – Dobrze odprowadź mnie do drzwi. Porozmawiamy jutro.

Poszliśmy na górę w milczeniu. Milczenie ciążyło nam jak ołów. Pod drzwiami powiedziałam mu „Dobranoc”. Chwycił mnie za ramiona i spojrzał w oczy. A ja pomyślałam, że wolałbym trzymać oślizłego grzechotnika, niż czuć dotyk tego zdrajcy! (Chyba to sobie wykrakałam!) Powiedział łagodnie, ale z naciskiem:

– Dobranoc, *my darling*, śpij spokojnie! Jutro porozmawiamy. Jeśli się czegoś boisz, powiedz, będę tu czuwał pod twoimi drzwiami?

– Nie, nie boję się. – Skoro był zdrajcą, musiałam opanować nieposkromioną ochotę wygarnięcia mu w twarz, co o nim myślę – to mogłoby zagrozić naszej wyprawie. – Idź już, do jutra!

Weszłam do środka. Zapaliłam światło, zamknęłam drzwi i rzuciłam się na kanapę w salonie. Nie, nie będę ryczeć! On jest tego niewart! Nalałam sobie czegoś z barku i wypiałam. Po chwili poczułam się trochę lepiej. Poszłam do łazienki wziąć kąpiel. Stałam przed lustrem. Ale okropnie wyglądam! Jeszcze tylko brakuje, żebym się poryczała! I nagle... poczułam, że nie jestem tu sama!

Wrażenie nie do opisania. Po prostu to wiesz. Paraliżuje cię strach. Nie widzisz nikogo, nie wiesz, gdzie jest, co robi. Po prostu wiesz, że ktoś gdzieś się czai w pobliżu. Kamieniejesz i nie możesz się poruszyć. Boisz się odwrócić, bo wtedy rzuci się na ciebie na pewno!

Oparłam się o umywalkę, ostrożnie popatrzyłam w lustro. Na szczęście nie wyjrzała stamtąd żadna upiorna twarz. W łazience nie był nikogo. Próbowалам się pozbierać. I tak muszę stąd wyjść. Nie mogę siedzieć w nieskończoność w łazience. Jarek może wrócić równie dobrze za godzinę, jak nad ranem. Jeśli ktoś tu się gdzieś czai, z pewnością nie jest to duch. Zaraz sprawdzę po kolei wszystkie pomieszczenia. Tylko muszę się zachowywać cicho,

bezgłośnie. Rozejrzałam się wokół w poszukiwaniu czegoś, co mogło mi posłużyć jako broń. Najlepszy wydał mi się stojący na półce dezodorant w sprayu. Wzięłam go do ręki. W razie czego użyję go jako gazu obronnego.

Już miałam się odwrócić, gdy usłyszałam dziwny odgłos. Znieruchomiałam. To nie był odgłos, jaki wydaje człowiek. Znałam go z filmów i opisów, ale nigdy dotąd nie słyszałam na własne uszy. To był prawie niesłyszalny szelest czegoś sunącego po podłodze. Niesłyszalny szelest, a potem cichutki syk, prawie pod moimi nogami. Zamarłam. Mój wzrok powędrował w lustro w tamtym kierunku i odnalazł źródło szelestu w kabynie prysznicowej. W odległości około dwu metrów od moich nóg, w brodziku kabiny wił się podłużny kształt!!!

Oślepiąca światłem żmija podnosiła łeb, szukając celu do ataku.

## ***Rozdział 8. O tym, że wąż może być przyczyną złego i dobrego***

Żmija, czy wąż – co za różnica? Nie byłam w stanie odróżnić jednej od drugiego. Gdy zobaczyłam toto w lustrze, sparaliżował mnie strach. Co za paradoks! Uratował mnie paraliżujący strach. Płazy reagują na ruch. Po wejściu do łazienki stanęłam nieruchomo przed lustrem, dlatego mnie nie zaatakował (zaatakowała?). Dopóki stałam jak skamieniała, byłam bezpieczna. Gdybym należała do osób, które w takich chwilach reagują krzykiem, byłoby już po mnie. Ale co dalej? Nie mogłam tak stać be końca i czekać, aż się toto rozmyśli i popełnie sobie w siną dal. Przez mój mózg w ułamku sekundy przepłynął strumień chaotycznych myśli:

„Skąd się to wzięło? Nieważne! Jadowita? Uciekać! Nie zdążę, zaatakuje! Co robić? Nie ruszać się! Może mnie nie dosięgnie. A jeśli tak? Trzeba spróbować! Nie widzi mnie! A jeśli widzi? Zgaszę światło! To ją zmyli. Teraz! Start! Do przedpokoju. Zamknąć drzwi! O Boże! Już!” Czytanie tego trwa dłużej niż błyskawica, która przepłynęła wtedy przez mój mózg!

W trakcie sięgnęłam ręką do kontaktu, zgasiłam światło i „na pamięć” wybiegłam z ciemnej łazienki do oświetlonego przedpokoju, równocześnie zatrzasnąwszy za sobą drzwi. To był kolejny ułamek sekundy. Udało się! Byłam szybsza! Nie zdążył (zdążyła?) zaatakować! Ale strach gnał mnie dalej. Nie zatrzymując się ani na sekundę, z przedpokoju rzuciłam się do drzwi wyjściowych. Otworłam je i wybiegłam na korytarz hotelowy. Biegłabym dalej i dalej, aż do windy, gdybym na korytarzu nie wpadła w ramiona Juana. Co on tu robił? Po co czekał na korytarzu przed naszymi drzwiami? Chciał się upewnić, że wszystko w porządku? A może upewnić, że ich plan się udał i zostałam pokąsana? Niestety, w takich chwilach człowiek nie myśli racjonalnie. Strach zaciemnia obraz i zgodnie z tą regułą wytłumaczyłam sobie jego obecność na jego niekorzyść. A mimo wszystko poczułam ulgę, że tam był!

– Inez, co się dzieje? – Widział, że przerażenie odebrało mi mowę. Normalnie potrafię opanować strach. Jednak nikt nie potrafi całkowicie zapanować nad gwałtownym uderzeniem adrenaliny. Otworłam usta i dopiero po dłuższej chwili wydobył się z nich zduszony głos:

– ŻMIJA! ŻMIJA! Tam jest ŻMIJA!!!

Nogi ugięły się pod mną i... zemdlałam.

Gdy się ocknęłam, leżałam w holu na kanapie, a przy mnie klęczał Juan. Zdążył wezwać ochronę, żeby usunęli gada. Wąż był niewielki, nic specjalnego. Tak powiedzieli. Stwierdzili też, że nie był jadowity. Ale ja im wcale nie wierzyłam. Sprawdzili cały nasz apartament i w końcu pozwolili mi wejść. A mnie wcale nie było spieszno do środka. A jeśli przeszukali byle jak? Strach wciąż miał wielkie oczy.

Oglądałam kiedyś taki film, w którym głównej bohaterce podrzucono jadowitą żmiję do pokoju. Widocznie pod wpływem adrenaliny otworzyła mi się stara, zapomniana klapka w mózgu. Oczami wyobraźni widziałam, jak mi podrzucają do pokoju tę żmiję... ok., węża, i nie przyjmowałam do wiadomości żadnego innego wytłumaczenia.

– Inez, jeśli się boisz, możesz przemocować u mnie! Ale tam naprawdę już nic nie ma.

– U ciebie? Nie, nie! Wejdz tam i sprawdź raz jeszcze!

Byłam przekonana, że maczał w tym palce. Mówiąc to, chciałam sprawdzić, czy wejdzie tam. Jeśli wejdzie, to... potwierdzi... co potwierdzi? Swoją niewinność? Nie! Potwierdzi tym, że jest pewien, że niebezpieczeństwo zostało usunięte. A jest tego tak pewien, bo wie, że podłożyli jednego płaza, który właśnie został usunięty. Dla mnie to rozumowanie było oczywiste. Bardzo sprytnie to sobie to wykombinowałam. Patrzyłam uważnie na Juana, jak zareaguje i powiedziałam:

– A może jest drugi wąż? Idź ty pierwszy!

Uśmiechnął się (może jednak nie był w to zamieszany?) i śmiało wszedł do środka. Ja wciąż stałam przed drzwiami.

– Nie śmieję się! Skąd wiesz, że nie ma drugiego?

– Wejdz! Zobacz sama, tu nic nie ma. Usunęli go i wszystko sprawdzili. – Wchodził kolejno do pokojów, zaglądał pod meble, sprawdzał kąty, wreszcie wszedł do łazienki. – Czasami zdarza się, że jakieś miejscowe zwierzątko zapędzi się za daleko. Nie bój się, u nas nie ma jadowitych węży.

Odważyłam się wreszcie przekroczyć próg. Ale na wszelki wypadek sama sprawdziłam wszystkie kąty i zakamarki. Nie tylko te, które on sprawdzał. Zaglądałam wszędzie. Nic nie znalazłam, więc uspokoiłam się nieco. Usiadłam na sofie, podwijając nogi pod siebie. Tak na wszelki wypadek.

– Dlaczego ktoś znów chciał mnie zabić? – Zastanawiałam się na głos. – Może niekoniecznie mnie. Może kogoś z nas. Tego, kto wróci pierwszy?

– Myślisz, że ten wąż...to specjalnie? – Jego twarz wyrażała autentyczne zdziwienie. – Ktoś chce was zabić? Przecież to był przypadek. Może wąż uciekł komuś z jakiegoś terrarium? To nie był duży okaz. Mógł przedostać się przewodami kanalizacyjnymi, albo wentylacyjnymi. Nawet nie wiesz, co ludzie potrafią przynosić z wycieczek. To się zdarza. Słyszałem o takich przypadkach, chociaż przyznaję, że pierwszy raz zdarzył mi się taki wypadek.

– Wypadek? Kolejny zbieg okoliczności?! Ty w to wierzysz? Przypadkowo do kabiny prysznicowej w naszej łazience w apartamencie na trzecim piętrze dostała się żmija. – Ironizowałam. – Uciekła komuś z naszych gości hotelowych. Poszła sobie na spacer, a kiedy znudził ją spacer po przewodach wentylacyjnych, postanowiła sobie odpocząć. Spodobał jej się właśnie nasz apartament, więc postanowiła wstąpić na chwilę...

– Fakt, dużo tych zbiegów okoliczności w ciągu kilku dni.

– Kto nas tak nienawidzi i dlaczego? – Myślałam na głos, obserwując go kątem oka. – Że chce nas nastraszyć, może nawet zabić?!

– Inez, co ty opowiadasz?! Kto mógłby wam tu zagrazać?! I dlaczego?

– Gdybym ja to wiedziała! To ty raczej powinieneś wiedzieć coś na ten temat!

– Ja??? Nic nie wiem, ale postaram się to wyjaśnić.

– No, to postaraj się, bo inaczej pomyślę, że miałeś w tym swój udział! – Powiedziałam rozżalona.

– Proszę cię! JA miałbym mieć w tym udział? Co ty wygadujesz? Jaki mógłbym mieć udział w tym wydarzeniu???

– ...no, może nie osobisty... ale mogłeś mi zrobić krzywdę. A może o to ci chodziło?

– Proszę cię! Co ty wygadujesz? Ja chciałbym komuś zrobić krzywdę? Tobie???

Po tym wszystkim, co między nami było? Jak możesz mnie podejrzewać o takie rzeczy?

– Jak? Normalnie. Jeśli ktoś spiskuje za naszymi plecami z różnymi podejrzanymi typami, porywaczami! Wszystko się wydało. Nie wyprzesz się!

– O czym ty mówisz? Ja spiskuję z jakimiś typami? Przeciwno tobie?

– Tak! – Stwierdziłam kategorycznie. – Mleko się wylało. Widzieliśmy was razem dzisiaj po południu. Spacerowaliście sobie jak gdyby nigdy nic, bo myślałeś, że nas nie ma w hotelu. Nie przyznałeś się do znajomości z nim. Dlaczego? – Wyrzucałam z siebie słowa z precyzją karabinu maszynowego. – Ja ci powiem, dlaczego. Bo gdyby sprawa była czysta, nie robiłbyś z tego tajemnicy! Ten Brudny Harry, czy jak mu tam, jest jednym z porywaczy Wojtka! I nie udawaj, że nie wiesz.

– Proszę, przestań! Co ty wygadujesz? Znam go, ale co tego?

– To z tego, że spiskujesz z nimi za naszymi plecami! Dlatego ciągle coś nam się przydarza. Ale teraz koniec. Wyjeżdżamy niedługo i już nie zrobicie nam żadnej krzywdy.

– Inez, to nie ma ze sobą żadnego związku! Gdyby ktoś chciał ci zrobić krzywdę... wszystko jedno, on czy ktoś inny... nie pozwoliłbym na to. Rozszarpałbym drania...

Słyszałam tłumioną wściekłość w jego głosie. To mogła być równie dobrze urażona duma oszukanego współnika przestępców, jak troska o mnie. Kazał Harry'emu przysiąc, że będę bezpieczna, ale kto wie, co nim kierowało. Może niekoniecznie sympatia do mojej osoby. Może miał jakieś perfidne zamierzenia? Harry nie dotrzymał obietnicy, pokrzyżował Juanowi jakieś plany, więc Juan był na niego wściekły.

– Porwanie Wojtka...chyba nie porwał się sam, co? Włamanie. Podrzuciona żmija, a przedtem próba utopienia mnie w czasie nurkowania. – Wylizyłam na jednym oddechu. – Nie chcieliście mi zrobić krzywdy, tylko któremuś z moich przyjaciół, co? To przez pomyłkę trafiło na mnie, tak? Drobną różnicą. Nie wystarczy ci tego?

– Przestań! Wystarczy! Przyjmij do wiadomości, że z nikim nie spiskuję ani przeciwko tobie, ani przeciwko wam. Z tym Harrym wszystko ci wytłumaczę. To mój informator. Wiem,

że to podejrzany typ, ale od grzecznych chłopców niczego się dowiem. Mówiłem ci, że jako pracownik ochrony znam i spotykam różnych ludzi. Owszem, spotkałem się z nim, ale po to, by was chronić! Co miałem robić? Coś się działo, a wy ukrywaliście prawdę. Wiem już teraz, że ten drań gra na dwie strony, jak to bywa z takimi szujami. Ale tym bardziej, jeśli oszukał mnie i stoi za którymś z tych zdarzeń, pożałuje tego! Inez, proszę cię! Bądź wreszcie ze mną szczerą! Od niego dowiedziałem się wszystkiego! No, może nie wszystkiego, ale tego, kim jesteście i po co tu przybyliście. Harry zna jednego z was, tego poszukiwacza skarbów. Domyślałem się, że macie ukryty cel przyjazdu, a Harry to potwierdził. – Tu przerwał nagle, jakby dopiero teraz dotarły do niego moje słowa. – Dlaczego twierdzisz, że to Harry porwał Wojtka? Skąd to wiesz?

– Skąd? Od samego Wojtka. Rozpoznał go po głosie.

– Jesteś pewna za Wojtka? Za to co mówi? Może się pomylił?

– Czy jestem pewna słów Wojtka? Tak, bardzo pewna! Wojtek to mój przyjaciel i nigdy mnie nie okłamał. Jestem bardziej pewna, niż za tych, co udają moich przyjaciół!

Przełknął tę aluzję, albo nie dotarła do niego. Skupił się na odkryciu, że Harry brał udział w porwaniu. Nie dawało mu to spokoju.

– No, tak, to możliwe. Nie ma powodu, by nie wierzyć Wojtkowi. Harry jest niebezpieczny, zna bardzo niebezpiecznych ludzi. Muszę to sprawdzić. Zdaje się, że on wykorzystuje pozycję mojego informatora dla swoich kombinacji. Trzeba z tym skończyć! – Jego głos brzmiał twardo; nie chciałabym być teraz na miejscu Harry’ego. – Wy też nie ułatwiliście mi sytuacji, okłamując mnie. Próbowałem was chronić. Dowiedzieć się, jakie są ich zamiary i chronić was, a przede wszystkim siebie. Wyszło inaczej, trudno. Trzeba teraz będzie to wszystko odkręcić. (O co mu chodziło?) Nie powiedziałem moim przełożonym prawdy o was, chociaż powinienem. I nie powiem, mimo, że mogę mieć przez to niezłe kłopoty. Ze względu na siebie, i na nas. Ale powiem, jeśli zmusi mnie do tego sytuacja. Jeśli w grę będzie wchodziło twoje bezpieczeństwo. Możemy mieć wszyscy niezłe kłopoty, jeśli to się wyda. Uwierz mi i bądź ze mną wreszcie szczerą! Żebyś mógł mi pomóc!

Wierzyłam mu. Tak, teraz mu wierzyłam. Wszystko się wydało i nie było już tajemnic między nami. Nareszcie on też był szczerzy. Wierzyłam mu, bo zbyt długo tolerowałam moją nieszczerą. Bo zależało i zbyt zbliżyliśmy się do siebie. Komu miałam zaufać w tym obcym otoczeniu, jak nie jemu? Człowiekowi, który i przedtem, i teraz dawał dowody delikatności,

czułości i troski o mnie? Jego wyjaśnienia były logiczne i przekonujące. Uspokoili mnie, bo porządkowały przynajmniej częściowo cały ten chaos zaskakujących wydarzeń.

– Ja już nie wiem, co mam myśleć! – Spojrzałam na niego bezradnie. – Wierzę ci teraz, ale jeśli byś mnie oszukał...

– Oszukał? Czy kiedykolwiek mógłbym CIEBIE oszukać? Jesteś teraz taka bezradna, jakiej cię nigdy dotąd nie widziałem... – Przytulił mnie mocno, a ja nareszcie na to pozwoliłam. – Jeślibym cię oszukał, to co byś zrobiła?

– Jeśliby ktoś mnie tak oszukał i wykorzystał, to oczy bym mu wydrapała! – Wypaliłam mu prosto w twarz.

– Świetnie! Wobec tego wolę niczego przed tobą nie taić! Oto cała ty! – Uśmiechnął się. – Twardy wojownik, a w środku miękkie serduszek... Taką cię właśnie uwielbiam! – Jego usta muskały mój policzek i włosy, tulił mnie mocno, wręcz namiętnie. – Nie obawiaj się, nie oszukałem cię ani przedtem, ani teraz. Nie mógłbym. Jesteś mi zbyt bliska i droga. Wiesz o tym?

– Wiem. – Powiedziałam cicho i pozwoliłam się objąć; wszystko ze mnie spłynęło, a ja mogłam się wreszcie poczuć bezpiecznie w jego ramionach.

– Zostanę tu na noc, dobrze? Będę spał na kanapie, a ty idź teraz do swojego pokoju i postaraj się zasnąć. Chyba, że wolisz poczekać, aż wrócą twoi przyjaciele. Może zadzwonisz do nich?

– Nie, nie pójdę do pokoju! Wolę posiedzieć tu jeszcze z tobą, dopóki nie wróci Jarek. Wojtek został na jachcie. – Chyba się domyślił, dlaczego nie chciałam pójść spać do pokoju.

– Dobrze, zostań tu. Przytul się do mnie i zaśnij. Jestem obok ciebie.

– I tak nie zasnę. Ale przytul mnie....

I tak siedzieliśmy na kanapie w salonie, tuląc się do siebie. To rozmawiając półsłówkami, to całując się, jak kochankowie, których drogi rozeszły się i spotkały znowu przed kolejnym rozstaniem. Juan chciał spędzić ze mną jutrzejszy dzień, gdy dowiedział się o naszej nieuchronnej przeprowadzce na jacht.

– Jutro zabiorę cię na małą wycieczkę. Pokażę ci, jak żyją rezydenci tej wyspy, OK.? A może masz już jakieś inne plany? Nie? To wspaniale! A poza tym zobaczysz, że nie ukrywam w domu żadnej innej kobiety, z wyjątkiem mojej matki i siostry. – Zażartował.

– Wiesz, w tej chwili dotarło do mnie, że gdyby nie ten wąż...

– Co – gdyby nie wąż???



– No, gdyby nie ten wąż, to... dalej tkwilibyśmy w tym zaklętym kręgu wzajemnych podejrzeń i nieufności... Czy to nie dziwne, jak zło, które ktoś chciał mi wyrządzić, obróciło się w dobro?

– Chcesz powiedzieć, kochanie, że wąż tym razem odegrał rolę odwrotną, niż ten biblijny? Że zamiast wypędzić nas z raju, połączył nas na nowo?

No, no, całkiem zgrabnie to ujął!

W końcu zasnęłam na kanapie, wtulona w jego ramię. Jarek wrócił późno. Bawił się znakomicie prawie do rana. Założę się, że był w towarzystwie Patti. Gdy zobaczył nas na kanapie, stanął jak wryty. Ja podobno spałam jak zabita, wtulona w Juana, a on oglądał telewizor z wyłączonym głosem. Jarek nie pytał o nic, żeby mnie nie obudzić. Dopiero rano usłyszałam całą historię z wężem. Na szczęście dali mi się wyspać. Gdy wstałam, było dosyć późno. Juana już nie było. Podobno wyszedł wcześniej rano. Natomiast po apartamencie buszował Wojtek, którego Jarek zdążył przywieźć rano. Razem z Jackiem pakowali i zabierali resztę naszych rzeczy.

Jarek, tak jak ja, chciał zostać w hotelu do samego końca naszego pobytu. Ja oczywiście ze względu na Juana i nasze plany wycieczkowe. Chciałam być blisko niego, tak długo, jak to było możliwe. Chociaż Wojtek z Kapitanem nalegali, powiedziałam, że już się poumawiałam i koniec. Przekonała ich ostatecznie rozmowa, jaką Jack odbył z Juanem. Wołałam się nie wtrącać. Niech faceci wygarną sobie, co im leży na sercu, czy może raczej na wątrobie. Siedziałam z boku i ledwo nadążałam za jej przebiegiem. Dyskusja była miejscami gwałtowna, ale wynik był zadziwiająco dobry dla Juana. Gdy Juan wyszedł, Jack powiedział:

– Wygląda, że on jest w porządku. Myślę, że możemy mu zaufać. Pomoże nam na tyle, na ile to będzie możliwe. A ma tu trochę możliwości. No, oczarowałaś go, dziewczyno. O ile znam się na ludziach, jest po naszej stronie. Będziesz z nim bezpieczna. Zostawiam Cię pod jego opieką, a my pojedziemy załatwić resztę rzeczy.

\*

Nie wyjechaliśmy tak od razu, bo Juan był w pracy. Gdy zeszłam na dół, żeby go trochę ponaglić, było wczesne popołudnie. Zajrzałam do jego służbówki w hotelu. Siedział tam i coś pisał. Jego praca wymagała czasami obecności w hotelu dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Rzeczywiście, pokój był malutki, w sam raz na potrzeby samotnego faceta. Przebrał się szybko i pojechaliśmy – zgadnijcie gdzie!? Zawiózł mnie do swego domu rodzinnego!

Jego matka i siostra były chyba bardziej zaskoczone tą wizytą, niż ja. Mieszkał z nimi w małym domku na obrzeżach stolicy. Przedstawił mnie jako znajomą z Europy, z egzotycznego kraju. Gadaliśmy o wszystkim, co dotyczyło życia na wyspie. Bardzo ciekawiło je życie w Europie. Czym się różni od życia w tropikach. Czy u nas jest zimno? Jak to jest, gdy pada śnieg i temperatura spada poniżej zera? Czy wszystko wtedy działa? Czy wtedy chodzimy do pracy, a dzieci do szkoły? Jakie są nasze najpopularniejsze potrawy? Czy można u nas dostać owoce południowe? Rozmowa rozwijała się w najlepsze, ale, niestety, musieliśmy ją przerwać. Okazało się, że czas przeznaczony minął i trzeba było wracać do hotelu. Resztę tego ostatniego na łodzi dzień chcieliśmy spędzić sami. Tylko ja i Juan. Planowaliśmy pójść coś zjeść, a potem nad morze.

Jarka znów gdzieś poniosło z surferami. Czułam w tym udział atrakcyjnej Patti. Ponieważ jedną komórkę zabrali ze sobą Wojtek i Jack, a drugą miałam ja, Jarek nie miał możliwości do mnie zadzwonić. Zostawił mi więc karteczkę na stole: „Wracam późno, baw się dobrze.” Było jeszcze jasno, a ja kończyłam pakowanie, gdy Juan przyszedł po mnie. Nie byłam gotowa, więc nalałam mu coś do picia i kazałam czekać, aż będę gotowa. Przygotowując się, zaczęłam go wypytywać:

– Gdzie pójdziemy na kolację? Nie wiem, w co się ubrać.

Odpowiedział jak każdy zakochany facet.

– Wszystko jedno, we wszystkim jest ci ładnie.

Dzięki za pomoc! Musiałam sama zdecydować, co włożyć na ten wieczór.

– Potrafisz zaskakiwać ludzi, wiesz? Twoja rodzina była nie mniej zaskoczona, niż ja. Pochodzisz z tej wyspy?

– Tak. Tu się wychowałem. Po skończeniu *college*'u wyjechałem na studia prawnicze do Stanów. Już w trakcie studiów zrozumiałem, że zawód prawnika, to nie dla mnie. Zagrzebać się w papierach i żonglować paragrafami, by bronić przestępców, którzy absolutnie na to nie zasługują. Tych, co kradną, stać ich na kupienie sobie najlepszych adwokatów. A uczciwie pracujących – nie zawsze. Nie, to nie dla mnie.

– Rzuciłeś studia prawnicze? I zostałeś detektywem?

– Nie rzuciłem. Skończyłem, bo mam zwyczaj kończyć, to, co zaczynam. Wróciłem, gdy zmarł mój ojciec. Mama i siostra potrzebowały opieki, i pomocy materialnej. Trzeba było

z czegoś żyć. Studia prawnicze pomogły mi dostać pracę detektywa. To o wiele lepsze niż siedzenie za biurkiem. Mam kontakt z życiem i ludźmi, a nie z martwą literą prawa. Wolę bronić ludzi przed przestępcami, niż przestępców przed wymiarem sprawiedliwości.

Cholernie podobało mi się wszystko, co mówił! I jego system wartości. Nie wiedziałam, czy jest naprawdę taki, jakim próbował się przedstawić. Wszystko to brzmiało prawdziwie. Jeśli tak, to rzeczywiście warto się zaprzyjaźnić z takim człowiekiem. Nie tylko dla uczuć, jakie zaczynałam dla niego żywić. Dla niego samego. Wszystko świadczyło o tym, że to, co mówi i robi płynie z głębi serca. Nie znalazłam dotąd żadnego fałszu w jego poczynaniach, ani sprzeczności między słowami a czynami.

– Niezły pomysł na życie i ciekawą pracę!

– Podoba ci się to, co robię? Mało to przypomina pracę detektywa z powieści kryminalnych. Zamiast niebezpieczeństw, pilnowanie lekkomyślnych turystów, turystek (tu spojrzał na mnie przekornie), ich dzieci, a także ich portfeli. Ale nie narzekam. Zobaczyłaś, jak mieszkam i jak tu żyjemy. Zależało mi na tym, żeby ci pokazać prawdziwe życie wyspy.

– Całe szczęście, Bo wydawało mi, że ma to inny cel. Przez chwilę poczułam się, jak osaczona. Przedstawienie rodzinie, brakowało tylko oświadczyć.

Zbliżył się do mnie niebezpiecznie blisko i objął mnie.

– Nie chciałabyś? Wiele kobiet umierałoby ze szczęścia...

– Ależ jesteśmy zarozumiali! Ja nie jestem wiele kobiet! Nie lubię być stawiana w sytuacji przymusowej. Nie lubię przedstawień rodzinnych, ani romantycznych kolacji przy świecach ze starannie zaplanowanym finałem. Nie ma nic mniej romantycznego! A poza tym jestem wolny człowiek, mam bardzo niezależną naturę.

– Zauważyłem! Czy sprawiłem ci przykrość?

– Nie, skądże, wręcz przeciwnie. Bardzo lubię poznawać prawdziwe życie, nowych ludzi. To było super, tylko nie wiedziałam, co chcesz w ten sposób osiągnąć.

– Teraz już wiesz. Nie było w tym nic zobowiązującego. Ani dla mnie, ani dla ciebie. Inez! – Nagle zmienił ton i spytał prawie pokornie. – Nie zależy ci na mnie?

Spojrzał mi w oczy. Wytrzymałam to spojrzenie.

– Zależy, bardzo zależy... – Powiedziałam cicho. – Ale przecież nie jesteśmy na tym etapie. I nigdy nie pozwolę, by mnie ktoś więził w życiu...

– Kto cię chce uwięzić, *mujer*? – Wrócił do lżejszego, żartobliwego tonu. – Ja na pewno nie. Co to znaczy, „na tym etapie”? A na jakim etapie jesteśmy? Wolna i niepokorna, a

równocześnie taka słaba i bezradna... Uwielbiam cię! – Zaczął mnie całować. A właściwie zaczęliśmy się całować. Długo, coraz namiętniej. W trakcie przenieśliśmy się na kanapę, gdzie było nam o wiele wygodniej. To było piękne, spontaniczne, upragnione. Oboje chcieliśmy tego. Nic nie było zaplanowane, narzucone lub wymuszone. To, co się działo, to była kompletna improwizacja. Całkowita harmonia ciał i zmysłów. Był cudownym kochankiem, a ten wieczór to była esencja zmysłowości, oszałamiająca mieszanka romantyzmu i erotyzmu. Kiedy leżeliśmy objęci, odpoczywając, było już ciemno. Ledwo widziałam jego twarz, gdy powiedział:

– Jesteś cudowna.

Mimo ciemności prawie widziałam jego błyszczące oczy i uśmiech, gdy to mówił.

Na kolację poszliśmy z opóźnieniem. Nie bardzo chciało nam się ruszać z pokoju, ale zgłodnieliśmy. Dobrze, że nie wpadł wtedy do pokoju Jarek!

– Inez, od jutra nie będziemy się widywali codziennie, tak jak dotąd. – Juan był wyraźnie przejęty całą sytuacją. – Wyprowadzicie się, odpłyniecie, a ty o mnie zapomnisz! Proszę, nie zapominaj o mnie! Chciałbym, żebyśmy widywali się jak najczęściej, póki tu jeszcze będziecie. Co ty na to? Czy to będzie możliwe?

– Ja też bym chciała. Ale potem, kiedy wyjadę, to ty zapomnisz o mnie! Cokolwiek byśmy sobie obiecali, życie może to zmienić. Takie jest życie. Proszę, nie zapomnij o mnie, przynajmniej nie tak szybko!

– Przestań! Jeszcze nie wyjeżdżasz. A jeżeli ty zechcesz, i los pozwoli, to jeszcze się spotkamy, i to nie raz.

– Chciałbyś? Naprawdę? Ja też. Bardzo! Tylko nie wiem, jak to zrobimy?

– Nie martw się o to na razie. Coś wymyślimy. Przede wszystkim, zrób tak, żebym dołączył do was w niedzielę. Wezmę wolny dzień i chcę go spędzić razem z tobą. Popływamy razem na jachcie.

– Ja nie wiem, co będziemy robić w niedzielę. Może będziemy pływać, a może pójdziemy do jaskiń? Chcesz dołączyć do nas, nawet, jeśli to oznacza, że weźmiesz udział w nielegalnych poszukiwaniach? – Zażartowałam.

– Co tam! Pokaż mi człowieka, który wszystko i zawsze robił legalnie w swoim życiu.

– Detektywie Porter! I ty to mówisz? Przywołuję cię do porządku! A jeśli wywalą cię z roboty przeze mnie? Chcesz, żebym miała wyrzuty sumienia?

– Wtedy weźmiesz mnie na swoje utrzymanie!

– Chciałbyś! Nic z tego! Każdy musi pracować sam na swoje utrzymanie!

– Naprawdę? Nic się nie da zrobić? Trudno. Zgadzam się z względu na ciebie.

Gdyby taka sielanka mogła trwać wiecznie! Ale życie nie jest takie proste. Obiad nie składa się z samego deseru, a życie z samych przyjemności. Są spotkania, rozstania i powroty. Rozstając się, tak naprawdę nigdy nie wiemy, czy się jeszcze spotkamy. Dlatego zawsze mam w pamięci słowa mojej mamy: „Nigdy nie wyjeżdżaj bez pożegnania”. Teraz znów czekało mnie rozstanie. Poczyszająca była myśl, że oboje dążyliśmy do tego samego.

To była nasza ostatnia noc razem na stałym lądzie. Juan przenocował w naszym apartamencie, który i tak był wyjątkowo pusty bez naszych chłopaków. Czułam się bezpieczniej, chociaż nie to było głównym powodem, dla którego zgodziłam się na jego obecność. Jarek wrócił na noc, co znów oznaczało – nad ranem. My z Juanem zasnęliśmy przytuleni na kanapie. To znaczy ja zasnęłam, znużona gadaniem, a on nie chciał mnie obudzić, więc został przy moim boku. Takie momenty życia są niepowtarzalne. Trzeba je chować głęboko w sercu, jak skarby darowane przez los.

\*

Następnego dnia wszyscy przenieśliśmy się na jacht. Nie mieliśmy zresztą wyboru. Upłynął równo tydzień i nasz pobyt w hotelu skończył się. Juan miał dołączyć do nas następnego dnia. Odprowadził nas na nabrzeże.

– Jutro rano wypływamy wcześniej! Wypróbujemy, co potrafi nasza łódka. – Jack nazywał tak pieszczotliwie nasz jacht. – Będzie też krótkie szkolenie dla nowych żeglarzy. O której dołączysz do nas jutro, Juan?

– Po pracy, koło siódmej wieczorem. Wcześniej nie dam rady. Może być?

– OK., nie spóźnij się! Przyplyniecie na siódmą. Iza przygotowuje coś polskiego na kolację!

Juan pomachał mi, posłał całusa i powiedział:

– *Take care, Inez! Hasta mañana!*

Odwrócił się i poszedł w kierunku miasta. Patrzyłam za nim, aż zniknął mi z oczu.

Dobre sobie z tym gotowaniem! Facet, kiedy tylko może, zaraz by zapędził kobietę do garów! Domyślałam się, że brakowało im dobrej kuchni. Z lenistwa od dwu dni byli na konserwach. Ale żeby zaraz mnie wrabiać? Świnie! Pod pretekstem kolacji dla gościa

zaprzęgli mnie do gotowania. Zadanie nie było trudne, bo na razie mieliśmy świeże zapasy. Potem może być gorzej. Dobra, chęć, to proszę bardzo! Mogę poświęcić się dzisiaj i błysnąć sztuką kulinarną! Wezmę pierwszy dyżur w kuchni, a potem niech się następni męczą. Na gotowanie poświęciłam parę godzin, ale miałam w tym swój cel. Przygotowałam hurtem takie ilości potraw, które miały zapewnić mi spokój przez następne kilka dni. Wystarczyło tego aż(!) na dwa. Nie wzięłam pod uwagę apetytów trzech chłopaków plus czwartego, który dołączył.

Tego dnia, oprócz gotowania, miałam możliwość wreszcie zawrzeć znajomość z naszą „łódką” i nacieszyć się nią. Chłopaki już się rozpakowali i czuli się jak u siebie.

Nasz śliczny jacht nazywał się „Viento” co znaczyło po prostu „Wiatr”. To było zbyt zwyczajne, więc w myślach od razu przezwalałam go „Pogromcą Wiatru”. Jak się później okazało, bardzo trafnie. Był szybki i zwrotny, a do tego prześliczny! Burty miał w kolorze jasnoblękitnym, około dziesięciu metrów długości i ponad trzy szerokości. Jednocześnie mógł pomieścić sześć do ośmiu osób.

Z kokpitu na rufie wchodziło się do salonu-mesy, połączonego z wnęką kuchenną. Po lewej stronie od wejścia mieściła się wspólna łazienka z prysznicem. Za nią właśnie ulokowano wnękę kuchenną. Była tam nawet mała wbudowana lodówka! Spiżarka i zbiorniki na wodę mieściły się pod spodem, dlatego salonik-mesa znajdował się wyżej niż kajuty na rufie. Do tych kajut wchodziło się bezpośrednio z mesy. Trzeba było tylko zejść trzy stopnie w dół. Były tam dwie identyczne sąsiadujące ze sobą kajuty, bez drzwi, tak, że można było z nich zobaczyć, co dzieje się w saloniku. W każdej mieściła się tylko dwuosobowa koja, oraz liczne szafki i półki. Kajuty na rufie zajęli Kapitan i chłopcy. Szerokie ławy w mesie mogły służyć jako dodatkowe miejsca do spania. Oczywiście wtedy, gdy nie były używane do siedzenia.

Do trójkątnej kajuty dziobowej wchodziło się również z salonu-mesy, z tym, że kajuta dziobowa znajdowała się na tym samym poziomie. Nie wiedziałam, że odegra to pewną rolę w nadchodzących wydarzeniach. Kajuta na dziobie była też jedynym pomieszczeniem zamykanym na drzwi. Miała własną mini-łazieneczkę z ubikacją i umywalką. Z tych wszystkich powodów przypadła mi do gustu i objęłam ją w posiadanie. Okazała się niezwykle przytulna – prawie cała wypełniona przez trójkątną koję. Oprócz niej były tam tylko szafki wbudowane w ściany wszędzie, gdzie się dało, i szerokie półki wzdłuż pośłania. W suficie znajdowało się jedyne okienko, przez które nocą będzie widać gwiazdy!

Następnego ranka w czasie śniadania zameldowałam wszystkim:

– Nasza łódka jest śliczna! A ja też chcę się uczyć żeglowania, nie tylko zajmować garami i myciem pokładu! – Upomniałam się o swoje prawa, i żeby ich przekonać, pochwaliłam się. – Ja już żeglowałam. Kiedyś nawet sama prowadziłam omegę!

– I co się z nią stało? – Wojtek najwyraźniej nie miał żadnego respektu dla moich wyczynów żeglarskich. – Pływa jeszcze?

– Jeśli jej nikt nie zatopił, to pływa i ma się dobrze.

– Dobra.– Powiedział Jack. – Przeszkolimy cię, damy ci trochę potrzymać szoty i ster!

– I proszę się nie śmiać, jeśli coś poprzekręcą! Jeszcze mi się mylą wszystkie te baksztagi, liki, spinakery, i inne rollery...

Żeglowanie na dużych nowoczesnych jachtach turystycznych nie przypomina prowadzenia małych żaglówek regatowych. Nie ma rumpla, tylko koło sterowe, żagli i głównych szotów nie obsługuje się ręcznie. W ogóle niewiele robi się ręcznie. Nie potrzeba aż tyle siły. Jest silnik motorowy, pełno urządzeń, elektroniki, autopiloty, radio, GPS-y, itd., które wszystko robią za człowieka. Mały drobiazg – trzeba to umieć obsługiwać i znać podstawy nawigacji. Wczoraj, gotując, z samouczkiem żeglarza podkszałcałam się z teorii żeglowania i nawigacji. Dziś tę wiedzę wykorzystam praktycznie.

Każdy z nas musiał zaznajomić się z obsługą wszystkich urządzeń na jachcie. Popływaliśmy po zatoce, aby podszkolić się praktycznie. Kapitan dał nam niezły wycisk! Dla Wojtka to była bułka z masłem, ale my z Jarkiem mieliśmy kołowrót! Mimo to nikt nie poskarżył się ani jednym słowem! Nareszcie mieliśmy prawdziwe zajęcie. Dopiero teraz poczuliśmy, że zaczyna się prawdziwa przygoda. Trzeba było słuchać komend Kapitana i działać. Jack zapowiedział:

– Jutro opłyniemy wyspę i staniemy na redzie od północy. Znam miejsce, gdzie można bezpiecznie przybić do brzegu. Proponuję, by wyjść na brzeg i urządzić rekonesans jaskiń. Nie ma objiania się, żarty się skończyły. Podzielimy obowiązki. Każdy robi, co do niego należy. Po dzisiejszym dniu jesteście na tyle przeszkoleni – tu spojrział na mnie i na Jarka – że każdy z was zna komendy, umie wykonać podstawowe manewry, odbić od nabrzeża, przybić, pociągnąć jacht na silniku, zacumować, a także obsługiwać radio i, w razie czego, wezwać pomoc. *Claro?*

– *Si, si*, Kapitan.

– Wiecie jak się zachować w różnych sytuacjach. Każde z was wie również, czego wam nie wolno robić, gdy jesteście na jachcie w pojedynkę. Wiecie, że od waszej sprawności i znajomości rzeczy zależy bezpieczeństwo nasze i łodzi. Jesteśmy odpowiedzialni za jacht i zdani tylko na siebie. Mam nadzieję, że nie będzie takiej potrzeby, ale w razie niebezpieczeństwa każde z was musi wiedzieć, jak postąpić.

– *Si, si*, Kapitan. Wiemy, jak się zachować w każdej sytuacji.

Nie wiedziałam wtedy, jak szybko słowa te okazały się prorocze! Niestety, nasze przekonanie, że jesteśmy przygotowani na każdą sytuację, nie sprawdziło się. Owszem, każdy z nas miał opanowane wszystkie standardowe procedury postępowania dotyczące jachtu. Niestety, żadna z nich nie przewidywała przygód, jakie mieliśmy jeszcze przeżyć na naszym ślicznym „Pogromcy Wiatru”.

Za nami tydzień spędzony na lądzie. Tydzień przygód i mocnych wrażeń. Zagadek, które nigdy nie zostaną rozwiązane. Ale to już nas nie obchodziło. Czekały nas nowe przygody. Tamte problemy zostały za nami.

Szybko okazało się, jak bardzo się myliłam!

## ***Rozdział 9. W którym zostajemy uwięzieni w jaskiniach ze skarbami***

Wieczorem zabraliśmy Juana na pokład. Witając się ze mną tak promieniał z radości, że trudno było tego nie zauważyć. Powód radości wyjaśnił się bardzo szybko.

– Zostaję z wami do poniedziałku, wziąłem sobie wolny dzień! Cieszysz się? – Szepnął mi do ucha.

– Nie, wcale! – Odpowiedziałam przekornie i z radości cmoknęłam go w policzek.

Ten wieczór wpisał się w moją pamięć jako kolejny niezapomniany. Najpierw usiedliśmy wszyscy na pokładzie. Opowiadaliśmy o wszystkim, co się dotąd wydarzyło. Juan nie przyniósł żadnych nowości w sprawie afery z wężem. Sprawa umarła śmiercią naturalną, po tym jak wyprowadziliśmy się z hotelu. Nie robiłam sobie wielkich nadziei, że kiedyś się wyjaśni. Teraz nie byłam już tak pewna, że było to czyjeś rozmyślne działanie. Może



rzeczywiście zwykły przypadek? Juanowi nie udało się też niczego wyjaśnić z Rasta Hardym, który zwyczajnie przepadł gdzieś od ostatniego spotkania. Czy był to dla nas dobry, czy zły znak? Wierzyliśmy, że dobry. Wreszcie udało się nam odczepić od drani, którzy nie dawali nam spokoju na ładzie.

Tego wieczora wcześniej rozeszliśmy się do kajut. Następnego dnia wypływaliśmy skoro świt, by dotrzeć do północnego wybrzeża. Tam mieliśmy stanąć na redzie i założyć naszą bazę wypadową. Stamtąd mieliśmy wyruszyć do jaskiń. W czasie, gdy my z Jarkiem byliśmy w hotelu, Kapitan i Wojtek skompletowali resztę brakującego wyposażenia i zapasów. Teraz mogliśmy spędzić na wodzie wiele dni bez zawijania do portu.

Dla mnie i Juana były to cenne wspólnie spędzone chwile. Przed nami kolejne dwa dni razem. A potem? Może następne, choć nie wiadomo bliżej, kiedy.

Wypłynęliśmy w morze o świcie. Trzeba było opłynąć wyspę od strony południowej i wschodniej. Kapitan obrał kurs dość oddalony od brzegu, bowiem było tam mnóstwo podwodnych skałek. Opływając wyspę z dala widzieliśmy jakieś miasto, a potem białe plaże, jeszcze puste o tej porze. Szczegóły wybrzeża widoczne były jedynie przez lunetę. Po ominięciu cypla wysuniętego na południowy wschód linia wybrzeża nabrała dzikiego wyglądu. Płaskie plaże zaczęły przechodzić w poszarpane skały, gdzieś tam tylko poprzecinane małymi splachetkami piachu, pustymi i bezludnymi. Wreszcie i one zniknęły – płynęliśmy wzdłuż wysokich, niegościnnych klifów, o które głucho rozbijały się fale. Żadnego miejsca nadającego się, by dobić do brzegu. Zauważyłam, że teraz zbliżyliśmy się bardziej do linii brzegowej. Zdaje się, że problem skałek przybrzeżnych przestał istnieć? Wysoki, skalisty brzeg sygnalizował głębsze wody przybrzeżne. Paradoksalnie, niegościnnie wybrzeże oznaczało bezpieczniejszą żeglugę.

W pewnym momencie Kapitan zmienił kurs i zawrócił. Zaczęliśmy płynąć w kierunku skał. Wszyscy wylegli na pokład, w napięciu obserwując wykonywane manewry. Z każdą zmianą halsu skały wyglądały coraz groźniej. Mina Wojtka potwierdzała moje obawy. Gdzie ten Kapitan płynie? Przecież tu nie ma gdzie przybić do brzegu. Rozbije nas o skały! Gdy już straciłam nadzieję, że wyjdziemy z tego cało, padła komenda, by zrzucić żagle. Teraz szliśmy prawie pełnym fordewindem, aż usłyszałam, że Kapitan uruchomił silnik. Najwyższy czas, skały były tuż, tuż! I wtem zobaczyłam, że ściana skalna jakby otwiera się. Wpływaliśmy do szerokiej, zacisznej zatoczki, osłoniętej skałami od otwartego morza.

Kapitan nie kłamał – znalazł to miejsce, w którym można było stanąć na redzie. Zaczumowaliśmy w miejscu, gdzie skalna ściana tworzyła małą naturalną platformę na wysokości burty. Wyrzuciliśmy odbijacze, chroniące burtę przed uszkodzeniem o skały. Miejsce było genialne – częściowo osłonięte skałami, niewidoczne od strony pełnego morza. A naturalna platforma skalna długości kilku metrów umożliwiała zejście na brzeg prosto z pokładu. Była jak naturalne moło, przy którym można było zacumować jacht lub łódź. Całą zatoczkę otaczał skalisty brzeg. Tylko w jednym miejscu, kilkanaście metrów dalej widać było małą kawałek piaszczystej plaży.

Po śniadaniu wzięliśmy przygotowane dzień wcześniej plecaki ze sprzętem i zeszliśmy na brzeg. Jak przedostaniemy się z tej skalistej platformy w głąb wybrzeża?

– Nie wiem, czy się orientujecie, że znajdujemy się w odległości pół kilometra w linii prostej od znanych wam jaskiń. – Objął nas Kapitan. – Z tej strony droga jest w linii prostej krótsza, ale trudniejsza. Uważajcie, żeby nie skrócić nogi na wstępie. Stąd trzeba wspinać się najpierw kawałek po skałach, zanim wydostaniemy się płaski teren. Trzymajcie się mnie, poprowadzę.

„Kawałek po skałach” to było kilkaset metrów kluczenia w trudnym terenie, głównie pod górę. To nie był szlak dla turystów, lecz mozolne wyszukiwanie umownej ścieżki wśród płataniny skał i głazów. Może to i dobrze, że przejście do jaskiń było tak trudne z tej strony? Przynajmniej byle zbłąkany turysta-gapowicz nie znajdzie naszego jachtu.

Do miejsca, w którym zaczynała się dróżka, szliśmy wszyscy, żeby każdy z nas mógł poznać drogę. Wojtek, na którego wypadła dziś wachta, miał wrócić na jacht i czekać na nasz powrót. Ktoś musiał zostać na jachcie. Dziś wypadło na Wojtkę. Nie można było pozostawić jachtu bez opieki na dłuższy czas. Zawsze ktoś miał trzymać wachtę, gdy reszta wyruszała na poszukiwania.

Na początek zaplanowaliśmy wypad jednodniowy. Mimo to wzięliśmy pełny ekwipunek, łącznie ze śpiworami, żelaznym zapasem żywności i wody, linami, latarkami, saperkami, itd.. Zawsze trzeba być przygotowanym na nieoczekiwany rozwój sytuacji i ewentualny biwak w skałach. Kapitan miał przy sobie plan i poprzednio zrobione własnoręcznie szkice. Zanim rozstaliśmy się z Wojtkiem, rozłożył mapę, szkice i zaczął objaśniać, jakie ma plany na dziś.

Potem Wojtek udał się z powrotem na jacht, a my szybko dotarliśmy do wejścia do jaskiń. Tym razem przyszlismy z przeciwnej strony niż poprzednio. Nie obawialiśmy się, by

nasze stroje i plecaki wzbudziły zdziwienie napotkanych ludzi. Na wyspie spotykało się turystów uprawiających trekking. Tamtego dnia była niedziela i o tak wczesnej porze nie spotkaliśmy na swej drodze nikogo.

Juan towarzyszył nam dzielnie. Najwyraźniej nie brał dotąd poważnie naszych poszukiwań. Poprzedniego wieczora z przejęciem opowiedziałam mu historię o piratach i ich skarbach. Okazało się, że słyszał o pirackim epizodzie w historii wyspy. Historię z grubsza znał, ale nie wierzył absolutnie w istnienie jakiegokolwiek skarbu. Szedł z nami dla przyjemności i towarzysstwa. Pewno w duchu uważał takich, jak my, za nieco pomyślonych.

Wejście było otwarte, jak zwykle. Kratę zamykali dopiero, gdy kończył się sezon. Zagłębiliśmy się w znaną nam jaskinię. Szybko dotarliśmy do pierwszej komory. Tu Kapitan ponownie rozłożył szkice. Po czym, z latarką w ręku zagłębił się w jedną z nisz, każąc nam czekać na powrót. Nie trwało to długo, może kwadrans.

– Korytarz idzie pod górę i kończy się lejem. – Powiedział po powrocie. – Trudno powiedzieć, jak głębokim. Trzeba by użyć lin, ale chyba nie warto. Trudno wyobrazić sobie, by piraci wspinali się po linach. Tu nic więcej nie ma, idziemy do drugiej komory.

Druga komora, oświetlona rozproszonym światłem słońca, wydawała się jeszcze bardziej tajemnicza. Jej obrzeża tonące w mroku wskazywały, że nie jest tworem zamkniętym. Jej środkowa część, zwieńczona otworami w skale, przez który wpadało światło, była wysoka na kilka metrów. Fakt, że docierało tu dzienne światło, przemawiał za tym, że jaskinie te mogły być używane jako schronienie. Było wysoce prawdopodobne, że właśnie tu przebywali piraci, a system korytarzy i pomniejszych jaskiń mógł kryć niejedną niespodziankę.

Na pierwszy ogień wybraliśmy niszę przechodzącą w szeroki korytarz. Żeby do niego wejść, trzeba było się nieźle zgiąć w pól. Potem było już lepiej, czyli wyżej. Założyliśmy kaski, które dotąd spoczywały przytroczone przy plecakach. Były nieocenione – uchroniły nasze głowy przed wieloma siniakami w kontakcie z nierównym, skalistym stropem. Kaski miały wbudowane latarki czołowe. Oczywiście, oprócz tego każdy z nas miał swoją latarkę, której mógł użyć w dowolnej chwili, według własnych potrzeb. Na razie jednak światło latarek czołowych wystarczało i oszczędzaliśmy baterie latarek ręcznych.

– Wchodzimy wszyscy i idziemy kolejno, dopóki będzie dość szeroko, lub nie natrafimy na jakieś odgałęzienie. Uważajcie, gdyż łatwo w takich miejscach pogubić się, nie

wiedząc nawet o tym. Patrzcie pod nogi, żeby nie wpaść w jakąś szczelinę i nie skreślić nogi na tych kamieniach.

Posuwaliśmy się do przodu wolno i ostrożnie. Cały czas miałam wrażenie, że nie jesteśmy sami. Po kilkudziesięciu metrach strop znów obniżył się, tak że szliśmy zgięci wzdłuż. Trzeba było uważać, aby nie walić ciągle kaskiem o strop. Potem korytarz rozszerzył się i w świetle laterek ujrzeliśmy dwie odnogi – ziejące mrokiem czeluście. Kapitan stanął i coś tam pomruczał. A potem wyjął rodzaj kredy i zrobił duże L przy wejściu lewym, szerokim i niskim, a R – przy prawej odnodze. Poświecił w każdy z korytarzy, i, nie wiadomo, dlaczego, wybrał prawy.

Czuliśmy się trochę nieswojo. Im bardziej zagłębialiśmy się w ten skalny labirynt, tym bardziej czuliśmy ciężar tysięcy ton kamienia nad naszymi głowami. Tkwieliśmy w środku całej tej formacji skalnej. Założę się, że nikt oprócz Kapitana nie wiedział, w którym miejscu wyspy jesteśmy. Zachowywaliśmy maksimum ostrożności, wiedząc, że wszyscy, poza Jackiem, jesteśmy tu nowicjuszami. Teraz znów korytarz w skałach stał się i szeroki, i wysoki. Szło się wygodniej, za to otaczająca nas cisza była przerażająca. Każdy wydawany przez nas odgłos, czy to szept, czy stukot potraconego kamienia, odbijał się głucho od skał i potęgował. To zjawisko nasilało się miejscami. Każdy z nas zachowywał się jak mógł najciszej.

W tej ciszy cały czas czułam czyjąś obecność. Boże, kiedy to się skończy? W pewnym momencie nadepnęłam na coś miękkiego i skierowałam tam natychmiast latarkę. Z gardła wyrwał mi się zduszony okrzyk:

– Boże! Tu ktoś leży! – W świetle latarki stare, rozpadające się szmaty i leżące obok buty przybrały postać człowieka.

– Spokojnie, to tylko stare szmaty.– Jack był spokojny i opanowany.

Mój okrzyk wywołał nagle jakiś ruch pod kopułą i narastający szelest. Odruchowo skierowałam tam światło latarki. Kilka metrów nad nami zobaczyłam nagle dziesiątki, może setki wiszących nieruchomo kształtów. To były nietoperze! Nagle coś obcego otarło się o moje ramię. Usłyszałam cichutki, ale okropny pisk. Juan schwycił mnie i przytrzymał. Całe szczęście, bo byłabym się wyłożyła i potłukła boleśnie o skały. Kapitan upomniał, żeby nie świecić do góry. Poczekaliśmy, aż wszystko się uspokoi i poszliśmy dalej. Dobrze, że tylko na tym skończyła się moja pobudka dla nietoperzy.

– To może oznaczać, że idziemy w dobrym kierunku... Rozglądajcie się tym uważniej.

Straciłam kompletnie orientację. Nie miałam pojęcia, w jakim kierunku się posuwamy. Na północ? Wschód? Zachód? Doszliśmy do kolejnej nieforemnej jaskini, z której otwierało się tylko jedno wyjście. Wszechobecna ciemność zaczęła nas przytłaczać. Coraz częściej zadawałam sobie pytanie, kiedy to się wreszcie skończy. To nie to samo, co nasz podziemny rekonesans sprzed kilku dni. Tamto, to była bułka z masłem, w porównaniu z dzisiejszą dawką mroku, ciszy i zagubienia. Już tęskniłam za słońcem i wiatrem. To był mój (nasz?) pierwszy kryzys.

– Co robimy? – Zapytał inteligentnie Jarek.

– Jak tam wasza kondycja? – Spytał Jack. – Fizyczna i psychiczna, rozumie się? Zmęczeni? Zniechęceni? Coś dolega?

– Nic a nic! – Odpowiedziałam w imieniu wszystkich.

– Póki droga jest prosta i łatwa pójdziemy, jak daleko się da. Prawdziwe trudności jeszcze przed nami.

Aha, to była prosta i łatwa droga! Super! Teraz korytarz niósł nas w dół i trzeba było wręcz hamować, żeby się nie rozpędzić. Nagle usłyszeliśmy Jacka:

– Stać! Uwaga! Zatrzymajcie się! – Okazało się, że korytarz nagle kończył się lustrem wody. Nikt nie miał ochoty próbować, co kryje tafla wody, do której o mały włos nie wpełchnęliśmy naszego Kapitana. Omietliśmy tylko ostrożnie ściany światłem latarek.

– Nie ma rady, wracamy. Dziś nie będziemy sprawdzać, czy jest coś dalej.

Zrobiliśmy w tył zwrot. Teraz szliśmy w odwrotnej kolejności – pierwszy szedł Jarek. Odwrotnie, niż przed chwilą, trzeba było wchodzić nieco pod górę. To było trudniejsze i zajęło nam więcej czasu. Wróciliśmy do rozwidlenia. Tam zrobiliśmy krótki postój, napiliśmy się wody i poszliśmy tym razem na lewo. Ta odnoga była szeroka, ale niska. Dopiero po paru metrach prześwit stał się wyższy i wygodniejszy. Na tyle, że zapomnieliśmy o ostrożności i patrzeniu pod nogi. Trwało to, dopóki głos Jarka nie przerwał ciszy:

– Cholera! – Równocześnie słysząc było odgłos czegoś spadającego. – Ja cię kręcę! Co to jest? Co mnie podkusiło chodzić po tych dziurach!

Gadał, więc żył. Zatrzymaliśmy się, bo Jarek zniknął z pola widzenia. To znaczy, z zasięgu naszych latarek. Jego głos dolatywał do nas z prawej strony, trochę z dołu. A tam ziała czarna dziura.

– Jarek, gdzie jesteś? Co się stało? Czy wszystko w porządku? – mimo iż, nikt nie krzyczał, nasze głosy dudniły niesamowicie w tej ciszy.

– Chyba w porządku. Ale nie wiem, bo gdzieś zgubiłem latarkę. Czołówka mi nie świeci. Gdzie ja jestem?

Jasne, on nas pytał, a my jego! Świeciliśmy latarkami w dziurę, aż dostrzegliśmy parę metrów niżej gramolącego się naszego przyjaciela. Całe szczęście, że nie było tu stromo. I że pochylnia nie kończyła się na przykład głęboką szczeliną. Inaczej byłoby po Jarku.

– Poświećcie mi tu! Może znajdę latarkę. – Po chwili wykrzyknął – Mam! Cholera, tu jest jakieś przejście! O kurcze! Moja ręka...

– Dasz radę wyjść o własnych siłach? Rzucam ci linę i schodzę do ciebie. Owiążesz się w pasie, wyciągniemy cię!

Kapitan zsunął się na „dno” pochyłości, asekurując się liną. Chciał pomóc Jarkowi, który stłukł sobie rękę, a poza tym sprawdzić, co to za przejście odkrył przypadkowo Jarek. Cała ta operacja trwała i trwała, aż w końcu wygramolili się, najpierw Jarek. Opatrzyliśmy mu nadgarstek, który na szczęście nie był złamany. Po kilku minutach wynurzył się Kapitan. Odetchnęliśmy z ulgą, bo już zaczęliśmy się o niego niepokoić. Jarek zapytał:

– Co tak długo? Znalazłeś jakieś przejście?

– Nie, ale znalazłem coś innego. Wiesz co, stary, chyba jesteś wyjątkowym szczęściarzem! To może być dobry trop. Popatrzcie, co znalazłem...

Skierowaliśmy na niego nasze latarki. To, co zobaczyliśmy, było tak nieoczekiwane, że nikt nie wierzył własnym oczom. Tak, jakbyśmy zapomnieli, po co tu przyszliśmy. A jednak, duchy podziemi nam sprzyjały! Nie wierzyliśmy własnym oczom. Na dłoni Kapitana lśniła... MASYWNA, ŻŁOTA BRANSOLETA! W dodatku pociemniała, jakby leżała tu od dawien dawna.

– Stara robota.– Powiedział Jack. – Piękna, może pochodzić z tamtych czasów...

– Pokażcie, ja nic nie widzę! – To Jarek, który przyczynił się do odkrycia, nie mógł się dopchać. Z niedowierzaniem oglądaliśmy wytłoczony motyw roślinny. Nawet laik musiał zauważyć, że bransoleta nie pochodzi od współczesnego złotnika.

– Żłota... – Powiedział Jarek. – Chyba prawdziwa?

– Pogięta i porysowana. – Powiedziałam i spróbowałam jej dotknąć koniuszkiem palca. Moje ciało przebiegł dreszcz. Zobaczyłam w tej chwili oczami wyobraźni jej właścicielkę – piękną Rositę, jak dotyka jej mając podobny błysk w oku. A potem nakłada na rękę. Otrząsnęłam się. Tylko nie dać się zwariować. Atmosfera tych podziemi udzielała się każdemu z nas.

– Obejrzymy dokładnie po powrocie, teraz w drogę. Dajcie mi zaznaczyć to miejsce, bo jeszcze tu wrócimy. – Powiedział Jack, po czym wyjął szkic i coś tam naskrobał w niewyraźnym świetle.

Tak natknęliśmy się na pierwszy namacalny ślad opowieści o ludziach i skarbach, które tu ukrywali. Czy znaleziona bransoleta wskazywała drogę do skarbu? Czy była tylko zgubą kogoś, kto tędy przechodził? Być może tak obładowany złotem i klejnotami, że nawet nie zauważył zguby.

Wyruszyliśmy w dalszą drogę. Po następnych kilkunastu metrach natrafiliśmy na zwięźenie. Przejście miało postać wąskiej pionowej szczeliny.

– Iza, spróbuj, czy przejdiesz. Z nas tylko ty masz szansę się przecisnąć.

Fakt. Może jeszcze Wojtek miałby szansę, jako najszczerplejszy z nich. Oczywiście, gdyby był z nami. Udało mi się przejść, ale musiałam zdjąć plecak. Wzięłam tylko latarkę.

– Jak tam dalej? Dasz radę? Jest przejście?

– Jest w sam raz szeroko. Mogę dotknąć ścian rękami. Mam iść dalej?

– Idź jeszcze kawałek, tak daleko, jak dasz radę. Uważaj, czy jest tylko jedna droga, inaczej zabłądzisz. Nikt z nas tu się nie zmieści, żeby ci przyjść z pomocą. Gdyby coś było nie tak, od razu wracaj.

Wysłali mnie zupełnie samiotką! Przeszłam dopiero parę kroków, a już poczułam się strasznie zagubiona. Słyszałam ich, jak co jakiś czas pytali mnie przez szczelinę, jak tu jest. Odpowiadałam, że dobrze, ale nie było tak dobrze. Ta ciemność była jak czarny klej oblepiający całe ciało.

O kurcze, co to? Kto tu jest? W pierwszej sekundzie wydawało mi się, że ktoś mnie walnął w czoło. O mały włos nie upadłam. Spięłam się cała, przygotowana na atak, ale nic się nie działo. Skierowałam latarkę w górę... No jasne, sama walnęłam kaskiem o wystającą skałę. Zapomniałam, że to nie wysoki sufit. Zaraz za szczeliną korytarz skręcał w prawo. I nagle poczułam, jak moja lewa noga potraça coś, co się poruszyło. A właściwie rozsypało. Usłyszałam grzechot i zmartwiałam. Skierowałam tam światło latarki... Jezuuu, TRUUUP!

Co robić? Boże! Byle tylko nie zemdleć! Bo tu nikt mi nie pomoże!

Światło latarki odśloniło widok makabryczny. Właściwie to nie był trup. Wiszące strzępy ubrania sprawiały takie wrażenie. To był kościotrup. Powleczone wyschniętą skórą i zakonserwowany przez klimat jaskini. Zdaję się, że siedział tu od dawien dawna. Nogi były w rozsypce – aha, to ja przed chwilą potraçałam je, zakłócając spokój nieboszczyka.

Uciekać! Byle z powrotem, jak najdalej od tych szczątków. Ciało odmówiło posłuszeństwa, nie mogłam się ruszyć z miejsca. Opanuj się dziewczyno! Bo dostaniesz zawału serca ze strachu i po latach znajdą tu dwa kościotrupy! Przecież skoro to kościotrup, to nie może się ruszać. Nic ci nie zrobi! Utknął tu, nie mogąc przedostać się przez szczelinę i został na zawsze. Chyba przedtem krzyknęłam bezwiednie, bo usłyszałam z daleka:

– Iza, co się dzieje? Odezwij się!

– Nic, żyję, spoko! – Odpowiedziałam i, nie pamiętam jak, strach zaniósł mnie z powrotem do szczeliny, przy której czekali. Zaczęłam się przeciskać chaotycznie, jakbym obawiała się, że jaskinia nie wypuści mnie. Byle się przedostać! Inaczej zostanę tu na zawsze, jak tamten...

– To, to, tam, to – jęczałam bezsensownie. – Tam to trup!!! To znaczy, nie trup, tylko kościotrup!

– Już dobrze, Inez! – Jak dobrze, że Juan był z nami! Objął mnie i uspokajał. Jego ramiona podziały kojąco i w końcu przestałam się jęczać. Po chwili byłam w stanie opowiedzieć, co widziałam.

Nie potrafiłam określić, do kogo należały napotkane szczątki. Może do jednego z piratów? A może do jakiegoś współczesnego turysty lub pechowego poszukiwacza? Resztki stroju, jaki miał na sobie, nic mi nie mówiły. Zresztą, trudno wymagać, żebym się przyglądała dokładnie!

– Może te kości są kolejnym drogowskazem, że jesteśmy na właściwym tropie? – Zastanawiał się głośno Kapitan. – Tędy nie przejdziemy, ale wrócimy tu jeszcze. Na dziś dość wrażeń, a poza tym zrobiło się późno. Nie będziemy zaczynać nowej drogi. Wracamy, zanim na zewnątrz zapadnie ciemność.

Trzeba było wracać. W ciągu tych godzin spędzonych pod ziemią straciliśmy poczucie czasu. Zegarki wskazywały, że nadchodził wieczór. A może czas pod ziemią płynie inaczej? Gdy w drodze powrotnej dotarliśmy do komory z „oknem” w skale, była pogrążona w półmroku. Docierało jeszcze światło dzienne, ale słońce już było nisko. Niedługo zapadną ciemności, od razu głębokie, jak to bywa w tropikach. Pospieszyliśmy do następnej komory, z której już blisko było do wejścia (czy wyjścia, jak kto woli). Spieszyliśmy się, żeby jak najszybciej pokonać drogę do jachtu. Szczególnie ostatni odcinek po skałach był niebezpieczny w ciemnościach. Przed nami ostatni korytarz, który miał nas wyprowadzić na powierzchnię.



I tu czekała nas przykra niespodzianka! Gdy dotarliśmy do wejścia, krata okazała się zamknięta! Co jest do licha? Przecież nie zamykają jej na noc! A jeśli tak, to dlaczego nie sprawdzają, czy wszyscy wycieczkowicze opuścili jaskinie? Staliśmy u tej kraty, jak zbaranieli, zastanawiając się, co dalej. Szarpanie nie dawało rezultatu. Krata była masywna. Nie chciało nam się biwakować w jaskiniach. Wyłamanie – to była ostateczność. Zaczęliśmy obmacywać ją w poszukiwaniu jakiejś kłódki, czy innego zamknięcia. I wtedy usłyszeliśmy daleko na zewnątrz jakieś głosy. W półmroku zamajaczyły dwie męskie postacie. Kapitan zaczął wołać:

– *Hola, hombres!* Umiecie otworzyć? Wypuście nas! Albo zawołajcie kogoś.

Głos, który usłyszeliśmy, pozbawił nas wszelkich złudzeń:

– *Senores buscadores*, koniec poszukiwań! Ostrzegano was, żeby się wynieść. Skarby... (tu coś w *papiamiento*). Teraz wy szukacie innego wyjścia! Wasze kości zostaną tu na zawsze. Wy tam siedzieć, nikt nie wypuści! – W głosie słychać było tryumf. – Wy już nigdy nikomu nie zabieracie skarby!

Głos znajomy, który już raz słyszałam! Którego nie dało się pomylić z żadnym innym. tak jak Wojtek, nie zapomnę go do końca życia. Ten głos wróżył kłopoty. Tylko, co on wygadywał w tej swojej angielszczyźnie pomieszanej z miejscowym dialektem?

I nagle usłyszeliśmy inny głos, stanowczy, i nie znoszący sprzeciwu:

– Czy ja cię nie ostrzegalem, Harry, że będziesz miał ze mną do czynienia, jeśli nie zostawisz w spokoju naszych gości?! Wypuść nas w tej chwili, bo pożałujesz, że mnie znałeś!

To mówił nasz detektyw! I o dziwo, reakcja była natychmiastowa.

– *Señor Porter* tutaj? Ja nie wiedział, że *usted y señores* razem tutaj... – W głosie Harry'ego słychać było zaskoczenie i przesadną grzeczność. – *Si, si, señor*, zaraz coś robimy. Wołamy kogoś... strażnika, otwieramy. *Tonta guardia*, zamyka, gdy gość w środku!

Potok słów, obwiniający głupich strażników, wylewał się z jego ust. Jednak nic nie robił, żeby otworzyć. Jakby grał na zwłokę, nie wiedząc, co robić. Czy zamknięcie nas to nie był kolejny jego numer? Nie wziął pod uwagę, że detektyw może być z nami. Gadał jak naćpany, ale przedtem wygadał się, nie wiedząc, że Juan jest z nami. Chyba jednak był naćpany, a głos Juana tylko na chwilę go otrzeźwił. Mogliśmy się spodziewać najgorszego.

W tej chwili usłyszeliśmy tupot nóg. To jego towarzysz wołał uciec i nie ryzykować spotkania z detektywem.

– Czy ty głuchy jesteś, synu zombie? Nie słyszysz, co do ciebie mówię? Jeszcze nie otwierasz? – W głosie Juana słyhać było złość. – Jeśli sam będę musiał rozwalić tę kratę, to następny będziesz ty!

– *Si, si, señor*, już otwieram. Nie ma kluczy. Głupi strażnik uciekł...– Głos Harry’ego stał się teraz płacziwy. Wynikało z tego, że ten drugi to był strażnik, w zмовie z Harrym.

Wreszcie masywny zamek zachrobotał i byliśmy wolni. Juan doskoczył do Harry’ego i złapał go za koszulę:

– Ostrzegalem cię, ale ty nie słuchasz! Wynoś się natychmiast z wyspy! Jeśli cię jeszcze raz tu zobaczę, przysięgam, że cię wywiozę i osobiście wrzucę do wody na środku morza! Jeśli jeszcze raz wejdiesz mi w drogę...

– *Si, si, señor!* Wolny Rasta – dobry człowiek. Może być tu i może iść wszędzie. Na cały świat. Nikt nie mówi mu, gdzie ma być, i co robić...

– Ale ja, jako wolny obywatel tej wyspy, nie życzę sobie, żebyś tu był. Nie jesteś obywatelem tej wyspy. Mam prawo nie życzyć sobie oglądać takich typów jak ty! Zjeżdżaj!

Harry odwrócił się i rzucił się do ucieczki. Ruszyliśmy w drogę powrotną. Ściemniało się i droga stała się bardzo uciążliwa. Trzeba było nieźle uważać, żeby się nie zgubić, albo nie skrócić nogi. Ostatni odcinek wśród rumowiska był najgorszy.

Wojtek zaczął niepokoić się naszym spóźnieniem. Przywitał nas na pokładzie po swoim.

– O tej porze? Myślałem już, że zostaliście w jaskiniach na noc.

– Wolimy twoje towarzystwo, niż wszystkie skarby! Biegliśmy, co sił w nogach. Myśleliśmy, że będziesz się bał sam na łodzi! – Dogadywałam mu.

– Bał? Nie ma strachu, damy radę! Co tam? No, gdzie te skarby z jaskiń? Pokażcie!

– No to patrz! – Jack wyjął znalezioną bransoletę. – I co? Nie wierzyłeś!

Wojtek chyba był rzeczywiście zaskoczony, ale trzymał fason.

– Może być! To wszystko? Tylko tyle? Gdzie reszta skarbów?

– Reszta czeka na ciebie! Dawaj jeść, bo umieramy z głodu.

Przy kolacji opowiedzieliśmy, co nas spotkało. Znalezioną bransoletę Jack schował do sejfów w swojej kajucie. A potem wszyscy padliśmy ze zmęczenia. Nie wiem nawet, kto trzymał nocną wachtę.

Dzień wstał piękny, jak wszystkie poprzednie. Pora deszczowa spóźniała się. Ranek spędziliśmy na leniuchowaniu. Po wczorajszych przejściach należał nam się odpoczynek.

Kapaliśmy się w zatoce i wylegiwali na maleńkiej spłachetce piachu pomiędzy skałami. Po południu popłynęliśmy z powrotem do portu, żeby odstawić naszego detektywa. Kto wie kiedy znowu dopłyniemy do siedzib ludzkich. Dalsze poszukiwania zapowiadały się obiecująco i pracowicie. Ja zaś żegnałam się z moim Juanem na... no, nie wiem na ile, może tym razem już na zawsze? Tego się nigdy nie wie. Usłyszałam na pożegnanie:

– Inez, teraz muszę wracać, ale niedługo znów się zobaczymy. Ostatniej nocy nie mogłem spać. Wszystko sobie przemyślałem. Mogłabyś zostać dłużej ze mną. Tu, na wyspie.

– Wziął mnie w ramiona i popatrzył mi w oczy: – Pomyśl nad tym! Przecież nie musisz szybko wracać do kraju. Możesz przedłużyć pobyt. Zostaniesz pod moją opieką. Porozmawiam z twoimi przyjaciółmi, jeśli się zdecydujesz...

– No, nie wiem, nie myślałam o tym...

– Więc pomyśl. Jak zakończycie poszukiwania, możesz zamieszkać u mnie. Odstąpię ci mój pokój w hotelu, żebyś czuła się swobodnie. Ja mogę w tym czasie mieszkać u matki. Potem coś wymyślimy.

– Po co mam zostać, jeśli zostawisz mnie samą w twoim mieszkaniu? A ty będziesz spędzał dni w pracy, a noce u matki?

– Jeśli zechcesz, zostanę z tobą. Tylko to moje mieszkanko jest małe. Nie zmieścimy się tam oboje. – Zażartował (jaki miał piękny uśmiech!). – Nie chciałem cię krępować, a bardzo mi zależy, żebyś została jak najdłużej. W takim razie może zamieszkaasz z moją matką i siostrą.

– Ale wymyśliłeś! No, dobrze, zastanowię się nad twoimi pomysłami. A na razie, *hasta luego!* Kiedy się znów spotkamy? Dołączysz znów do nas?

– Postaram się, ale nie wiem, kiedy znów będę mógł wziąć wolny dzień. Nie wcześniej, niż za kilka dni. Będziemy w kontakcie. Dzwoń, jak tylko będziesz miała zasięg. Chcę cię przynajmniej słyszeć codziennie. Ja też będę dzwonił, dobrze? Naprawdę chcę, żebyś została ze mną.

– Ty też to przemyśl. To wszystko jest takie nieoczekiwane...

– *Hasta luego, mi cariña.*

Pocałował mnie, odwrócił się i oddalił szybko. Patrzyłam za nim i nie mogłam oderwać oczu. Czy cię jeszcze zobaczę, *mi cariño*? Jak dobrze, żeśmy się spotkali. Nawet gdybyśmy mieli się więcej nie zobaczyć (czego, oczywiście, wcale sobie nie życzyłam!), znajomość nasza pozostanie skarbem znalezionym w tej podróży!

Jeszcze tego samego wieczoru popłynęliśmy z powrotem do naszej zatoczki. Jutro od rana dalszy ciąg wyprawy do jaskiń. Tym razem Kapitan wyznaczył mnie do pilnowania jachtu. Udzielił mi ostatnich wskazówek:

– Pamiętaj dziewczyno, bez strachu i bez brawury. Tu jest pustkowie, a o tej przystani mało kto wie. Gdyby jednak ktoś tu dotarł drogą morską lub lądową, bądź ostrożna. Jeśli by ci zagrażał, wezwij pomoc przy pomocy komórki, lub radia na jachcie. Bądź w kontakcie z Juanem. Broń Boże, nie wypływaj sama bez absolutnej konieczności. Nie bój się, nic się nie może stać. Mówię to wszystko tak, na wszelki wypadek, bo cóż tu się może stać?

Gdyby im przyszło do głowy, co może wydarzyć się na takim pustkowi, nie zostawiliby mnie samej na wachcie! Rano wyruszyli skoro świt. Zabrali również komplet sprzętu do nurkowania. Jack postanowił zbadać podziemne jeziorko.

Tymczasem uprzedził mnie:

– Może się zdarzyć, że nie skończymy przed nocą i przenocujemy w jaskiniach. Tak na wszelki wypadek, jeśli nie wrócilibyśmy po upływie 48 godzin, i nie dalibyśmy żadnego znaku życia, musisz wezwać pomoc, najlepiej drogą radiową. Pamiętasz jak obsługiwać radio? Jeśli będzie zasięg, w pierwszej kolejności zawiadom Juana.

Zeszli na ląd i zniknęli wśród skał. Zostałam sama, samiutka jak palec. Poczułam się trochę nieswojo. Dopiero pełne słońce rozproszyło moje przygnębienie. Wykąpałam się w morzu, zjadłam śniadanie i położyłam na pokładzie, żeby się poopalać. Nadchodzące południe wyгнаło mnie pod pokład. Nie chciałam ryzykować udaru, zostając cały dzień na ostrym słońcu.

Co można robić przez cały dzień na pokładzie jachtu? Owszem wiele, jeśli jacht jest zamieszkały. Ale jeśli jest pusty? Zrobiłam klar na pokładzie i zabrałam się za gotowanie. Po popołudniu popłynęłam wpław na maleńką plażę, widoczną między skałami. Wpław było to nie więcej niż sto metrów od jachtu. Zatoczka była spokojna, rekinów nie było widać, więc przeżegnałam się i wskoczyłam do wody. Woda była tu zadziwiająco ciepła. Poleżałam trochę na piasku, wspominając, jak wczoraj biegałam tu z Juanem. Nie tracąc jachtu z oczu, zrobiłam mały rekonesans po okolicy. Opłaciło się, bo znalazłam nawet przejście lądem z plaży po skałach, aż do miejsca zacumowania jachtu. Widziałam go z góry, jak stał sobie spokojnie na redzie. Wokół nie było żywej duszy. Nikt nie zdaje sobie sprawy, jak dłużą się samotne godziny oczekiwania, dopóki sam tego nie doświadczy.

Wylegając się, myślałam nad tym, co mówił Juan. Żebym została z nim na wyspie. Bardzo tego chciałam, ale musiałam wziąć pod uwagę różne rzeczy. Praca nie wiązała mnie – nie pracowałam na etacie. Jeśli nie byłam potrzebna do tłumaczenia na żywo, pracowałam w domu przy komputerze. Zresztą firma korzystała z usług kilku tłumaczy, nic się nie zawali, jeśli jednego ubędzie. Żadne rodzinne sprawy też nie stały na przeszkodzie. Więc co? Teoretycznie mogłam tu zostać od zaraz, ale decyzja nie była łatwa. Co tu będę robić? Trzeba znaleźć pracę. To była ta łatwiejsza część. Najważniejsze było pytanie, czy warto? Czy warto przestawiać sobie kawałek życia dla tego konkretnego faceta. Jasne, że nie podejmowałam tym samym decyzji na całe życie. Ani ja nie byłam na etapie związku na całe życie, ani znajomość z Juanem nie była wystarczająco długa. Z drugiej strony czułam, że warto spróbować, że Juan jest tym właściwym mężczyzną, a rezygnacja mogłaby być utratą szansy na stworzenie wartościowego, trwałego związku. Z drugiej strony, nie warto zawracać sobie głowy, jeśli potem okaże się, że nie jesteśmy dla siebie. Nigdy nie wiadomo z góry, jak nam się ułoży. Więc jak mam zdecydować? Mam zaryzykować dla niego?

Postanowiłam zadzwonić do sprawcy zamętu w mojej głowie. Na szczęście na brzegu zasięg, więc Juan odebrał:

– *Hola, mi cariña! Como estas?*

Po wymianie powitań od razu wyłożyłam mu moje przemyślenia z ostatniej godziny. O dziwo, zgadzał się ze mną całkowicie. Ze dla jednego cudownego miesiąca nie warto wywracać całego dotychczasowego życia. Jednak cały czas podtrzymywał swoją propozycję, bym została. Powiedział:

– Inez! Nie mogę ci obiecać w tej chwili, że będziemy razem całe życie. To nie byłoby poważne i odpowiedzialne z mojej strony. Skłamałbym, gdybym ci to obiecał. Nie wiem jak długo będziemy ze sobą, bo żadne z nas nie wyznacza sobie takiej granicy, prawda? Natomiast wiem na pewno, że jesteś tą właściwą osobą. Jeśli nie przegapimy tej szansy, możemy być ze sobą szczęśliwi. Nie chcę cię stracić. To wiem na pewno. Jeśli ty też tak czujesz, postarajmy się, by to było możliwe.

Jasne, że tego chciałam. Tylko, że to ja miałam cholerny problem. To ja miałam rzucić całe dotychczasowe życie. Całe to jego przekonanie i wsparcie niewiele mi pomogło w podjęciu decyzji. Dobrze, mam jeszcze trochę czasu. Nie ma sensu martwić się na zapas.

Zjadłam kolację i zaczęłam wyglądać przyjaciół. Zapadł zmrok, a oni nie wracali. To mogło równie dobrze oznaczać, że poszukiwania idą pełną parą, jak kłopoty. Może znów coś

lub ktoś ich zatrzymał? Przypomniał mi się Rasta Harry. Chyba nie odważy się znów coś wykręcić? Niestety, gdy byli w jaskiniach, nie było z nimi żadnego kontaktu. Zasnęłam wreszcie zmęczona odgadywaniem, co ich mogło spotkać.

Ukołysał mnie jednostajny szum morza. Drzwiczki mojej kajuty na dziobie zostawiłam otwarte, żeby móc obserwować całą łódź. Leżąc na moim poślaniu miałam na oku cały pokład, wejście z kokpitu, wejście do kajut na rufie, a nawet kawałek brzegu. Spałam niespokojnie. Ocknęłam się, gdy było jeszcze ciemno. Zaczęłam nasłuchiwać. Było cicho. Nic, tylko jednostajny szum morza, przerywany od czasu do czasu pluskiem wody uderzającej o kadłub łodzi.

Usiadłam na poślaniu i rozejrzałam się, upewniając się, czy wszystko w porządku. I wtedy coś zobaczyłam. Trudno powiedzieć, co to było. Zdawało się, jakby leciutka, poranna mgła, snująca się po wodzie, zaczęła wpełzać na pokład. Zamajaczyła w niej niewyraźna postać kobieca. Przeszedł mnie dreszcz i zamarłam. Postać płynęła bezszelestnie. Z kokpitu mgielka wpełzła do mesy, a potem do kajut na rufie. Po chwili zobaczyłam, jak wynurzyła się z kajuty i popłynęła na pokład. Wtedy zatrzymała się na chwilę i odwróciła w moim kierunku. Położyła palec na ustach, jakby chciała mi coś przekazać. A potem rozplynęła się w ciemności.

Poznałam ją! To była ona, Rosita! W ciemności nie było widać żadnych rysów twarzy, ale poznałam ją. Zjawa miała długie do ziemi jasne włosy, które okrywały ją jak suknia. Przeszedł mnie dreszcz. Była tak realna! Czy to był sen czy jawa? Strach sparaliżował mnie i nie mogłam się poruszyć! Nie pamiętam, co działo się dalej, lecz gdy się obudziłam, świeciło. Przez otwór w suficie mojej kajuty wpadała różowa poświata. W świetle poranka byłam prawie pewna, że nocna zjawa była wytworem mojej wyobraźni. Kolejny znaczący sen? Jeśli tak, przed czym chciała mnie ostrzec, kładąc palec na ustach? Wstałam zupełnie rozbita. Na wszelki wypadek sprawdziłam wszystkie pomieszczenia. Wszystko było nietknięte. A więc na pewno nie było tu w nocy nikogo.

Następny dzień dłużył się jeszcze bardziej. Powoli zaczął wkradać się niepokój. Po południu włóczyłam się po nabrzeżnych skałach, ciągle wyglądając przyjaciół. Czemu nie wracają? Jutro rano minie 48 godzin od ich wyjścia i trzeba będzie zawiadomić... No, właśnie, kogo? Policję? Nie napawało mnie to optymizmem. Trzeba będzie powiedzieć, gdzie wyruszyli i po co. Więc może lepiej zawiadomić Juana? Tak, to dobry pomysł. Już on coś wymyśli. A może wrócić? I nie trzeba będzie nikogo zawiadamiać?

Położyłam się na pokładzie, i opalałam się w ciepłym popołudniowym słońcu. Chyba się zdrzemnęłam, bo kiedy się ocknęłam, słońce schowało za skały na zachodzie. Zatoczka pogrążyła się szybko w mroku. Nagle coś mnie tknęło i zerwałam się na równe nogi. Z pokładu rozejrzałam się dokoła. I wtedy go zobaczyłam...

Nie, to nie może się dzieć naprawdę! Czy znowu śnię? Czy to jakaś tropikalna choroba, te majaki i przywidzenia? Zadawałam sobie te pytania, bowiem na tle ciemniejącego na wschodzie nieba ujrzałam majestatycznie wpływający do naszej zatoczki dwumasztowy...  
**PIRACKI ŻAGŁOWIEC!**

## ***Rozdział 10. Potwierdzający, że prawdziwi piraci nie wymarli***

Jeśli to, co widziałam, działo się naprawdę, piracki bryg, jakby żywcem przeniesiony tu z czasów konkwisty, wpływał do naszej zatoczki. Skąd wiedziałam, że to piracki bryg? Nie stanowiło dla mnie większego problemu odróżnienie brygu od szkunera czy fregaty. Dwumasztowe brygi były ulubionymi statkami piratów i korsarzy ze względu na swoją szybkość i zwinność manewrowania. Chociaż nie mogłam dojrzeć gołym okiem bandery, rozpoznałam sylwetkę tego samego statku, który zwiedziłam kilka dni temu w porcie. A jeśli tak, to musieli tam być piraci, ci sami, których spotkałam na pokładzie. Pobiełam po lunetę, by potwierdzić swoje przypuszczenia.

Na pierwszy rzut oka wydawało się, że statek jest martwy i stoi w miejscu. Dopiero przez lunetę mogłam zauważyć ruch na pokładzie. To załoga zrzuciła żagle. Jak to się stało, że zauważyłam go dopiero teraz? Tak, to prawda, tkwiąc tu w zatoczce, nie miałam pełnego przeglądu, co się dzieje na otwartym morzu. Nie miałam szans zauważyć go wcześniej. Zapadały ciemności. Szczegóły i kolory przestały być widoczne. Tylko czarny, złowrogi kształt rysował się na tle ciemniejącego nieba.

Od dłuższej chwili już nie płynął, lecz zatrzymał się na środku naszej zatoczki. Widocznie rzucili kotwicę. Nie mógł zacumować bezpośrednio przy brzegu, tak, jak nasz jacht. Był za duży i miał dużo większe zanurzenie. Teraz bryg stał dziobem do naszego jachtu w odległość około kilkuset metrów. Obserwacja przez lunetę potwierdziła moje

przypuszczenia. To był ten sam bryg piracki, który spotkałam przed tygodniem w marinie. Ale teraz jakoś nie miałam ochoty ujawniać się. Trochę za późno dotarło do mnie najważniejsze pytanie: „Czy mnie zauważyli?”. Zatoczka była otwarta od północnego wschodu. Kiedy wpływali, słońce już zaszło za skały, które o tej porze dnia rzucały głęboki cień na wodę. Potem zapadły ciemności. Świateł nie zdążyłam zapalić. Tym bardziej nie zamierzałam tego robić teraz. Żagle miałam oczywiście zwinięte. Było bardzo prawdopodobne, że nie zauważyli jachtu na tle skał. Uspokoiałam się nieco, ale na krótko. Co się stanie, gdy wstanie dzień?

Piracka bandera powiewała na wietrze i dziwnie niepokoiła. Tak, jak kiedyś, oznajmiała, że pływający pod nią nie znają litości. Po co ją wciągnęli na tym odludziu? Po co tu przyplłynęli? Może mają turystów na pokładzie? Przecież ta zatoczka była mało odwiedzana i nie należała do regularnych szlaków turystycznych. Turyści wolą wrócić na noc do komfortowych pokoi hotelowych. Poza tym nie zachowują się tak cicho. Od razu wybiegają na pokład z aparatami fotograficznymi i wszędzie ich pełno. A bryg stał jak wymarły. Tylko parę słabych świetlnych punkcików wskazywało jego pozycję. To nie wróżyło niczego dobrego. Cisza przed burzą.

Co robić? Kapitan nie zostawił żadnych wskazówek na wypadek spotkania z obcym żaglowcem, w dodatku pirackim. Mam niewiele ponad dziesięć godzin do świtu, żeby coś wymyślić. Zeszłam do kokpitu w ciemnościach. Pierwszą myślą było zadzwonić do Juana! Niestety, na poziomie morza zazwyczaj nie było zasięgu. Skały wysokiego klifu skutecznie odcinały zasięg. Postanowiłam, że spróbuję później wyjść na brzeg, wdrapać się na płaskowyż i stamtąd wykonać połączenie. Do Juana, straży portowej, na policję, lub kogokolwiek innego, kto pierwszy odbierze. Pomysł dosyć karkołomny w ciemnościach, ale jedyny.

Jeszcze miałam nadzieję, że przyjaciele wrócą dziś po zmroku. W miarę jak upływały kolejne godziny, nadzieja bladła coraz bardziej. Wyszłam z łodzi na brzeg i zaczęłam przedzierać się przez skały, próbując powtórzyć przejście, jakie zrobiliśmy z Kapitanem dwa dni temu. Noc była pogodna, ale bezksiężycowa. Prawie nic nie było widać. Jak ja trafię po tych skałkach z powrotem do jachtu? Zatrzymałam się i spróbowałam zadzwonić. Nic, brak zasięgu. Trzeba było wracać. Jakoś udało mi się trafić do jachtu i nie połamać rąk, ani nóg.

Wróciłam na pokład i zaczęłam się pakować. Jeśli nie uda mi się nawiązać łączności w nocy, o świcie zejść na ląd. Wezmę najpotrzebniejsze rzeczy i powędruję, aż trafię na



pierwsze ludzkie siedziby. Zastanawiałam się usilnie, czy powinnam opuszczać jacht. Może i nie powinnam, ale będę musiała. Zabiorę ze sobą wszystkie dokumenty łodzi i kluczyk stacyjki silnika, aby przynajmniej utrudnić kradzież jachtu. Nie mogę tu siedzieć beczynnie, nic to nie da. Może po drodze spotkam chłopaków? Z chłopakami lub bez, wrócę tu, ale najpierw muszę nawiązać kontakt z ludźmi. Teraz dopiero czułam się samotna i opuszczona.

Doszłam do wniosku, że, jeśli załoga tego statku nie ma złych zamiarów, moje wyjście niczego nie zmieni. Jacht będzie bezpieczny. Natomiast, jeśli coś knują, to i tak powinnam się wycofać. Sama nie dam rady. Pozamykam, co się da i zostawię wiadomość na pokładzie, że załoga wraca za parę godzin.

Zaczęłam się pakować w świetle latarki, co nie było ani miłe, ani wygodne. Dokumenty, kartę kredytową, parę dolarów i tak zawsze nosiłam przy sobie. Głęboko schowane w sekretnym miejscu, w wodoodpornym opakowaniu. Nawyk z odbytych podróży. Wrzuciłam do małego plecaka parę pożytecznych rzeczy: kilka batonów energetycznych, butelkę wody, podręczną apteczkę, mały multitool, zapalniczkę, zapalki, latarkę, zapasowe baterie, zwój cienkiej, mocnej liny, żyłkę nylonową, i kilka innych drobiazgów. Na wierzch wrzuciłam kurtkę. Obok położyłam pas z podręcznym nożem – założę go rano przed wyjściem.

Teraz mogłam spokojnie czekać do świtu. Rozłożyłam się wygodnie na ławie, blisko stanowiska sternika. Postanowiłam się zdrzemnąć i zaczęłam myśleć, jak zrobić, żeby nie zaspać. Zmęczona tą myślą, bezwiednie zasnęłam.

Coś mnie obudziło. Może nocny chłód? Może ta cholerna intuicja? Szkoda, że nie w porę. Wyszłam na pokład. Świtało. Jednak trochę zaspałam. Powinnam już być dawno na brzegu. Spojrzałam na zatokę. Piracki żaglowiec kołysał się na falach, ciemny i nieruchomy kształt, ledwo widoczny na tle połyskującego lustra wody. Bardziej wiedziałam, że tam jest, niż go widziałam. Było szaro, tylko linia horyzontu na wschodzie różowiała. Wydało mi się, że słyszę jakiś szelest, a potem odgłos toczącego się kamienia. Spojrzałam na brzeg, w nadziei, że zobaczę wracających chłopaków. Nikogo.

Zabrałam przygotowane rzeczy i wyszłam na pokład. Zamykałam właśnie kokpit, gdy usłyszałam z brzegu:

– Dokąd to, *señorita*? Opuszczamy jacht? – Przedemną, jak z spod ziemi, wyrosły postacie... dwu piratów! Jeden z nich wydał mi się znajomy. Zagrodzili mi drogę.

– Neeee... Nie opuszczamy. Właściwie, to zaraz odpływam... – Wyjąkałam, bardziej zaskoczona, niż przestraszona ich widokiem. – Czego chcesz, *hombre*? Czy my się znamy?

– Pomożemy pilnować jachtu. Prawda, Pablo? – Powiedział ten niższy i szczuplejszy.

– Pomożemy, Pepe. A teraz wracamy na jacht...

Wskoczyli kolejno na pokład i odcięli mi drogę na brzeg. Gdzie ja widziałam tego wyższego? Jasne! To był bosman. Był na pokładzie, gdy zwiedzałam statek! Wtedy było ich wielu, bardzo podobni do siebie w tych pirackich strojach. Czy mnie pamiętali?

Wyższy i potężniejszy, zwany Pablem, był odziany w czarną skórzaną kamizelę, rozpiętą na piersi, wymiętą i nieświeżą. Na głowie nosił zawiązaną kolorową chustę. Wydawało mi się, że pod chustą był łysy. Miał skórzane czarne spodnie, a za pas włożony ozdobny, masywny pistolet.

Drugiego nie pamiętałam ze statku, co nie oznacza, że go tam nie było. Pepe był niższy, śniady i szczupły. Nosił czarny kapelusz, spod którego zwisały długie pasma czarnych włosów. Był ubrany w czerwoną koszulę i zgniłozielone spodnie wpuszczone w buty z cholewami. Do pasa miał przypięty ozdobny zakrzywiony nóż w pochwie. Obaj wyglądali jakby się urwali z planu filmowego. Ciekawiło mnie jedynie, czy ta ich broń jest prawdziwa, czy to tylko atrapy?

Weszliśmy z powrotem na jacht, a oni zaczęli węszyć wokoło. Pepe zajrzał do wszystkich pomieszczeń, upewniając się, że nikogo prócz mnie nie ma.

– Czego tu chcecie? Wyoście się stąd! To nie wasz jacht!

– *Señorita* tu sama?

– Nie! Zaraz wrócą przyjaciele i odpływamy. – Skłamałam na poczekaniu.

– Przecież mówiłaś, że odpływasz sama? – Pepe przypomniał, co powiedziałam przed chwilą. – Po co ci ten bagaż?

– Nic takiego nie powiedziałam! – Wyłgałam się. – Chodziło mi o to, że odpływamy, gdy wrócą. Właśnie po to się spakowaliśmy.

– A ilu ich jest? Gdzie reszta bagaży? Kiedy oni wrócą? Co tu robicie? – Stanowczo za dużo pytań, jak na jeden raz. Wkurzył mnie.

– Wielu, bardzo wielu. Wrócą za parę minut. A wy, co tu robicie? I po się tak poprzebieraliście?

– My? My tu pilnujemy porządku.

– To już możecie się wynosić. Wystarczy tego pilnowania. Tu nie ma czego pilnować. Wsiadacie, *señores filibusteros. Muchas grazias y hasta la vista!*

– Zamknij się. Za pyskata jesteś, nawet jak na kobietę. – Nie od niego pierwszego to słyszałam; wcale mnie tym nie dotknął.

Jak się tu ich pozbyć? Nie miałam żadnego pomysłu. Żeby zyskać na czasie, weszłam do mesy, wzięłam sobie coś do jedzenia i zrobiłam kawę. Przyszli za mną i usiedli przy stole tak, żeby mieć wszystko na oku.

– A gdzie kawa dla nas, *señorita*? – Pepe był wścibski i bezczelny, w odróżnieniu od Pabla.

– Kawy możecie dostać, ale pod warunkiem, że zaraz potem się wynosicie... – Zaczęłam grę na zwłokę, próbując przy tym wybadać, co zamierzają.

– ...a przy kawie poczekamy na twoich przyjaciół. O ile już ich nie złapali...

– Pepe, za dużo gadasz! – Upomniał go Pablo.

Co on wygaduje? Kto ich złapał?

Na takim czekaniu i popijaniu kawy zeszło nam ze dwie godziny. Nic więcej nie mogłam z nich wyciągnąć. Pepe, po upomnieniu Pabla, przestał być rozmowny. Jak oni się tu dostali? Sądząc po stroju, należeli do załogi statku pirackiego. Ale zaskoczyli mnie od strony lądu. Miałam wrażenie, że na coś czekają. Na co? Nic się nie działo, więc spytałam:

– Na co tak czekamy?

– Na śmierć! Nasze życie jest wiecznym czekaniem na śmierć. – Pablo miał specyficzne poczucie humoru.

– *Señorita* się nudzi? Przyjaciele nie wracają? To może się zabawimy? – znudzony czekaniem Pepe przysunął się do mnie niebezpiecznie blisko. – *Bunita rubia*. Nigdy nie miałem jeszcze takiej blond ślicznotki... Nie pożałujesz! Żadna kobieta nigdy się na mnie nie skarżyła...

Czułam wręcz, jak mnie obmacywał wzrokiem. Dotknął moich włosów, a ja odsunęłam się jak oparzona, nie mogąc ukryć obrzydzenia. To go rozwścieczyło. Szarpnął mnie za ramię i pociągnął w kierunku kajuty. Adrenalina uderzyła mi do głowy. Wiedziałam, że jeśli nie zareaguję od razu ostro, to potem już nie dam rady. Z takimi typami najlepiej rozmawiać z pozycji siły. Nigdy nie byłam strachliwa, a ten wkurzył mnie wyjątkowo! A poza tym nie dał mi wyboru! Byłam słabsza. Nie mogłam dopuścić do bezpośredniego starcia, w

którym byłabym przegrana. Jeśli chciałam wyjść cało z tej opresji, musiałam wykorzystać element zaskoczenia. Zastosowałam poznane na treningach techniki walki wręcz.

W ułamku sekundy przekręciłam się przez lewe ramię, za które mnie trzymał. Zanim się zorientował, wykręciłam mu do tyłu rękę, którą mnie złapał. Zaszłam go z tyłu i docisnęłam wykręcone do tyłu ramię, aż przyklęknął. Nie dbałam o to, czy nie za mocno. Jeśli będzie miał jedną rękę niesprawną, tym lepiej dla mnie. Teraz drugą wolną ręką wyciągnęłam sztylet, który nosił w pochwie za pasem. Musiałam go tak sterroryzować, aby odechciało mu się atakować mnie powtórnie. Przyłożyłam mu sztylet do gardła. Jego zaskoczenie było kompletne – nie spodziewał się takiej determinacji.

– Zostaw mnie natychmiast, bo ci poderżnę gardło! Przysięgam, jeśli mnie tkniesz!

– Skaleczyłaś mnie, *puta!* – Syknął, dotknął wolną dłońią zadraśniętego miejsca i zobaczył krew na palcach. Rzeczywiście, trudno wymagać od człowieka walczącego o życie, by w szamotaninie zachował ostrożność wobec napastnika.

– Zostaw ją Pepe! Nie chcemy żadnych kłopotów. – Pablo, który do tej chwili nie reagował, uznał za stosowne wkroczyć. – Nie wolno jej tknąć, dopóki...(tu powiedział coś, czego nie zrozumiałam)

Puściłam go po chwili wahania, a właściwie wyrwał się. Cały czas przeklinając, rzucił się do szafek w poszukiwaniu środków opatrunkowych. Wciąż trzymałam w ręku jego sztylet. Na razie nie mieli zamiaru mnie zabić, ale co dalej? Mogłam wykorzystać tę okazję, żeby się uwolnić. Musiałabym jednak ich pozabijać, a nie potrafiłam tego zrobić na zimno. Co innego w walce. Przez kilka sekund mierzyliśmy się z Pablo wzrokiem, gdy nagle z daleka doszedł do naszych uszu ryk silnika motorówki. Wskoczyłam na pokład, w nadziei, że nadchodzi pomoc. Pablo wyskoczył za mną, ale wcale nie był zdenerwowany. Wręcz przeciwnie, coś krzyknął do Pepe, z czego wywnioskowałam, że to ktoś od nich. Wyrzuciłam trzymany wciąż sztylet za burtę – miałam przecież swój nóż, przytoczony z tyłu do paska, pod bluzą. Nie zauważyli go i nie przeszukali mnie. Uznali, że jestem bezbronna. Całe szczęście, bo nóż mógł mi się jeszcze przydać, nie tylko do obrony. Nie wiedziałam wtedy, że użyję go wkrótce i to nie przeciwko bandytom!

Do burty podpłynęła łódź motorowa z dwoma piratami. Pogadali między sobą w tym ich dialekcie i kazali mi wsiadać. Odmówiłam, ale zagrozili, że mnie zwiążą. Do tego nie mogłam dopuścić. Wsiadłam więc posłusznie i odpłynęliśmy. Pablo i Pepe zostali na jachcie, co bardzo mnie niepokoiło. Byłam pewna, że pod naszą nieobecność splądrują jacht i ogołocą

z cenniejszych rzeczy. Poza tym, co się stanie, gdy wrócą chłopcy i zastaną na pokładzie dwóch zbirów zamiast mnie? O tym wolałam nie myśleć!

Po chwili łódź przybiła do brygu. Zaraz, jak on się nazywał? Spojrzałam na burtę i przeczytałam: „Rosita”! Po rzuconym trapie weszłam na pokład i rozejrzałam się innym, niż poprzednio, okiem. Teraz statek nie wydawał mi się taki duży i świetny, jak za pierwszym razem. A jednak tamta wycieczka dużo mi dała. Miałam dobrą orientację w rozkładzie pomieszczeń. To mogło być przydatne.

Zaprowadzili mnie malutkiej kajuty i zamknęli na klucz. Jak tylko poszli, sprawdziłam wszystko, co wydawało się ważne. Jak trzyma zamek w drzwiach, z czego zrobione są ściany, na co wychodzi maleńkie, okrągłe okno w kajucie, czyli bulaj; czy da się otworzyć, i czy nie ma stąd jakiegoś innego wyjścia. Niestety, nie znalazłam żadnej możliwości ucieczki. Z braku lepszego zajęcia zajęłam się przeszukiwaniem szafek kajuty. Nie znalazłam nic przydatnego. Po południu przynieśli mi jedzenie, wypuścili do toalety i znowu zamknęli. Próbowałam posiadany nożem odkręcić śruby mocujące bulaj. Udało się, ale zostawiłam je na razie poluzowane, czekając nadejście nocy. Jeśli wcześniej nie zdarzy się inna okazja, odkręcę je w nocy i ucieknę przez to okienko. Przymierzyłam się do średnicy – powinnam się precyzyjnie. Dopłynę do brzegu i spróbuję dotrzeć na drugą stronę wyspy, do siedzib ludzkich.

Znów minęło parę godzin. Myślałam, że o mnie zapomnieli. Zbliżał się wieczór, gdy przyszli po mnie. Zaprowadzili mnie do kajuty kapitańskiej. Znałam ją z wcześniejszej wycieczki po statku. Była piękna, urządzona w stylu tamtej epoki. Tam stanęłam oko w oko z poznanym wcześniej Kapitanem Ojo. Jeśli mnie rozpoznał, to nie dał tego po sobie poznać. Oprócz niego zauważyłam jeszcze dwu obcych, siedzących na kanapie. Wyglądali na ważniaków, nie pasujących zupełnie do tego statku. Nie mieli na sobie pirackich strojów. Byli ubrani normalnie, w koszulki z krótkim rękawem i szorty. Uosobienie amerykańskich turystów. Jeden z nich, starszy i grubszy nosił kolorową hawajską koszulę, drugi młodszy – T-shirt. Popijali jakieś drinki i przypatrywali mi się uważnie. Bez zaproszenia, jakby nigdy nic, usiadłam na wolnym krześle. Dawałam tym do zrozumienia, że się nie boję i nie czuję się więźniem. Moje swobodne zachowanie chyba ich trochę zdziwiło, ale nie zaprotestowali. Mieli ważniejsze sprawy na głowie.

A potem się zaczęło. Potok krzyżowych pytań, przypominający przesłuchanie. Oni na pewno nie mieli nic wspólnego z policją!

– Po co tu przyjechaliście? – Zaczął Gruby, którego wszyscy się słuchali.

– Jesteśmy turystami z Europy i chcemy spędzić ekscytujące wakacje w tropikach! – Wyrecytowałam jednym tchem. Postanowiłam udzielać kwiecistych, przekonujących, za to niewiele mówiących odpowiedzi. – A dlaczego pan pyta?

– Gdzie twoi przyjaciele?

– A co, nie spotkaliście się? Przecież powinni już wrócić! – Wypaliłam. Mój mózg od razu wszedł na najwyższe obroty. „Aha, nie wiedzą, czyli – nie złapali ich.”

– Odpowiadaj na pytania! Gdzie oni są? – Młodszy wychylił się groźnie w moim kierunku.

– Jak to gdzie? Zeszli na ląd, żeby zwiedzić wyspę. To miała być krótka wycieczka! – Kombinowałam na poczekaniu, wpadając teraz z biegu w ton żaloszny, mający wzbudzić współczucie. – Wiecie coś o nich? Nie chcecie chyba powiedzieć, że poszli gdzieś balować i mnie zostawili? Świnie! Nie wiem, dlaczego tak długo nie wracają? Powinni dawno wrócić! – Zakończyłam z nadzieją w głosie.

To spojrzałam naiwnie w oczy grubszego typu (jasne, grubasie, że miałam nadzieję, że nie wrócili na jacht i nie wpadli w wasze łapy!).

– Gdzie poszli? Co mieli zwiedzać?

– Nie wiem. – Dalej grałam idiotkę. – Oni lubią chodzić po skałach bez celu. To się nazywa trekking, rozumiecie? Taki głupi sport. Mnie to absolutnie nie bawi, ja tam wolę inne rozrywki... Plaża, słońce, drinki... A jeśli coś im się stało? Co ja teraz zrobię? – Mówiąc to miałam prawie łzy w oczach (Dobrze, że ci tutaj nie widzieli mojej walki z Pepe na jachcie, bo pewno nie uwierzyliby w całe to przedstawienie.)

Gruby się zachnął, niezadowolony z mojego potoku wymowy.

– Cicho! Za dużo gadasz. Co wiecie o nas?

– Że jak? O was? A skąd mam coś wiedzieć? – Moje oczy były okrągłe ze zdziwienia. – Nawet się nie przedstawiliście! Jak tylko panów zobaczyłam, od razu pomyślałam, że wy mi pomożecie. Zaraz domyśliłam się, że panowie z policji.

– Głupia jesteś? Czy naprawdę tak myślisz?

– Pomóżcie mi! Ci tutaj, piraci uwięzili mnie. Nie wiem, czego oni chcą. Jesteście Amerykanami? Może oni chcą okupu? My nie jesteśmy tak bogaci! Nie mamy na okup!

Młody mruknął do Grubego:

– Idiotka! Jefe, ona nic nie wie! – I zwrócił się do mnie ponownie:

– Co widziałaś?

– Że niby gdzie? Tutaj? Kiedy?

– Ona nic nie wie i nic nie widziała. – Młodszy wymruczał do Grubego, którego nazywał Jefe, czyli „Szefem”. – Można ją równie dobrze wrzucić do zatoki. Nic nam po niej.

– Dobra! – Gruby zwrócił się do Kapitana Ojo. – Pozbądź się jej, gdy odjedziemy. Wrzuć ją do zatoki. Najlepiej, gdy zapadnie noc. Żeby nie było żadnych śladów. My już odpływamy, reszta należy do ciebie. I możesz już zrzucić tę czarną banderę, skoro ładunek dotarł na miejsce. Widzimy się jak zwykle ostatniego dnia każdego miesiąca. *Bye*.

Świetnie! Przekonałam ich, że nic nie wiem. W dodatku tak dobrze, że wysłałam na zupełnie niegroźną i niepotrzebną nikomu idiotkę. Rezultat osiągnęłam odwrotny, niż zamierzałam. Skoro okazałam się nieprzydatna, można mnie było utopić, jak kociaka! O czym oni mówili? Kazali zrzucić banderę piracką, bo ładunek dotarł. To było jasne, ale jaki ładunek?

Ani przez chwilę nie pomyślałam, że mogą być policjantami. Ci ludzie z pewnością byli przestępcami, i to z tych najgorszych. Życie ludzkie nie miało dla nich żadnej wartości. Szkoda tylko, że nie wiedziałam, w imię czego miałam złożyć najwyższą ofiarę. Muszę stąd uciec jak najszybciej! Boże, pomóż mi! Daj mi jakąś szansę! Wykończą mnie bez skrupulów, i nikt mi nie pomoże! Nawet mój przystojny i inteligentny detektyw. Nikt się nie dowie. Nie odnajdą mnie moi przyjaciele, no, bo skąd będą wiedzieli, gdzie szukać mojego ciała na dnie morza? Wcale nie miałam ochoty spocząć na wieki na dnie tej przepięknej zatoki!

Gruby z Młodszym wyszli z kajuty, a po chwili usłyszałam silnik motorówki. Odpłynęli, a ja zostałam sam na sam z Kapitanem Ojo. Patrzyłam na niego, w to jego jedno oko. Czy mi się wydawało, że dostrzegłam w nim błysk litości? Trzeba to sprawdzić. To może być moja ostatnia szansa!

– Pamiętasz mnie, Kapitanie? Zwiedzałam kiedyś twój żaglowiec. Opowiadałeś mi dużo o sobie i twoim ukochanym brygu.

– Pamiętam cię, *señorita*. Trudno cię nie zapamiętać.

– Co zrobisz ze mną? Mam nadzieję, że puścisz mnie wolno. Przecież wiesz, że ja nic nie zrobiłam. Ty nie jesteś mordercą!

– *Señorita!* – Popatrzył na mnie z litością. – Ty nie wiesz, kim jest Jefe!

– Jasne, że nie wiem. I nie chcę wiedzieć!

– Gdy Jefe wydaje rozkaz, nikt nie dyskutuje, tylko wykonuje bez gadania.

– Nawet TAKI rozkaz???

– Rozkaz to rozkaz...

– Kapitanie, myślałam, że jesteś innym człowiekiem. Ale skoro się pomyliłam, to wiedz, że nie ujdzie wam to bezkarnie. Moi przyjaciele nie zostawią mnie, zrobią wszystko, żeby mnie odnaleźć. – Grałam na całego, nie miałam wyjścia. Próbowałam kolejnych sposobów perswazji, w miarę, jak poprzednie zawodziły. Sytuacja nie wyglądała różowo. – A mam potężnych przyjaciół, jeden z nich jest bardzo bogaty. Mógłby zapłacić za moje życie...

Kapitan Ojo spojrzał na mnie uważnie. W jego wzroku wyczytałam „Jednak nie jesteś taką idiotką, jaką odstawiłaś!”

– Dlaczego mi to mówisz, *señorita*? Myślisz, że nie wykonanie rozkazu Jefe ma jakąkolwiek cenę? – Wstał i zaczął się przechadzać po kajucie z rękami założonymi do tyłu.

– Zwracam się z tym do Pana, Kapitanie Ojo, bo uważam Pana za kogoś wyróżniającego z tej hołoty. Kogoś wartościowego, kto zachował jeszcze odrobinę ludzkich uczuć!

– Może tak, może nie. Kto to może wiedzieć? – Powiedział enigmatycznie. – Ale wciąż cenię sobie bardzo moje życie.

– Puść mnie wolno, Kapitanie, a przyrzekam, że zapomnę o wszystkim, co tu widziałam i słyszałam! O wszystkim! Naprawdę!

– I myślisz, że to jest takie proste? Wierzysz, że można dotrzymać takiego przyrzeczenia? A nawet jeśli, nie uchroni mnie to przed karą za niewykonanie rozkazu. Myślisz, że będę narażał życie dla twoich pięknych oczu, *señorita*? Widzisz, nie pamiętam nawet, jak masz na imię. I nie chcę wiedzieć!

– Kapitanie, nie wierzę, by taki człowiek, jak ty mógł uwikłać się w tak brudne interesy! Żeby mógł zostać mordercą! Dlaczego nie rzucisz tego wszystkiego i nie zaczniesz nowego życia?!

– Nowego życia, mówisz? Chciałbym, ale to nie takie proste... Mam u nich długi do spłacenia. A poza tym, to są bardzo niebezpieczni i wpływowi ludzie. Oni tu rządzą. Znaleźliby mnie wszędzie. Ja nie mam wyjścia... – Mówiąc to stał przodem do okna kajuty, a tyłem do mnie. Dało mi to do myślenia. Dlaczego od dłuższej chwili stoi tak odwrócony? Waha się czy daje mi szansę? Mam wiać? Teraz? Postanowiłam spróbować. To mogła być ostatnia okazja. Potem mnie zwiążą i nic mi nie pomoże. Mój mózg w jednej sekundzie zmienił się w podręczny komputer analizujący sytuację. Jak stąd wyjść? Aha, już wiem. Z kajuty kapitana prosto, parę schodów w dół i jestem na pokładzie. Jeśli nie trafię nikogo po



drodze, zdążę wybiec na pokład. Ilu ich tam może być w tej chwili? Mam nadzieję, że tylko wachta, a reszta odpoczywa...

Wstałam i cicho jak kot zrobiłam pierwszy krok w kierunku drzwi. Kapitan Ojo ciągle mówił, ale ja nie słuchałam. Byłam już przy drzwiach, gdy w tej chwili drzwi kajuty otwarły się. Zgadnijcie, kto w nich stanął? Nie kto inny, jak nasz znajomy Rasta Harry!

Wpakował się do kajuty, rujnując w jednej sekundzie mój właśnie powzięty plan ucieczki. W wyciągniętej dłoni trzymał jakąś paczuszkę. Był bardzo wzburzony. Przyczaiłam się jak pantera, w oczekiwaniu na właściwy moment. Kapitan odwrócił się, a Harry zaczął mu wymachiwać przed nosem tą paczuszką. Przy tym wykrzykiwał swoim skrzekliwym głosem:

– Kapitanie, popatrz! Towar jest sfalszowany! Ktoś dostał się do ładunku i podmienił proszek!

Nie był trzeźwy. Chwiał się na nogach i mówił tak dziwnie.

– Zamknij się! – Głos Kapitana Ojo brzmiał twardo. – Nawet się nie ważył tknąć tej paczki! Chcesz kłopotów? Nikt nigdy nie kwestionował jakości towaru! Wiesz, ile to jest warte? Zresztą mnie to nic nie obchodzi. Ja tylko dostarczam towar na miejsce. To wszystko. Reszta to nie moja sprawa. Nie mam ochoty spocząć na dnie zatoki za głupią paczkę...

– Kapitanie, zobacz sam, ja się na tym znam. Nawet kolor jest nie taki jak... – Tu Harry zaczął rozpakowywać paczkę na oczach Kapitana. Szło mu dosyć niezdarnie, ręce mu drżały. On nie był pijany, on był naćpany! Co on bredził? Co to za paczuszka i jaki towar dostarcza Kapitan Ojo swoim statkiem? Chyba nie...? A jednak! To były narkotyki, a oni zrobili z wyspy punkt przerzutowy.

– Harry, odstaw towar do jaskiń i nie dyskutuj. Ilość musi się zgadzać, co do jednej. Jeśli ta paczka nie wróci na miejsce, będziesz miał niezłe kłopoty, Dobrze ci radzę! I wynoś się natychmiast! Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego! – Kapitan Ojo odwrócił się do okna.

W tej chwili Rasta Harry dostrzegł mnie stojącą obok.

– *Señorita?* Tutaj? A gdzie reszta? – Zaniepokoił się, pamiętając nasze ostatnie spotkanie i groźby Juana.

– No właśnie, Harry! Co ty tu robisz? Miałeś opuścić wyspę! – Odbiłam piłeczkę, ale on już zorientował się, że nie jestem tu dobrowolnie.

– To wy opuścić wyspę! Ostrzegaliśmy was!

– Dlaczego? Przed czym nas ostrzegaliście? – Próbowałam go pociągnąć za język, usilnie kombinując, jak mam teraz uciec. Kapitan Ojo stał odwrócony bokiem, ale na mojej drodze tkwił ten rastafarinin-narkoman.

– Żeby nie szukać żadnych skarbów! Ani nie kręcić w pobliżu jaskiń!

– To ty porwałeś naszego przyjaciela! My wszystko wiemy! Czy też przeciąłeś mój przewód tlenowy pod wodą?

– Nie, to Manuel. Na ciebie trafił, *señorita*? Głupi Manuel! (Tu powiedział coś w niezrozumiałego w *papiamiento*)!

– A ta żmija w naszej łazience? To też ty?

– Harry jest wielki Rasta! Wy gardzicie, a my zna

straszne *voodoo*! Ludzie i węże słuchają moje rozkazy! – Chyba trochę przesadził. A może nie? Może po prostu ktoś z obsługi hotelowej był z nim w zмовie? Musiałam zadać mu jeszcze jedno, może najważniejsze pytanie.

– Harry, nie boje się twojego *voodoo*, chociaż jest potężne! Twój wąż nic mi nie zrobił! Moje *voodoo* jest potężniejsze od twojego! – Wiedziałam, że tylko takimi argumentami mogę do niego trafić; jeśli go przekonam, że wierzę w jego moc, mam szansę wyciągnąć z niego potrzebne informacje. – Wiesz też, że tobą nie gardzę. Ty jesteś mądry Rasta! Inaczej, skąd wiedziałbyś o nas pierwszego dnia?

–*Si, si señorita!* – Trafiłam w jego czuły punkt. – Harry jest potężny i ma potężnych przyjaciół. Mój master jest najsilniejszy. Kapitan Ojo może pożałować, jeśli mój master odkryje, że towar zafalszowany!

– Harry, powiedziałem ci! Wynoś się i to już! Zanim wezwę ludzi, żeby cię wyrzucili.

Usłyszałam wystarczająco dużo, by zrozumieć, o jakich niebezpiecznych ludzi ocieraliśmy się od dnia przyjazdu. Oni już po wylądowaniu zwrócili na nas uwagę i domyślali się celu naszego pobytu. Mogliśmy im pokrzyżować plany, więc próbowali nas zastraszyć i odwieść od poszukiwań. Słusznie zakładali, że poszukiwania będziemy prowadzili w okolicach jaskiń. Nie chcieli, żeby ktokolwiek obcy kręcił się przy jaskiniach. Spodziewali się niedługo przerwania. Dlatego już pierwszego dnia Harry napadł na Wojtka i próbował nam to wyperswadować. Ostrzeżenia nie poskutkowały i Harry próbował dalej mącić. Doszłam do wniosku, że niczego więcej już nie wyciągnę z Harry'ego. Muszę po prostu uciekać. Rozmawiając z nim, cały czas czujnie obserwowałam ich obydwu. Kajuta była niewielka i Harry ciągle odcinał mi drogę ucieczki. Wyglądało na to, że pokrzyżuje moje plany raz i na

zawsze! Zaraz Kapitan Ojo wezwie ludzi i na wieki spoczne na dnie zatoki. Musiałam działać. Teraz albo nigdy!

Nie czekając dłużej, rzuciłam się jak kot i wyrwałam na wpół rozpakowaną paczkę z rąk Harry'ego. Sypnęłam mu zawartością prosto w twarz i wybiegłam z kajuty. Przebiegłam prosto korytarzem, trzymając cały czas na wpół rozwaloną paczkę z prochami. Nie obchodziło mnie, czy czysty narkotyk wypalił mu oczy, ani czy będzie miał kłopoty z powodu utraty towaru. Biegąc słyszałam, jak wrzeszczy i jęczy. Obchodziło mnie tylko tyle, żeby nie ściągnął mi na głowę resztę załogi.

Parę schodków w dół i znalazłam się na pokładzie. Oczywiście kręcił się tam na jeden z marynarzy-piratów. Był kompletnie zdezorientowany, więc na wszelki wypadek kopnęłam go w kostkę i podcięłam, aż się przewrócił. Rzuciłam paczuszkę i wdrapałam się na burzę. Nabrałam powietrza, przeżegnałam się i...skoczyłam!

Woda na powierzchni była ciepła od słońca. Zanurzyłam się głęboko. Najtrudniejsza część ucieczki przede mną. Jak tylko odzyskałam orientację pod wodą, przepłynęłam pod kilem na drugą stronę żaglowca. Spokojnie, nie za szybko wynurzyłam się tylko na chwile, by nabrać powietrza. Teraz kilka metrów pod wodą w stronę rufy. Nie było to dla mnie łatwe, takie długie przebywanie pod wodą. Uff... znów dało się zaczerpnąć powietrza. Nareszcie pod osłoną wystającej rufy mogłam trochę dłużej potrzymać głowę nad wodą. Słuchałam nawoływań ze statku. Wylegli na obie burty i wyglądali, aż się wynurzę. A czekajcie sobie! Rozejrzałam się i szybko wybrałam sobie punkt orientacyjny – najdalej wysunięty cypel zatoki. Nabrałam powietrza i pod wodę!

Niestety, nie mogłam płynąć w linii prostej do brzegu. Złapali by mnie bardzo szybko. Z oczywistych względów nie mogłam też popłynąć do naszego jachtu. Musiałam najpierw nadłożyć drogi i oddalić się od ich statku. Płynęłam pod wodą, blisko powierzchni, wynurzając się od czasu do czasu, by zaczerpnąć powietrza.

Pora dnia była moim sprzymierzeńcem. Słońce właśnie zaszło za skały nabrzeżne, mniej więcej w miejscu, gdzie cumował nasz jacht. Czerwonawe niebo na zachodzie odcinało się wyraźnie od ciemnych skał. Lustro wody w zatoce ciemniało. Wynurzający się od czasu do czasu w różnych miejscach punkcik stawał się nieuchwytny dla oka. Dopłynięcie do brzegu zajmie mi przynajmniej pół godziny. W międzyczasie ściemni się zupełnie, co zwiększy szanse dotarcia na brzeg. Na to właśnie liczyłam.

Płyłęm spokojnie, żeby oszczędzić siły. Woda w zatoce była ciepła. To było ważne. Nie wytrzymałabym godzinnego pływania w zimnej wodzie – organizm wychłodziłby się mimo ruchu. Wynurzając się, nasłuchiwałam odgłosów pogoni. Słyszeć było nawoływania z łodzi spuszczonej ze statku. Teraz już na pewno przepatrywali dokładnie wody zatoki przy pomocy lunety. Coś otarło się o mnie pod wodą. Boże, czy tu są rekiny? Oby nie!

Gdy dotarłam do brzegu było już prawie ciemno, a ja byłam u kresu sił. Brzeg w tym miejscu były prawie pionową skałą. Niemożliwe było wyjście na brzeg. W takim miejscu na pewno nie będą czekać na mnie. Przytrzymała się wystającej skały, by trochę odpocząć, złapałam oddech i rozejrzałam się. Odgłosy pogoni ucichły. Czyżby zrezygnowali? Teraz kilkanaście metrów wzdłuż skał. Byle znaleźć miejsce, gdzie można wyjść na brzeg. Minęłam już cypel i przestałam wierzyć, że te pionowe ściany skończą się kiedykolwiek. Wreszcie skały obniżyły się nieco i przeszły w kamienistą plażę. Rozejrzałam się, czy nie ma ich w pobliżu i odważnie wyszłam na brzeg.

Wczołgałam się za skały i leżałam dobry kwadrans, dochodząc do siebie. Potem po skałach wzdłuż brzegu wróciłam na skalisty cypel, żeby mieć widok na zatoczkę. Nasłuchiwałam, co się dzieje na statku pirackim. Po zatoczce pływała jeszcze łódź. Zatrzymała się przy naszym jachcie, a potem odbiła w drogę powrotną do żaglowca. Światło reflektora od czasu do czasu omiatało wodę. Chyba uznali, że utonąłam i czekali, aż wypłynie ciało. A niech sobie czekają!

A ja nie zwlekając zaczęłam przedzierać się przez skały. Chciałam dotrzeć w poblizsze miejsca zacumowania jachtu. Przejście w ciemnościach tego rumowiska było karkołomnym wyczynem. Nie miałam latarki, ani niczego, oprócz dokumentów w wodoodpornym pokrowcu i noża przypiętego do paska. Zupełnie nieprzydatne rzeczy w mojej sytuacji. Byłam przemoczona i głodna, i dałabym nie wiem co, za kawałek chleba. Na szczęście noce w tropikach są ciepłe. Szłam bardzo ostrożnie, nasłuchując od czasu do czasu, czy nie szukają mnie na lądzie. Nie wiem, która mogła być, gdy dotarłam w poblizsze naszego jachtu. Ósma? Może dziewiąta? Stałam wśród rumowiska skał kilkanaście metrów wyżej. Wychylając się, mogłam dojrzeć z góry światelko, które paliło się w kokpicie. Widziałam postać poruszającą się po pokładzie. Prawdopodobnie piraci zostawili kogoś na straży. Widziałam jednego, ale w środku mogli być inni.

Wycofałam się pomiędzy skały. Plan działania narodził się natychmiast. Muszę poczekać, aż zasną. Wtedy zejść, wejść na jacht, obezwładnię ich i... zobaczymy, co dalej.

Musiałam się tam dostać. Przebrać, zjeść, napić się. Inaczej całkowicie opadnę z sił! Obezwładnienie tych na jachcie wydawało się tak oczywiste, że nie zastanawiałam się czy dam sobie radę. Po prostu musiałam to zrobić. Potem, nad ranem zejść na ląd, by dotrzeć do ludzi po pomoc. Tak, to był dobry plan. Jeszcze tylko przetrwać tu godzinę lub dwie. Oby zasnęli jak najszybciej!

Czekając, myślałam o przyjaciółach. Co się z nimi dzieje? Przepadli w tych jaskiniach, czy co? Wyruszyli we wtorek, mieli najdalej w środę wieczór wrócić. Lub przynajmniej dać wiadomość. Takie umówione daty lub miejsca były święte. Nie miałam od nich żadnych wieści i byłam pełna najgorszych przeczuc. A jeśli tamci złapali ich w czasie, gdy ja byłam więziona i walczyłam o życie? Dziś był czwartek, a właściwie noc z czwartku na piątek. Czułam się tak samotna. Od kilku dni musiałam sobie radzić sama w sytuacji, która przerosłaby niejednego mężczyznę. Znikąd żadnej pomocy! Byłam rozżalona. Jak mogli mnie tak zostawić? Co mnie jeszcze czeka?

Podeszłam parę kroków, żeby sprawdzić, czy strażnicy na jachcie już zasnęli. Nagle gdzieś wyżej wśród skał rozległ się odgłos toczących się kamieni. A zaraz potem jakiś głos, daleki i niewyraźny. Chwyciłam za nóż i przytuliłam się do najbliższej skały. Co to było? Wiatr? Zwierzę? A może człowiek?

Po chwili dobiegł mnie szelest kroków, i jakieś szepty. Jasne, po ciemku nie dało się iść w tym terenie bezszelestnie. Ktoś próbował znaleźć przejście wśród skał i nie połamać nóg. Była to na pewno więcej niż jedna osoba. Zbliźali się z mojej prawej. Bardziej czułam ich obecność, niż widziałam w tych ciemnościach. Minęli mnie na wyciągnięcie ręki. Było ich dwóch. Kim byli? Piratami wracającymi z rekonesansu? Mocniej ścisnęłam nóż. Trudno. Jeśli trzeba będzie go użyć, zrobię to bez wahania. Gdy przeszli, wciąż jak skamieniała stałam przyklejona do skały.

I wtedy ktoś nagle zmaterializował się w tych ciemnościach obok mnie. Rzucił się na mnie i przycisnął mnie do skały, tak, że prawie straciłam oddech. Próbowałam się uwolnić, ale był silniejszy. Udało mi się go kopnąć go w kostkę. Wtedy poluzował trochę chwyt, a ja pchnęłam w górę trzymanym nożem. Wtedy usłyszałam zdziwiony głos:

– Iza! To ty?! Zostaw, to my! O Jezu, ale mnie dziabnęłaś!

To był głos Kapitana Jacka! Niestety, nie zdążyłam powstrzymać ostrza! Przewróciliśmy się szepieni razem i potoczyliśmy po skałach w kierunku przepaści.

## ***Rozdział 11. W którym jaskinie uchylają rąbka tajemnicy***

W całym swoim życiu straciłam przytomność dwa razy, i to stało się tu, na tej wyspie. Pierwszy, gdy zabrakło mi powietrza pod wodą, drugi, gdy przestraszyłam się węża w łazience. Teraz po raz trzeci zamroczyło mnie, gdy potoczyliśmy się z Kapitanem po skałach. Na szczęście głazy nie pozwoliło nam spaść w przepaść. Za to potłukliśmy się niezłe, ale i tak mieliśmy dużo szczęścia nie łamiąc sobie niczego po drodze.

Pierwszym wrażeniem, gdy się ocknęłam, była otaczającą mnie głęboka ciemność. Gdzie ja jestem? Żyję jeszcze, czy trafiłam do otchłani piekielnej? Leżałam na ziemi, a ktoś klepał mnie po policzkach. i mruczał jakieś zaklęcia pod nosem. Boże! Czy to miejscowy szaman odprawia swoje czary nad moim ciałem? Może chce mnie zamienić w zombie? Niedoczekanie jego! Warknęłam po polsku:

– Zostaw mnie, ja żyję! – W tej samej chwili uświadomiłam sobie, że szaman z pewnością nie rozumie mojego ojczystego języka. Natychmiast powtórzyłam to samo po angielsku, a potem dla pewności po hiszpańsku. A szaman znieruchomiał i szepnął coś, czego nie dosłyszałam do drugiej postaci obok. A jeśli to nie szaman, a to, co mruczy, to nie są żadne zaklęcia? Przypomniałam sobie ostatnie wydarzenia – jak przedzierałam się przez skały, gdy ktoś mnie napadł, jak dźgnęłam napastnika nożem, i jak potem usłyszałam głos Kapitana. Czyżbym znowu wpadła w ręce piratów? Z dwojga złego lepszy szaman. Było zbyt ciemno, żeby coś dojrzeć. Na wszelki wypadek powiedziałam głośno i dobitnie po angielsku:

– Puszczaj, ty draniu, bo ci poderżnę gardło!

Zaczęłam się wrywać, ktoś zatkał mi usta i usłyszałam głos Wojtka:

– Cicho, Młoda! Nie wrzeszcz i nie fikaj! To my!! I nie gadaj do mnie w obcych językach!

Znieruchomiałam i zaczęłam się wpatrywać w otaczającą mnie ciemność. Powoli, w miarę jak oczy adaptowały się do ciemności, zaczęłam rozróżniać kształty. Jeszcze nie dowierzałam własnym uszom i oczom. Zatykająca mi usta postać dodała głosem Wojtka:

– No jak, doszłaś już do siebie? Poznajesz mnie? Nie będziesz wrzeszczeć?

Pokręciłam przecząco głową i Wojtek zabrał rękę. Na niebie wysoko wisiało pół sierpa księżycowego. Tylko dzięki jego srebrnej poświacie można było cokolwiek rozróżnić. Jakies dwie postaci klęczały obok. Jak okazało się później, to Jarek opatrywał Kapitanowi ranę, którą mu przed chwilą zadałam nożem. Na szczęście rana była powierzchowna. Kilkanaście

metrów od nas, w dole powinna być zatoka i nasz jacht, okupowany przez cholernych piratów.

– Wojtek, dlaczego się nie mówiłeś, że to wy? Myślałam, że jesteś szamanem!

– Jakim znowu szamanem? To ja! Jesteś cała? Dlaczego latasz po skałach z nożem i rzucasz się na ludzi? Co tu się dzieje?

– Ja się rzucam? To wy rzuciliście się na mnie, więc musiałam się bronić. To ja się pytam, co tu się dzieje? Skąd wy tutaj?

Kapitan odwrócił się do mnie:

– No, Iza, lepiej z tobą nie zadzierać! Potrafisz nieźle ukąsić!

– Przepraszam, Kapitanie! Skąd miałam wiedzieć, że to wy? Czy bardzo cię zraniłam?

– Nic wielkiego, najbardziej ucierpiała moja kurtka. Już dobrze. Jasne, że broniłaś się jak mogłaś. Ale skąd się tu wzięłaś?

– A wy? Nie wróciliście, nie daliście żadnej wiadomości. Tu się działy straszne rzeczy...

– Czy coś ci się stało? Dlaczego jesteś przemoczona? Co z jachtem?

– Mnie nic nie jest, a jacht tkwi cały czas w tym samym miejscu. Mam nadzieję... Tylko że... – Tu zabrakło mi słów, żeby najkrócej i najtrafniej opisać sytuację. – ...został opanowany przez... piratów!

Byli w trójkę, w komplecie. Po cichu w kilku słowach opowiedziałam, jak to zostałam rano napadnięta na jachcie, a potem porwana przez piratów. Jak uciekłam i dlaczego znalazłam się właśnie tu i teraz. Nie wiem, ile zrozumieli z tego, co usiłowałam im przekazać. Zorientowałam się, że ich zdziwienie wynikało głównie z tego, że byłam ostatnią osobą, którą spodziewali się tu spotkać. Obawiali się raczej, że tkwię uwięziona na jachcie, albo, co gorsza, że nie żyję. Jakoś gładko przełknęli rewelacje o piratach i ich statku. Za to ja musiałam poczekać na zaspokojenie mojej ciekawości.. Co się z nimi działo? Niestety, w tej chwili nie było czasu na opowieści – trzeba było działać. Wszyscy byliśmy zgodni, że trzeba odbić jacht z rąk piratów pod osłoną ciemności. Nareszcie stało się wykonalne to, co dla mnie samej byłoby niezwykle trudne i ryzykowne. Potem zamierzaliśmy wyprowadzić jacht z zatoczki i odpłynąć.

Zeszliśmy ostrożnie niżej, aż do skalistej platformy, przy której cumował jacht. Zachowywaliśmy się bardzo cicho i ostrożnie. Nie wiedzieliśmy dokładnie, ilu ich jest. Dwóch? Trzech? A może więcej? W mesie ciągle paliło się światło. Lepiej poczekać, aż

zasną. Otwarta walka i szamotanina była zbyt ryzykowna. Ktoś z nas mógł odnieść rany, lub któryś z nich mógłby wykorzystać zamieszanie i zawiadomić ludzi na statku. Trzeba ich zająć po cichu i wyłapać jednego po drugim.

Wreszcie światło w mesie zgasło. Nikogo nie zostawili na straży. Tym lepiej dla nas. Oczekaliśmy jeszcze kwadrans i cichutko weszliśmy na jacht. Było ich dwóch – jeden spał w kajucie na rufie, drugi w mesie. Byli to ci sami, którzy uwięzili mnie na jachcie – Pablo i Pepe. Jakież było ich zdziwienie, gdy obudzili się w trakcie kneblowania i wiązania rąk. Zdażyli splądrować wszystkie pomieszczenia i uszczuplili wyraźnie nasze zapasy. Co za chlew zostawili wszędzie dookoła! Przeszukaliśmy ich. Mieli przy sobie co cenniejsze z naszych rzeczy osobistych pozostawionych na jachcie. Wszystko odebraliśmy, a ich wpakowaliśmy do kajut na rufie. Po jednym do każdej, żeby im odebrać jakąkolwiek szansę ucieczki.

Przed wschodem słońca musimy odpłynąć. Na środku zatoki majaczyła plama – piracki statek. Bardziej wyczuwaliśmy jego obecność, niż widzieliśmy jego kształty w ciemnościach. Póki tam był, zatoczka stanowiła dla nas pułapkę. Kapitan kazał zasłonić okna w mesie, żeby nie było widać światła na jachcie. Wysłał Wojtka na pokład na pierwszą wachtę. Było już dobrze po północy, ale mnie nie chciało się spać. Nie mogłam się doczekać opowieści o ich przygodach.

– Opowiadajcie wreszcie. Dlaczego tak długo was nie było? Byliście cały ten czas w jaskiniach? Co ze skarbami? Znaleźliście coś?

Nikt się nie kwapił, więc zaczął Kapitan.

– Iza, nie uwierzysz, w to, co nas spotkało w jaskiniach!

– Dlaczego? Mnie już nic nie jest w stanie zdziwić.

–Wiem, też swoje przesłaś. Ale posłuchaj.

I Kapitan zaczął opowiadać, jak to rozpoczęli poszukiwania od tego samego punktu wyjścia. Minęli obie jaskinie przeznaczone do zwiedzania przez turystów i weszli w korytarz zakończony lustrem wody. Przy pomocy zabranego sprzętu do nurkowania zbadali, dokąd można dopłynąć. To znaczy nurkował tylko Kapitan jako zawodowiec, no i mieli tylko sprzęt dla jednej osoby. Asekurowali go liną, ale podobno teren był łatwy. Po przepłynięciu zaledwie kilkunastu metrów pod wodą Kapitan dotarł do niewielkiej grotty. Wyszedł na powierzchnię, żeby ją zbadać, ale nie odkrył nic ciekawego. Ani śladów ludzkich, ani śladu skarbów. Nic dziwnego, znajdujące się tu jezioro podwodne zamykało drogę. Bez sprzętu tylko wytrawny



pływak i nurek zaryzykowałby próbę przepłynięcia pod wodą. Zresztą, komu chciałoby się nurkować, jeśli była inna droga.

Z grotty prowadziło jedno wyjście, nie wiadomo dokąd. Kapitan zostawił eksplorację tej drogi na inną okazję i wrócił do czekających Jarka i Wojtka. Potem razem po znakach wrócili do miejsca, gdzie znaleźliśmy bransoletę.

Zagłębili się w szyb, do którego wpadł wczoraj Jarek. Szyb był szeroki i schodził łagodnie pod kątem w dół. Dalej przechodził w korytarz, a ten wiódł w głąb górotworu. Korytarz najpierw kluczył, a po około dwustu metrach rozszerzał się w kolejną jaskinię. Pokonanie tego niewielkiego odcinka zajęło im resztę dnia. Teren był nieznany, szli wolno, ubezpieczając się liną w obawie przed kolejnymi lejami. Ale droga okazała się nietrudna i znający ją człowiek mógł pokonać ją bezpiecznie bez liny. Czyżby trafili na dawny szlak piratów? Rozglądali się uważnie w poszukiwaniu śladów ludzi (lub skarbów?), ale niestety, nic nie znaleźli.

W pewnym momencie usłyszeli szum morza. W głębi wyspy? To było intrygujące! Równie zadziwiające było to, że w tej części znaleźli ślady bytności człowieka, i to wcale niedawnej. Miejsce było idealna na biwak, a ponieważ zrobiło się zbyt późno, by wracać, postanowili tu przenocować.

Rano obudziło ich słońce. Skąd słońce w jaskini? Poprzedniego wieczora nie zorientowali się, że dotarli do grotty, która miała naturalne „okna”. Kolejny fenomen natury! Ten górotwór był jak ser szwajcarski. Jaskinia, w której nocowali, składała się z kilku komór. W jednej z nich niewielki otwór znajdował się wysoko w sklepieniu (ten służył raczej jako komin), a drugi, szeroki, znajdował się na wysokości około dwu metrów od podłogi grotty. To stamtąd dobiegał szum morza. Można było do niego wspiąć się po głazach, ułożonych jakby specjalnie w tym celu.

Wojtkowi pierwszemu udało się wspiąć do tego naturalnego „okna”. Gdy wyrzął na zewnątrz, wydał okrzyk zdziwienia. Zwabieni okrzykami Wojtka, Kapitan i Jarek poszli w jego ślady. Ku ich zaskoczeniu u góry otworzył się przed nimi rozległy widok na naszą zatoczkę ze skalnym cyplem. Ich zaskoczenie było jeszcze większe, gdy po drugiej stronie zatoczki, w odległości kilkuset metrów, dostrzegli przycumowany nasz jacht! Jacht tkwił przepisowo na swoim miejscu, dokładnie tam, gdzie powinien. Nie udało im się dojrzeć mnie na pokładzie. Nie był to powód do niepokoju – prawdopodobnie o tej porze spałam jeszcze.

Przed wyruszeniem na dalsze poszukiwania, przeszukali sąsiadujące z jaskinią komory i nisze. Dopiero w świetle dziennym dało się zauważyć, jak zdradliwa mogła być ta płatanina połączonych ze sobą grot, nisz, uskoków i zakamarków. Poruszanie się wśród nich nie było łatwe – można było tam równie dobrze bawić się w chowanego, jak zgubić się na zawsze. Światło dzienne docierało jedynie do jednej komory, tej największej, która przez to stanowiła centrum podziemnego systemu. Ślady bytności ludzi, i to wcale nie sprzed wieków, były widoczne na każdym kroku. Po kątach wały się śmieci. Widać było puszki po piwie, opróżnione butelki szklane i plastikowe, jakieś kartony, papierki, i bóg wie, co jeszcze. Na środku wyznaczono miejsce pod ognisko. W palenisku widoczne były ślady ognia. Ktoś tu niedawno urządził sobie podziemny piknik. Trudno się było spodziewać skarbów w tak uczęszczanym miejscu! Jeśli nawet kiedyś tu były, to zostały już dawno odkryte!

Lepiej było jak najszybciej opuścić to miejsce. Postanowili zbadać korytarz wychodzący na lewo od głównej groty (tej z „oknami”). Mieli prowadzić eksplorację nowej drogi przez kilka godzin, a potem wracać. Ten korytarz był dużo trudniejszy do pokonania, niż wczorajsza droga. Napotykali to przewężenia, to obniżony strop, to gruzowiska oberwanych skał, przez które trudno się było przecisnąć. Tu doszło kiedyś do oberwania skał. Posuwali się bardzo wolno. Minęli na dwa rozgałęzienia, które Kapitan tylko zaznaczył na planie. W jednym z załomów znaleźli złotą monetę, w innym miejscu stary pierścień. Utwierdziło ich to w przekonaniu, że z tego przejścia mogli korzystać niegdyś piraci. Może kiedyś przejście było łatwiejsze? Rumowiska głazów wskazywały, że miały tu miejsce podziemne obrywy skał, które mogły przysypać i utrudnić drogę. Mimo, iż znaleziska były skromne, dodały im werwy. Zagłębiali się dalej w tę płataninę, znacząc drogę i trzymając korytarza, który uznali za główny.

Jakież było ich zaskoczenie, gdy po kilku godzinach korytarz doprowadził ich do miejsca, gdzie leżał, tak! znaleziony przeze mnie kościotrup!!! W pierwszej chwili nie zorientowali się, że to jest to samo miejsce. Tylko ja byłam tu poprzednio. Oni doszli tu z przeciwnej strony. To oznaczało, że dalsza droga była dla nich zamknięta. Tylko Wojtek, którego nie było wtedy z nami, miał szansę przecisnąć się przez rumowisko. Podjął próbę, jako najszcuplejszy, i rzeczywiście przesmyk przepuścił go!

Musieli wracać drogą, którą przyszli. Jedynym sukcesem było znalezienie w niszy, gdzie leżał nieboszczyk, kolejnego dowodu prawdziwości historii o skarbach. Wokół nieboszczyka leżało kilka starych monet. Nie zauważyłam ich, gdy tam byłam. Nic dziwnego,

nie rozglądałam się zbyt dokładnie, bo oślepił mnie strach. A może po prostu nieboszczyk miał je w kieszeniach? Rozsypały się, gdy potrafiłam jego szczątki? I to znalezisko zabrali ze sobą do zbadania. Będzie można ustalić okres, z jakiego pochodzą monety.

Wycofali się do jaskini „z oknami” i po krótkim postoju kontynuowali eksplorację, tym razem korytarzem prowadzącym na prawo. Droga była łatwiejsza i prowadziła najpierw jakby wzdłuż linii wybrzeża, po czym skręcała w głąb wyspy. O dziwo, bardzo szybko doprowadziła ich do grotty, w której było lustro wody! Tam właśnie Kapitan dotarł nurkując, poprzedniego dnia – rozpoznał ją od razu. Doszli do wniosku, że zbadana droga tworzyła pętlę. Nie było tu czego szukać. Zaczęli się wycofywać, żeby wrócić do jaskini „z oknami”, jak ją nazywali. Stamtąd przetartym szlakiem mieli iść do wyjścia, a potem wrócić na jacht. Dawno minęło południe i mieli w sam raz tyle czasu, by dotrzeć na jacht przed zmrokiem. Tymczasem w jaskini „z oknami” czekała ich niespodzianka.

Zbliżając się, usłyszeli z dala głosy. Do tych zakamarków nie docierali turyści. A więc kto to był? Duchy jaskiń? W duchy oczywiście nikt nie wierzył. Szli zachowując wyjątkową ostrożność. Po chwili głosy stały się wyraźniejsze i musieli zatrzymali się, by najpierw sprawdzić, skąd pochodzą. W samą porę! Nie widzieli rozmawiających, lecz wystarczyła rozmowa, którą usłyszeli, by zniechęcić ich do spotkania. Prowadzona była w miejscowym *papiamento*, a intruzów było dwóch. Kapitan, jako jedyny, który ją zrozumiał w całości, tak mniej więcej przetłumaczył usłyszany fragment:

„...– Ile tu będziemy sterczeć? Zaraz zrobi się ciemno!

– Myślisz, że ich to obchodzi? Jak zwykle spóźniają się, a my musimy siedzieć w tych lochach jak skazańcy! Wejdz na górę i zobacz, czy już przyplłynęli...

– Sam wejdz i zobacz! Wszystko mnie boli od skakania po tych kamieniach!

– Myślisz, że mnie się chce? Lepiej idź! Bo jak kapitan zobaczy, że nikt nie stoi na warcie, to obu nas przeciągnie pod kilem!

– Rzuć przynajmniej skręta. Zasypiam od tego czekania!

– Skończyły mi się. Trzeba poczekać na dostawę. Ciekawe, ile przywiozą tym razem? I po ile?

– A co cię to obchodzi? Nie dla nas ten towar. Rzuć mi puszkę piwa, bo umieram z pragnienia! I tak jest coraz gorzej, wszystko drożeje, piwo, prochy... a nam płacą tak samo!

– Masz rację. Człowiek życie naraża dla marnych paru dolarów, a oni zarabiają miliony.

– Tak, na przykład taki Jefe. Ani na ciebie spojrzy, a jeżeli, to jak na śmiecia. Nie wiesz, czy przyplynie?

– Lepiej nie wymawiaj jego imienia. Jeśli nie chcesz, by cię zjadły rekiny...”

Minuty płynęły, a tamci czekali na kogoś, kto miał się pojawić lada chwila. Temat rozmowy wskazywał, że czekali na jakiś towar, i że nie było to raczej mleko w proszku. Nie wiadomo kto i w jakiej liczbie miał się lada chwila pojawić. Ani kim był tajemniczy i groźny Jefe, przed którym wszyscy drżeli. Jedno było oczywiste – cokolwiek tu się działo, ci ludzie robili coś niezgodnego z prawem. Nakrycie ich w tym momencie mogło kosztować życie. Jack zrozumiał to od razu i po cichu kazał się chłopakom wycofać. Wycofali się w głąb jaskiń i z daleka nasłuchiwali, co tamci robią.

Niestety, ci dwaj odcięli naszym drogę powrotu, która prowadziła przez jaskinię „z oknami”. Nic nie wskazywało na to, że tamci sobie pójdą. Tajemniczy ładunek nie przyplął, a tych dwóch tkwiło dalej w jaskini. Rozpalili ognisko, wyjęli jakieś konserwy, piwo, i zaczęli ucztować. Zanim na zewnątrz zrobiło się ciemno, coś zaczęło się dziać. Z zewnątrz dobiegały jakieś głosy. Tamci wykrzykiwali do kogoś na zewnątrz, że już za późno i wyładują towar jutro rano. Po pewnym czasie wszystko umilkło, a ci dwaj jeszcze długo gadali zanim poszli spać.

Kolejną noc spędzą w jaskiniach – tak zdecydował Kapitan. Mogli, oczywiście, napaść na tamtych w czasie snu, związać ich i wracać na powierzchnię zgodnie z planem. Jednakże nie było sensu zaczynać niepotrzebnej walki. Nie wiedzieli przecież, ilu z nich kręci się w jaskiniach lub na zewnątrz, czy trzymają wartę, czy droga powrotna jest wolna. Gdyby ci dwaj wszczęli alarm, mogli niefortunnie ściągnąć im na głowę resztę bandy. Lepiej było przyczaić się i poczekać, aż tamci się wyniosą. Na razie Jack wyznaczył każdemu wartę. Dotrwali tak do rana, czyli do momentu, kiedy tamci dwaj z jaskini wstali. Niedługo potem zaczęło się coś dziać, jakiś ruch, głosy wielu ludzi. Kapitan kazał chłopakom wycofać się jeszcze dalej w głąb skalnego korytarza, a sam śledził tamtych ukryty w mroku za załomem. W pewnym momencie zrobiło się niebezpiecznie, bo tamci zaczęli krążyć po pozostałych komorach jaskiń. Wnosili jakieś paczki i składali je w jednej z mrocznych nisz. Na szczęście, trwało to niedługo, po czym wszystko umilkło, tamci dwaj zniknęli. O co tu chodziło?

Właśnie minęło południe. Kapitan i chłopcy odczekali, czy tamci nie wrócą. Zresztą spotkanie ich po drodze za dnia było mniej groźne. Przekonawszy się, że droga jest wolna, ostrożnie weszli do jaskini „z oknami”. Przeszukali schowki i w jednym ze składów znaleźli

jakieś zagadkowe paczki. Odkryli w nich biały proszek. Kapitan od razu zorientował się, co to za „towar” i kim byli ci ludzie.

Chcąc sprawdzić, co dzieje się z naszym jachtem, wdrapali się równie ostrożnie do skalnego okna i wyjrzeli na zewnątrz. Pierwsze, co rzuciło się im w oczy, to był piracki żaglowiec na środku zatoki. Stał tam ze refowanymi żaglami, jakby na coś czekał. Skąd się tam wziął? Czy miał jakiś związek, z tym, co tu się działo? Chyba tak, ale jaki? Czyżby „towar”, który przeładowano do jaskiń, przyłynął właśnie tym żaglowcem? Na szczęście, nasz jacht, cały i nienaruszony, tkwił zacumowany przy skałach.

Wcale ich to nie uspokoiło. Nie wiedzieli przecież, co dzieje się ze mną. Podczas gdy oni obserwowali naszą zatoczkę, mnie już nie było na jachcie. Siedziałam zamknięta w kajucie na brygu i obmyślałam możliwe plany ucieczki. Byliśmy tak blisko siebie, a przecież nie mogliśmy sobie pomóc, nawet gdybyśmy o tym wiedzieli. Potem chłopcy usłyszeli głos silnika motorówki i zobaczyli ją, jak przybija do żaglowca. Dalszego ciągu już nie widzieli, bo Jack dał hasło do odwrotu. Musieli jak najszybciej wrócić na znaną sobie drogę, którą tu przyszli, i wydostać się z jaskiń.

Wracając mieli się cały czas na baczności. Mimo wszystko przemytnicy mogli wrócić do jaskini, w której ukryli towar. Chociaż Kapitan był przekonany, że resztę przerzucą drogą morską. Przenoszenie takich ilości narkotyków drogą lądową byłoby zbyt ryzykowne.

Po drodze nie spotkali nikogo, poza grupką spóźnionych turystów w pierwszej jaskini. Udało im się dotrzeć nad zatoczkę przed zachodem słońca. Ostrożnie podeszli i z góry zaczęli obserwować nasz jacht. Niestety! To, co zobaczyli, zmusiło ich do wycofania się. Na jachcie ulokowało się dwóch podejrzanie wyglądających przebierańców. Mnie nie widzieli. Gubili się w domysłach, co stało się ze mną. Czy byłam w środku, być może uwięziona? Czy raczej zdołałam uciec? Postanowili odzyskać nasz jacht za wszelką cenę, a te dwa typy nie budziły zaufania. W dodatku, jeden z typów rozsiadł się na pokładzie i obserwował przez lunetę skały na brzegu. Jakby wypatrywał kogoś, kto powinien nadejść z tej strony.

Gdy omawiali plan odbicia jachtu, nagle piracki bryg ożył. Na wodę spuszczone łódź, która pływała po zatoczce. Potem dobiła do naszego jachtu, po czym znów zaczęła krążyć po zatoczce, podpływając do brzegu. Najwyraźniej tamci kogoś szukali. To wszystko zmusiło chłopaków do wycofania się w skały. Czekali aż zapadnie zmrok, by dostać się na łódź.

Tymczasem zmrok zapadł, ale poszukiwania nie ustały. Jeszcze długo reflektory omiały wodę, a łódka krążyła, oświetlona pochodniami. Wreszcie wszystko ucichło i zgasło.

Chłopcy przyczajeni w skałach, zabierali się właśnie do zejścia. Tak właśnie doszło do naszego niefortunnego spotkania, gdy wszyscy zmierzaliśmy do tego samego celu.

Gdy Jack skończył opowieść, odezwał się Jarek:

– A jednak, wobec tego, co ty przesłaś, nasze przygody wydają bajeczką dla dzieci!

– Twoja historia wyjaśniła nam parę niewiadomych. – Powiedział Jack. – Muszę przyznać, Iza, że byłaś bardzo dzielna! Na moje usprawiedliwienie powiem, że nie spodziewałem się takiego obrotu sprawy. Inaczej nie zostawiłbym cię tu samej. Wszystko ze szczegółami opowiesz jutro. A teraz, ty Iza, idziesz spać, a my kolejno trzymamy wachtę.

Byłam najbardziej z nich wyczerpana ostatnimi przeżyciami. Toteż spałam jak zabita, podczas gdy oni sprawdzali jacht i przygotowywali się do wypłynięcia. Przed wschodem słońca, kiedy niebo ledwo różowiało, zaczęli odbijać. Silnika nie mogli użyć z oczywistych względów, toteż manewr odbijania był dość trudny.

Obudziło mnie jednostajne kołysanie płynącego jachtu. Wyjrzałam na pokład. Świtało. Kapitan stał za sterem i półgłosem wydawał komendy. Piracki bryg jak zjawa unosił się na środku zatoczki. W szaro-różowej poświacie poranka wydawał się nierealny. Nasz „Viento” szedł na wiatr pod pełnymi żaglami i nabierał prędkości. Mijaliśmy ich w odległości nie większej niż sto metrów. Z dziwnym sentymentem przyglądałam się statkowi, na którym przeżyłam najgorsze chwile mojego życia. Pokład był pusty, żagle zrefowane. Piracką banderę zdjęli, tak, jak życzył sobie Jefe. Uśpiony bryg sprawiał wrażenie wymarłego, a mimo to budził grozę.

Za późno zauważyli, że uciekamy. Skąd mieli wiedzieć, że w nocy opanowaliśmy jacht? Nie od razu bryg ożył. Najpierw zaczął się ruch na pokładzie, niezdecydowane pokrzykiwania w naszym kierunku. Myśleli może, że to Pablo i Pepe podpływają. Kiedy zorientowali się, że to nie ich ludzie płyną na jachcie, zaczęli stawiać żagle. Na pokładzie zaroilo się od postaci. Po chwili bryg majestatycznie obracał się zgodnie z wolą sternika do wiatru. Ale my wypływaliśmy już wtedy z zatoczki na otwarte morze.

Usłyszałam silnik. Kapitan uruchomił go, gdy mijaliśmy żaglowiec, żeby maksymalnie zwiększyć prędkość. Już nam nie zależało na zachowaniu ciszy. I tak zostaliśmy zauważeni.

– Co się dzieje? Czemu włączyliście silnik? – Wrzasnęłam, żeby przekrzyczeć ryk koni mechanicznych i szum wiatru.

– Nic, Młoda, piraci nas ścigają.

– Ale buja! Całkiem nieźle!

– Co ty Młoda, nic nie buja! Ale wieje konkretnie, to fakt!

– A jeśli nas dogonią? Co nam mogą zrobić?

– Mogą nam skoczyć! – Wojtek nie brał innej możliwości pod uwagę; zażartował: – Ewentualnie mogą jeszcze staranować jacht, a nas potopić!

– Co ty wygadujesz? Nie wiesz, na co stać tych ludzi! Nie było cię tam, gdy chcieli mnie utopić jak kociaka! – Zwróciłam się teraz do Jacka, próbując wysondować sytuację. – Czy mogą nas dogonić, Kapitanie?

– Kto wie? Późno nas zauważyli, ale... – Jack mimo niepewności, był spokojny i skoncentrowany. – Ten bryg jest bardzo szybki i zwrotny, ale... Na razie i my, i oni muszą uważać na podwodne skałki.

– Będą nas ścigać? Do skutku?

– Nie znają możliwości naszej łódki. – Uśmiechnął się Kapitan. – Liczą na to, że szybko nas dogonią. Wkrótce bryg rozwinie pełną prędkość i wtedy możemy być w opałach. Gdyby pościg miała miejsce na otwartych wodach, nie mielibyśmy szans. Ten bryg rozwija większą prędkość, niż jacht.

– Jak to?

– Zanim postawią żagle i bryg rozwinie pełną prędkość, minie trochę czasu. Liczę na to, że w tym czasie zdążymy się oddalić. Musimy jak najszybciej dopłynąć do najbliższego portu. A tam już nie będą mieli ani odwagi, ani możliwości zaatakować.

– Czyli jeśli nie zwiejemy im teraz, to kicha! – Podsumował Wojtek.

– Właśnie! Wojtek, wybierz grota, bo nas dogonią. Nie widzisz, że zwalniamy?

– Tak jest, Kapitanie! – Wojtek posłusznie skoncentrował się na pracy żaglami.

Usłyszałam nagle jakiś odległy huk. Potem kolejny, i jeszcze jeden... Obejrzałam się. Bryg płynął jeszcze wolno, ale ustawił się już na kursie. Oni do nas strzelali! Spojrzałam ma Kapitana – twarz miał spokojną.

– Za daleko, nie trafią. Jednak wejdźcie do mesy, tak na wszelki wypadek. – Powiedział, widząc mój pytający wzrok.

Okrażaliśmy wyspę – zatoka była daleko za nami. Kapitan wyłączył silnik i ustalił kurs. Jacht pod pełnymi żaglami gnał na wiatr kursem tak ostrym, że kładł się na burtę. Zaczęłam przyglądać się brygowi przez lornetkę. Pierwszy raz widziałam „Rositę” pod pełnymi żaglami. Szła lekko pochylona, prawym halssem. Obserwowałam ją z zachwytem, ale

i z niepokojem. Czy aby dystans pomiędzy brygiem a jachtem nie maleje? Odetchnęłam z ulgą – wciąż jeszcze oddalaliśmy się.

Ale nie minęło pół godziny, gdy znów ogarnął mnie niepokój. Sylwetka pirackiego statku nagle stała się większa. „Rosita” nabrała prędkości i zaczęła nadrabiać utracony dystans! Już gołym okiem dało się odróżnić każdy żagiel i małe, ruchliwe punkciki na pokładzie! Boże! chyba nie pozwolisz, żeby nas dogonili?! Nie teraz, kiedy już, już prawie uciekliśmy! Popatrzyłam na Kapitana, ale ten trwał niewzruszony za sterem, jakby nic nam nie groziło. Zwróciłam lornetkę ku brzegowi. W którym miejscu teraz jesteśmy? Opływaliliśmy wyspę i zbliżaliśmy się południowo-wschodniego cypla. Kiedy wreszcie pojawią się jakieś ludzkie siedziby? Jeśli nas dopadną tutaj, staranują i zatopiają jacht, to pewne!

Kiedy już zwątpiłam, nagle wybrzeże zmieniło wygląd. Najpierw pojawiła długa, biała plaża. Słońce znalazło się z tyłu po prawej – to jacht zmienił kurs na południowo-zachodni. Nareszcie! Ale piracki statek był coraz bliżej. Szedł już naszym kilwaterem. Przenosiłam lunetę z brzegu na bryg, i z powrotem, obserwując z rozpaczą, jak się przybliża. Kapitan skupił się na nawigacji, gdyż zaczynała się strefa podwodnych skał i raf. Pod nami leżał niejeden wrak!

Gdzie ten port? Zauważyłam, że ścigający nieco zmienili kurs – bryg skręcał na prawo, jakby bliżej brzegu. Skracał sobie w ten sposób drogę, a nam odcinał drogę do portu. Bardzo przebiegłe! Kapitan Ojo musiał bardzo dobrze znać te wody, najeżone podwodnymi skałkami, skoro zdecydował się na ten manewr.

W tej chwili nikt nie potrafił powiedzieć, jaki będzie wynik tych szaleńczych regat, w których stawką było nasze życie. Spojrzałam na Jacka – stał skupiony za kołem sterowym, z wzrokiem utkwionym w jakiś punkt na brzegu. Popatrzyłam tam i zmartwiałam. W miejscu gdzie widać było instalacje rafinerii wchodzące w morze, stał olbrzymi tankowiec. Stał? Nie! To było pierwsze wrażenie i złudzenie. Nie stał, lecz płynął w naszym kierunku! Jego sylwetka rosła w błyskawicznym tempie. Za chwilę staranuje nas i rozniesie w drzazgi!

Dlaczego Jack nie schodzi mu z drogi? Już dawno powinien był mu ustąpić!

Spojrzałam na statek piracki – czy oni też nie zauważyli tankowca? Bryg był już bardzo blisko. Gołym okiem odróżniałam sylwetkę Kapitana Ojo stojącego na mostku. Wtedy zaczął się ruch na pokładzie. Biegali, pokazywali w kierunku tankowca, który szedł prosto na nich. Kręcili się gorączkowo przy kabestanach. Aha, próbują zrefować, może nawet zrzucić



żagle. Zdaje się, że za późno zauważyli tankowiec. Za chwilę dojdzie tu do prawdziwej katastrofy morskiej!

Ścigający nas żaglowiec miał o wiele większą prędkość, ale i bezwładność. Nie zdążą wyhamować, ani zmienić kursu. Uderzą w tankowiec! Pomyślałam, że szkoda tego pięknego statku. Ale co mogli zrobić? Może jedynie udałoby się skrócić bliżej brzegu, wyostrzając kurs. Wykorzystując szybkość i zwinność brygu mieli nikłą szansę, że unikną zderzenia. Ale do tego potrzeba genialnego żeglarza. Czy Kapitan Ojo sprosta temu wyzwaniu?

W tej chwili usłyszałam ryk syreny i mijający nas tankowiec zasłonił mi widok. A więc nie zobaczę, jak Kapitan Ojo ocali swój ukochany statek.

Teraz już wiedziałam, o co chodziło Jackowi! To był bardzo niebezpieczny (i bardzo niedozwolony) manewr, który Jack przeprowadził z premedytacją. Jedyne, który mógł nas ocalić. Nie ustępując drogi, Jack podprowadził ich blisko płynącego olbrzyma. Liczył na to, że będą musieli wyhamować lub zmienić kurs. Nie wziął pod uwagę, że mogą go zauważyć zbyt późno. Olbrzym wszedł pomiędzy nasz jacht i żaglowiec, odcinając piratom drogę. Co stało się w tym czasie z brygiem i jego załogą? Ocalili? Nie było żadnych oznak, że doszło do zderzenia. Po chwili ujrzeliśmy żaglowiec, jak płynął pochylony ostro na prawą burzę. Odetchnęłam z ulgą. Naprawdę ucieszyłam się, że stary wilk morski ocalił swój piękny statek!

My szerokim łukiem pożeglowaliśmy w kierunku portu. Wszyscy oprócz Kapitana skakaliśmy i krzyczeliśmy z radości. Byliśmy ocaleni!

## ***Epilog . O tym, że żadne skarby nie zastąpią przyjaźni i miłości***

Jeszcze tego samego ranka przekazaliśmy Pepe i Pablo w ręce policji. Policjanci spisali nasze zeznania, ale patrzyli na nas z niedowierzaniem. Po kilka razy zadawali te same pytania i upewniali się, czy na pewno dobrze rozumiemy nasze odpowiedzi. Zdziwienie wzbudziły pirackie stroje Pabla i Pepe. Na razie ograniczyliśmy nasze oskarżenia wobec nich do napaści na jacht i próby obrabowania. Brali udział w dużo większej aferze przemytniczej, ale nie mieliśmy na to żadnych dowodów prócz naszych zeznań. Postanowiliśmy najpierw opowiedzieć wszystko Juanowi i pójść za jego radą.

Z Juanem spotkaliśmy się tego samego dnia po południu. Bardzo był zaniepokojony moim dwudniowym milczeniem i ucieszył się widząc mnie w jednym kawałku. Przed nim nie mieliśmy żadnych tajemnic. Opowiedzieliśmy mu wszystko, włączając nasze przygody z przemytnikami narkotyków. Widziałam, że nachmurzył się, słuchając mojej opowieści o spotkaniu z Jefe i wydanym na mnie wyroku. Poradził nam, byśmy zostali na jachcie i mieli się na baczności. On w tym czasie miał zasięgnąć informacji, wykorzystując swoje znajomości w policji, i nie tylko.

Następnego dnia odwiedził nas po południu. Nie miał dobrych wieści. Przede wszystkim zakazał nam kontynuować poszukiwania. Po drugie, dowiedział się, że policja chce umorzyć całą sprawę ze względu na brak dowodów. Byłam oburzona.

– A nasze zeznania? A statek piracki? A narkotyki w jaskini?

– Widzisz, kochanie, statek piracki rozplynał się. Wasze zeznania są dla policji słabym dowodem. Przykro mi, to nie jest moje zdanie. Są w dużym kłopotcie i wiem, dlaczego. Zdaje się, że naraziliście się jakiejś lokalnej grubej rybie, uwikłanej w nielegalne interesy. Może to być sam Jefe, a może któryś z jego mocodawców. W każdym razie są naciski na policję, żeby sprawę wyciszyć. Założę się, że narkotyków już nie ma w jaskini. Taka dostawa jest warta miliony i na pewno już zabezpieczyli towar. Moim zdaniem, oni mają swoich ludzi i w policji, i wśród celników, i we władzach lokalnych, wszędzie. Zastanówcie się, co was czeka. Śledztwo będzie się przeciągało, a wy nie będziecie mogli opuścić wyspy.

– I co, wypuścicie tych drani? – Nie wytrzymałam. - Którzy nas napadli, próbowali nas okraść, uprowadzić, zgwałcić, a nawet zabić? Ja się nie zgadzam, nie wycofam zeznań.

– Inez, kochanie, nikt nie oczekuje od ciebie wycofania zeznań. Ci dwaj staną przed sądem i odpowiedzą, za to, co zrobili. – Uśmiechnął się. – Bardzo dobrze, że

doprowadziliście ich przed oblicze sprawiedliwości. Natomiast co do reszty, na razie – podkreślam - na razie, nic nie możemy zrobić. Są naciski, żeby śledztwo szybko zakończyć, sprawę wyciszyć i koniec. Widzisz, Inez, kiedyś opowiadałem ci, dlaczego wolę pracę w ochronie, niż w policji. Teraz już wiesz, dlaczego?

– Tak, teraz już wiem...

– Jeszcze jedno. Jako główny świadek będziesz musiała dłużej pozostać na wyspie. Do czasu zakończenia śledztwa. Co ty na to?

– Cieszysz się z tego?

– Wcale. – Zażartował i dodał: – Załatwiłem ci też ochronę ze strony pewnego... detektywa, może być? Innej niestety nie byłem w stanie uzyskać. A może ci być potrzebna, bo muszę wam powiedzieć, czego dowiedziałem się nieoficjalnie. Te same grube ryby, którym się naraziliście, ostrzą sobie na was zęby. Szczególnie na pewną Europejkę, która zniszczyła im towar wartości kilkudziesięciu tysięcy dolarów. Radzę zapomnieć o poszukiwaniach!

Nie mogliśmy ukryć rozczarowania! Nie uda się dokończyć rozpoczętych poszukiwań! A tak dobrze nam szło. Gdyby nie ci bandyci, może odnaleźlibyśmy niedługo skarb pozostawiony w jaskiniach? A teraz, musimy, niestety, przerwać wyprawę i już nigdy nie dowiemy się, czy skarb tu wciąż jest. Może kiedyś, ktoś inny pójdzie naszym tropem i będzie miał więcej szczęścia?

Tak to bywa na wyprawach, i w życiu. Nie zawsze plany idą po twojej myśli. Trzeba wiedzieć, kiedy się wycofać. Zatem nasza wyprawa skończyła się fiaskiem. Właściwie nie skończyła się, lecz została brutalnie przerwana. Uszliśmy cało, ale nie osiągnęliśmy celu. Nie chodziło mi o to, że nie znaleźliśmy skarbów. Drażnił mnie fakt, że nie mogliśmy dokończyć rozpoczętego dzieła.

– Skoro jesteśmy niemile widziani na tej wyspie, to może podpowiesz nam Kapitanie, gdzie udamy następnym razem na poszukiwania? – Jarek nie odpuścił tematu.

– Oho, widzę, że niektórych poszukiwania wciągnęły zupełnie! Dobrze, że nie wszystkich! – Zaśmiał się Kapitan.

– Jeśli będzie następny wyjazd, proszę mnie zapisać! – Powiedziałam. – Przydam się nie tylko jako tłumacz. Mam już kwalifikacje w unieszkodliwianiu gangów przemytniczych! Chociaż nie ma z tego żadnych kokosów, wręcz przeciwnie, same kłopoty!

– Ja chętnie bym pojechał na inna wyprawę, skoro nie możemy dokończyć tej tutaj. – Wojtek wydawał się też zainfekowany. – Niech będzie jakieś nowe miejsce. Trzeba będzie też znaleźć sponsora!

– Ja się podejmuję znaleźć jednego. Niech każdy znajdzie jednego, to jakoś sobie poradzimy! – Podsumowałam.

– Mówisz i masz! – Powiedział Wojtek.- Moja firma mała, ale coś dorzuci. Na sprzęt...

– Jest jeszcze jeden! – Dodał Jarek.

– Skipera i całą organizację wyprawy macie załatwioną. – Powiedział Kapitan. – Pozostał jedynie drobny szczegół do ustalenia – gdzie?

– No właśnie! Skoro tutaj jesteśmy spaleni... – Zaczął zastanawiać się Jarek. – Srebrna Mierzeja? Nie, nie, zaraz powiesz, Kapitanie, że to nie dla nas...Mauritius? Jamajka?

– Już wiem! – Wykrzyknął nagle Kapitan. – Czy nie lepiej wybrać miejsce, w którym nie będziemy rzucać się w oczy turystom, ani lokalnym władzom? Odludne, dzikie, wymarzone dla prawdziwych awanturników...

– A są jeszcze takie miejsca? Wyspa?

– Tymi kokosami podsunęłaś mi, Iza, pewien pomysł. Co byście powiedzieli na skarby kapitana Kidda? Bezludna wyspa, dla odmiany na Pacyfiku? Może tym razem trafimy bardziej „kokosowy” interes niż myślisz, Iza? Chociaż niekoniecznie w sensie materialnym...

Co on miał na myśli??? Bezludna wyspa? Skarby kapitana Kidda? Kokosy? Pacyfik? O, rany, chyba już wiem!!!

\*

W kilka dni później opuszczaliśmy jacht i żegnaliśmy się przed wyjazdem. Kapitan i chłopcy wyjeżdżali, a ja miałam pozostawać na wyspie nieco dłużej.

– Kapitanie, co zrobimy z naszymi znaleziskami z jaskiń?

– A właśnie, Iza, dobrze, że mi przypomniałaś. Nie wiesz przypadkiem, co się stało ze złotą bransoletą? Zamknąłem ją sejfie na jachcie. Nie wyciągałaś jej pod naszą nieobecność?

– Przecież wiesz, Kapitanie, że nie. Nie wiem nawet, gdzie masz kluczyk do tego sejfu.

– No, tak, przecież kluczyk miałem cały czas przy sobie. Zapomniałem. A ci dwaj bandyci, którzy splądrowali łódź?

– Nie mieli jej przy sobie, przeszukaliśmy ich i odebrali wszystko. Zresztą, musieliby się włamać, a sejf był nietknięty. Czy oprócz bransolety coś zginęło z tego sejfu pod waszą nieobecność?

– Nie, wszystko było na swoim miejscu. Oprócz tej bransolety. No, i sejf był nietknięty... Dziwne... Co się z nią mogło stać?

W tej chwili poczułam dreszcz na plecach. Rzeczywiście, z kilku drobiazgów przyniesionych z jaskiń, zaginęła tylko złota bransoleta. Jak to możliwe, skoro była cały czas zamknięta w sejfie, a sejf był nietknięty? I nagle wróciłam myślami do tej nocy, którą spędziłam samotnie na jachcie. Przed oczami stanęła mi zjawa Rosity. Zamknęłam oczy i zobaczyłam ją raz jeszcze – z długimi blond włosami, jak płynie w powietrzu w kierunku kajuty Kapitana... Jak odwraca się do mnie i kładzie palec na ustach w geście nakazującym milczenie... A potem, jak spływa, lekka jak mgła, z jachtu na ląd...

Już wiedziałam, dlaczego położyła palec na ustach w geście nakazującym milczenie. Ale ja nie posłucham i nie będę o tym milczeć...

*KONIEC POWIEŚCI*

## *Spis treści*

<i>Rozdział 1. Dla tych, którzy zawsze wiedzą, co będzie jutro</i>	<i>3</i>
<i>Rozdział 2. W którym wszystko jest inaczej niż miało być</i>	<i>15</i>
<i>Rozdział 3. W którym ksiądz zostaje kochankiem Rosity</i>	<i>28</i>
<i>Rozdział 4. Jako przestroga, by nie lekceważyć ostrzeżeń</i>	<i>39</i>
<i>Rozdział 5. W którym zakochany ksiądz zostaje hersztem piratów</i>	<i>51</i>
<i>Rozdział 6. Jak poruszać się po zakamarkach jaskiń i... uczuć</i>	<i>66</i>
<i>Rozdział 7. W którym ksiądz i Rosita rozplywają się w nicości</i>	<i>78</i>
<i>Rozdział 8. O tym, że wąż może być przyczyną złego i dobrego</i>	<i>91</i>
<i>Rozdział 9. W którym zostajemy uwięzieni w jaskiniach ze skarbami</i>	<i>104</i>
<i>Rozdział 10. Potwierdzający, że prawdziwi piraci nie wymarli</i>	<i>119</i>
<i>Rozdział 11. W którym jaskinie uchylają rąbka tajemnicy</i>	<i>134</i>
<i>Epilog – O tym, że żadne skarby nie zastąpią przyjaźni i miłości</i>	<i>146</i>

## ***Czy klątwa upadłego księdza - herszta piratów wciąż broni dostępu do przeklętych skarbów?***

*W poszukiwaniu skarbu, ukrytego niegdyś przez piratów, Iza, Wojtek i Jarek wyruszają z Polski na egzotyczną wyspę na Morzu Karaibskim. Dołącza do nich Jack, zawodowy żeglarz i poszukiwacz skarbów, z którym przeżyją wiele niebezpiecznych przygód. Już pierwszego dnia znika Wojtek, a poszukiwania przybierają nieoczekiwany obrót. Ktoś ich śledzi, prześladuje, a próbuje zastraszyć, a nawet zabić. W dodatku spotykają współczesnych piratów, którzy są równie bezwzględni i niebezpieczni, jak tamci sprzed wieków.*

*Wszystko byłoby prostsze, gdyby nie przystojny detektyw, który zakochuje się w głównej bohaterce. Wydarzenia wskazują, że jest on w zmowie z tajemniczymi prześladowcami. Poszukiwania przenoszą się do jaskiń, gdzie poszukiwacze zostają uwięzieni, a główna bohaterka zostaje wprowadzona przez piratów.*

## ***Kim są prześladowcy i czy detektyw jest ich współnikiem?***

***Dlaczego główna bohaterka podejmuje ryzyko i wikła się w romans z przystojnym Latynosem?***

***Czy skarb pozostał na wyspie i czy uda się go odnaleźć?***

*Wyspa istnieje naprawdę, historia Rosity jest autentyczna, ale powieść jest fikcją literacką. Nazwa wyspy ani razu nie pada w powieści, bo nie ma to większego znaczenia dla jej przebiegu. Odgadnięcie jej nie powinno sprawić problemu Czytelnikom lubiącym rozwiązywać zagadki.*

### **Notka o autorce**

*Jest to pierwsza powieść autorki, której fragmenty zostały opublikowane po raz pierwszy w 2006 r w e-Czytelnicy Wydawnictwa E-Media. W zamierzeniu jest pierwszą częścią cyklu powieści przygodowo-podróżniczych.*

*Autorka publikuje pod pseudonimem. Ukończyła studia ekonomiczne ze specjalizacją z handlu zagranicznego. Zarówno życie prywatne jak i praca zawodowa stwarzały wiele okazji do podróży (zazwyczaj prywatnych lub służbowych, rzadko w charakterze turysty) i kontaktów z ludźmi z różnych krajów, środowisk i kultur.*

*Zainteresowania: muzyka, taniec, góry.*

*Uprawiane sporty: sztuki walki, narty.*

*Ukochane miejsce: Tatry.*